

ABC

GDAŃSKI DEPOZYT

PIOTR
SCHMANDT

Oficynka

GDAŃSKI DEPOZYT

PIOTR
SCHMANDT



Oficyna

Gdańsk 2011

Copyright © Oficynka & Piotr Schmandt, Gdańsk 2010

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze, Gdańsk 2011

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

<http://www.damasiewicz.idesigner.pl>

Grafika na okładce © Bronisaw Lis

Opracowanie edytorskie książki: kaziki.pl

ISBN: 978-83-62465-38-5



www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

tel. 691962519

woblink

Plik opracowany na podstawie Mordercy, wydanie I, Gdańsk 2011

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)

Spis treści

Strona tytułowa
Karta Redakcyjna
Dedykacja

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

*Pamięci
Maćka Podolskiego,
mojego Pasierba,
poświęcam*

Majowe popołudnie w biurze. Niech będzie majowe. Ale dlaczego o tej porze trzeba siedzieć przed maszyną do pisania? Materiały dla polskiej Izby Rzemieślniczej. Długie strony pełne cyfr i zestawień obrachunkowych.

Życie stanowczo jest niesprawiedliwe. Na przykład nie dalej jak wczoraj pani Zofia Noskowska przyszła w odwiedziny do męża. Wpadła ot tak sobie około południa. Na kilka metrów pachniała jakimiś drogimi francuskimi perfumami, na które nigdy nie byłoby stać skromnej maszynistki w Komisariacie Generalnym Rządu RP. Sukienka z ozdobną muszką i wzorem kwiatowym, niedbale zarzucony jedwabny szaliczek, ażurowe rękawiczki, kapelusz z szerokim, zawiniętym z jednej strony rondem... A Stasia? Sweterek z czterema guzikami pośrodku, taki pod szyję, czarna spódniczka za kolana.

„Skąd ona bierze na te wszystkie kosztowne detale, w końcu jej mąż nie zarabia kroci, choć bez porównania więcej niż ja?” - panna Stasia zadała kiedyś pytanie koleżance, Wandzie Szulc, która siedzi teraz naprzeciwko niej. Wandzia, zdziwiona jej niewiedzą, wyjaśniła szczegółowo, że ojciec pani Zofii, Adam Żelaski, jest emerytowanym konsulem monarchii habsburskiej w Londynie i posiada szerokie stosunki, zasiada w kilku radach nadzorczych poważnych firm, w dodatku jest udziałowcem dwóch największych przedsiębiorstw należących do monopolu zapalczanego. Panna Stasia, gdy to usłyszała,

poczuła się znacznie gorzej niż wtedy, gdy pozostawała w błogiej niewiedzy. „Mój ojciec jest krawcem...” - pomyślała z żalem.

Tak więc, gdy wczoraj pani Noskowska zatrąła powietrze tymi obrzydliwymi perfumami, na które nikt przyzwoity nie mógłby sobie pozwolić, i spojrzała mimochodem na swój złoty zegarek, a potem morderczym wzrokiem obrzuciła je obie, maszynistkę i sekretarkę, i weszła bez pukania do gabinetu pana Zygmunta, panna Stasia ostatecznie utwierdziła się w przekonaniu, że życie jest niesprawiedliwe.

Cóż stąd, że tamta jest za chuda i ma nieforemne nogi - za to posiada męża na stanowisku. Może sobie przychodzić do biura, i w ogóle dokąd chce, kiedy jej się żywnie podoba. Ponieważ tu nie pracuje i jest „przy mężu”. Wstaje pewnie po dziesiątej, godzinę siedzi przed toaletką, bawi się lokówkami w nieskończoność i nie musi się martwić, że nowe pończochy mają oczko. Przecież może je od razu wyrzucić i wyjąć z pełnej szafy następne.

Majowe wczesne popołudnia spędza zapewne na kawce u Grenzberga na ulicy Długiej w towarzystwie jakiejś podobnej sobie żony urzędnika państwowego, o zbliżonym statusie towarzyskim; może w Centralnym Komitecie Katolików Polaków Diecezji Gdańskiej u księdza Rogaczewskiego; albo nie - siedzi u fryzjera i czyta, w trakcie robienia ondulacji, jakieś zwierzenia wziętej aktorki zamieszczone w modnym magazynie. Nie ma obawy, nie spotkają jej żadne docinki ze strony Niemców - mówi lepszą niemczyzną niż ci wszyscy gdańszczanie, szwargocący swoim plattdeutschem.

I jeszcze meble! Ostatnio dyrektor Noskowski powiedział, że żona zamówiła nowy komplet kuchenny u Olschewskiego w Danzig Möbelfabrik. Stasi nigdy nie byłoby stać na taki zbytek. Zwłaszcza że nie miała własnej kuchni...

- Panno Stanisławo - rzucił pryncypał, wychylając się lekko przez na wpół uchylone drzwi - kawę proszę, ze śmietanką, i kruche ciasteczka dla małżonki.

Nie było akurat Wandy. Zazwyczaj ona zajmowała się parzeniem kawy.

Jakby była jakąś pokojówką u państwa, pokornie skinęła głową i za moment postawiła przed panią Noskowską, kobietą o twarzy podobnej do facjaty krogulca, cienusieńką filiżankę z aromatycznym naparem.

I ten wzrok pryncypałowej, pełen utajonej nienawiści. Nienawiści? Nie, raczej zazdrości. Że tamta jest młoda, że ma krągłe biodra i zgrabny biust, i zwięzające się nad pantofelkami łydki. I że porusza się tak, jakby płynęła.

„Włosy też mam ładne. Nie za ciemne, nie za jasne, naturalnie układają się w delikatne fale”. I niech sobie babsztyl myśli, co chce, ale to ją, Stasię, pan Noskowski pożera wzrokiem każdego ranka.

Mimo to było jej smutno. Gdy już się wyłóciła na panią Zofię za jej wczorajszą demonstrację władzy i luksusu, znów wyjrzała przez okno.

Nic ciekawego. Przechodniów wielu, jak zawsze o tej porze. Kobiety z dziećmi, starsi panowie w eleganckich garniturach, jakiś posłaniec niosący kwiaty; co chwilę odznaczał się brunatną, gryzącą barwą mundur działacza NSDAP, idącego zazwyczaj szybciej niż pozostali.

- O czym myślisz? - spytała Wanda znad stosu dokumentów wyjętych właśnie z grubego, czarnego segregatora, a przeznaczonych dla Towarzystwa Polek w Gdańsku.

- O niesprawiedliwości, jakiej doświadczają panny takie jak my.

- Słucham?

- Wiesz, chodzi mi o tę zasuszoną wiedźmę... wczoraj. Zresztą wyszłabym na godzinkę, dwie, porozglądała się po sklepach. I nie

musiałabym się nigdzie spieszyć.

Panna Wanda poprawiła okulary spadające z nosa.

- Ależ Stasiu, jesteśmy w pracy...

- Właśnie - zbuntowana maszynistka nie spojrzała już na przyjaciółkę, tylko z impetem uderzyła kształnymi paluszkami w klawiaturę solidnego, biurowego continental.

Gdyby tak wydarzyło się coś niespodziewanego! Nie, nie pomyślała o wybuchu bomby ani o skandalu dyplomatycznym, po prostu, tak zwyczajnie, zapragnęła, żeby pojawił się królewicz z bajki i zabrał ją stąd. Nie musiałyby nawet przyjeżdżać na białym koniu, wystarczyło, żeby był przystojny i bogaty. I musiałyby jeszcze pochodzić z dobrej rodziny - dla córki krawca to ważne.

Czy Wanda nie ma żadnych marzeń? Niemożliwe! A jednak siedzi wyprostowana, akuratna, nad grubym segregatorem, co chwilę poprawia okulary. Dyskretny makijaż, tylko nieco podkreślone ołówkiem oczy, zawsze punktualna, zdyscyplinowana, zdająca się mieć ambicje odgadywania wszelkich życzeń przełożonych, zanim zostaną wypowiedziane.

Znają się ponad rok, niejedną wieczór przegadały o sprawach bardzo odległych od urzędowania komisariatu generalnego, tymczasem Stasia właśnie uprzytomniła sobie, że jej przyjaciółka nigdy nie powiedziała, jaki typ mężczyzny ją interesuje. Nie zdradziła nawet, czy podoba jej się ktoś, kogo znają obie, czy nawet jakiś nieznajomy. Że też wcześniej tego nie zauważyła! Tak, Stasia była na tyle zajęta paplaniną na swój temat, że nie zastanawiała się, czy sekretarka ma w ogóle jakiegokolwiek uczucia poza patriotycznymi i tymi najoczywistszymi, do matki i dwóch sióstr.

Zaraz jednak, ponieważ nie lubiła uczucia zakłopotania własną niewiedzą lub brakiem spostrzegawczości, usprawiedliwiła się sama

przed sobą. Przecież żaden mężczyzna nigdy nie spojrział na Wandzię jak na kobietę. Do biura przychodzą rozmaici interesanci, w różnym wieku, niektórzy straszliwie przystojni. Ich wzrok zatrzymywał się zawsze na Stasi, natomiast nigdy na Wandzi. Mimo że to tamta była sekretarką i jej biurko stało po drodze do gabinetu dyrektora Noskowskiego. Pamięta, jak kiedyś trafiły na bal połączony z loterią fantową, organizowany przez Dom Polski przy ulicy Wałowej. Żaden z obecnych nie poprosił Wandy do tańca, z wyjątkiem tego tłumacza przysięgłego, Józefskiego, działacza „Strzelca” i „Sokoła”, ale czy jego można w ogóle traktować jako adoratora?

Przyjaciółka nie ma więc żadnych pragnień i żyje pracą dla Ojczyzny.

Dobrze, ale ten królewicz z bajki... Znów wyjrzała przez okno.

- Pan Osowski idzie! - krzyknęła z entuzjazmem, aż Wanda podskoczyła na krześle.

- Przestraszyłaś mnie - powiedziała sekretarka z delikatnym wyrzutem.

- Nie szkodzi, Władysław zaraz tu będzie. - Stasia szybkim, precyzyjnym ruchem wyjęła z torebki okrągłą puderniczkę z lusterkim i przejrzawszy się w nim, zaczęła upiększać kształtny nos.

- Stasiu, jesteś niepoprawna - ironiczny, ale niepozbowiony wyrozumiałej życzliwości uśmiech przemknął przez twarz Wandy.

Po przyspieszonej toalecie nie pozostało nic innego, jak czekać. Wysoki brunet, z dobrego domu, o pięknym głosie, wykorzystywanym w Towarzystwie Śpiewaczym „Lutnia”... Czego chcieć więcej? Jego rodzina posiada majątek w okolicach Kołomyi.

Strasznie daleko, ale w ostateczności... Przecież wyjeżdżaliby do Ciechocinka. Albo nawet do Krynicy, trzy razy do roku. Byle już nie

pracować w biurze! Tylko że on nigdy nie zdecydowałby się na taki mezalians...

Nie minęły dwie minuty, jak drzwi, po delikatnym, trzykrotnym pukaniu otworzyły się i stanął w nich Władysław Osowski. Wysportowany, elegancki (ta niewielka perła wpięta w krawat...). Błysnął nieskazitelną bielą zębów i przyglądził ułożone brylantyną czarne włosy, wpadające w granatowy odcień.

- Panno Stanisławo, wygląda pani jak świeży poranek - delikatny uśmiech nie schodził z ogorzałej twarzy.

- Dziękuję! - Stasia odpowiedziała ciut za głośno i z nieco zbyt wielkim, niż wypadało, entuzjazmem.

- Dzień dobry, panno Wando. Miło panią widzieć - Osowski z kolei skłonił się sekretarce, bez tego błysku w oku i miękkości w głosie, za to z wyraźnym szacunkiem. - Pan dyrektor u siebie? - cień przemknął przez jego twarz.

- Oczywiście.

Osowski zniknął za drzwiami gabinetu. Wanda wstała, żeby przygotować filiżanki.

Wyjęła je z szafki, sięgnęła po puszkę z kawą, ale zaraz zamarła.

Uchyliły się drzwi. Twarz pana Noskowskiego, podobna do oblicza morsa albo raczej bobra, wyglądała na zatroskaną.

- Panno Wando, kawa innym razem.

Spojrzały na siebie, zdezorientowane. Kiedy do szefa Wydziału Kultury przychodził

Osowski, kawa zawsze była obowiązkowym dodatkiem do rozmowy. Dlaczego nie tym razem?

Minął kwadrans. Obie biuralistki nie mogły w nieskończoność epatować siebie nawzajem umiarkowaną konsternacją i pracowały

przykładnie, choć Stasi nie w głowie były zimne literki wystukiwane z dużą szybkością na maszynie, gdy oto drzwi gabinetu otworzyły się ponownie. Stanął w nich gość, nieco mniej wyprostowany niż zwykle, za nim zaś falowała olbrzymia biała chustka, którą pan Noskowski ocierał zroszone potem czoło.

- No tak w istocie, w istocie - powtarzał, ściskając na pożegnanie dłoń Osowskiego.

- W istocie - odparł gość i ukłoniwszy się pannom, wyszedł.

Dyrektor obrzucił pracownice roztargnionym spojrzeniem, zapytał o coś jedną i drugą, wreszcie ukrył się w czeluściach gabinetu. Po chwili wyszedł na moment, żeby poprosić o herbatę rumiankową. Kiedy Wanda przyniosła mu napar, znalazła pryncypała wciąż ocierającego z czoła pot. Kątem oka dojrzała na biurku teczkę, przysłoniętą w trzech czwartych kartką.

SPR

GEO

RO

(PREC)

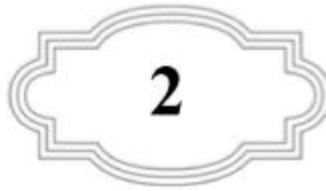
Tyle przeczytała. Tyle, czyli nic. Jako biegła biuralistka zapamiętała jednak fragmenty wyrazów i zaraz po powrocie na swoje krzesło najchętniej podzieliłaby się z przyjaciółką informacją o teźce, ale wrodzona dyskrecja, bezcenna zaleta sekretarek, nie pozwoliła jej na naturalny odruch.

- Nie wiesz może, o co tu chodzi? - zapytała Stasia, która była z natury ciekawa życia, zwłaszcza gdy sprawa dotyczyła Władysława Osowskiego.

- Nie, ale dawno przestałam dziwić się czemukolwiek. Żyjemy w bardzo dziwnym miejscu i czasie. - Wanda wzruszyła ramionami i wróciła do porządkowania ubiegłotygodniowej korespondencji.

Tymczasem Stasia ziewnęła i spojrzała na swoje paznokcie. Nowy lakier był całkiem do rzeczy.

Koniuszkami palców sięgnęła po nugatową pralinę „Lindy”.



Dzień zdawał się ze wszystkich sił opierać nadchodzącej nieuchronnie nocy. Na niebie wyraźnie odciskał swoje zdobywcze piętno jaśniejący i nabierający ostrych konturów księżyc, ale słońce roztaczało jeszcze krwawe, poprzecinane masywnymi chmurami łuny nad miastem, które nie chciało zasnąć. Na ulicach pełno było przechodniów, choć różnili się wyraźnie od tłumów podążających w rozmaite strony w ciągu dnia. Wtedy Gdańsk przypominał mrowisko, teraz na ulice wylegli ci, którzy nabrali ochoty na spacer, lub tacy, którzy, na skutek zmęczenia i upału, wolnym krokiem podążali do swoich domów, załatwiwszy uprzednio konieczne sprawy.

Wśród tych wszystkich ludzi cieszących się atmosferą leniwego wieczoru podążał pewnym, choć niespiesznym krokiem niski, pękaty mężczyzna, mimo ewidentnej nadwagi poruszający się z pewnym wdziękiem właściwym ludziom przekonanym o własnej wartości i czerpiącym radość z osiągniętych zamierzeń.

Raz i drugi, niestosownie do swojego wieku, obejrzał się za ładną dziewczyną wracającą do domu lub idącą na spóźnione spotkanie z mężczyzną. Pomachał pulchną dłonią chłopcu jadącemu na rowerze, który mu się uklonił. Gdyby ktoś miał scharakteryzować nieznanego w kilku słowach, powiedziałyby: „Oto człowiek zadowolony”.

Kiedy znalazł się na Targu Drzewnym, niedaleko siedziby Westpreussische Geschichtsverein, zwolnił nieco. Przeszedł jeszcze

kilkanaście metrów i zatrzymał się przed neomanierystyczną kamienicą o naturalnej ceglanej elewacji, ozdobionej oknami o śnieżnobiałych framugach. Spojrzał na zegarek. Znów jego wzrok przykuła kobieta, znów młoda, właściwie podłotek, idąca w towarzystwie matrony, zwracającej uwagę kapeluszem z nadmierną liczbą sztucznych kwiatów, co prawda wyrastających stonowanymi barwami.

Minęło kilka minut. Jegomość zaczął przestępować z nogi na nogę, ponownie obdarzył zainteresowaniem zegarek, zaczął oglądać sąsiednie kamienice okiem eksperta budowlanego, wreszcie wyjął z kieszeni marynarki elegancką papierośnicę i już po chwili zaciągnął się z lubością dymem, rozpuszczając naokoło gęste chmurki.

- Pan kolekcjoner?

Mężczyzna przestraszył się, bowiem pytanie rozległo się tuż za jego plecami.

- Jak można tak straszyć porządnego człowieka? - pokręcił głową, kiedy już obejrzał się za siebie, a właściwie obrócił o sto osiemdziesiąt stopni.

- Moim zamiarem nie było straszenie pana, przecież nie w tym celu się spotykamy.

- Oczywiście - pękaty mężczyzna stawał się z powrotem uosobieniem życiowego zadowolenia. - Mam zaszczyt przedstawić się...

- To niekonieczne - ton głosu rozmówcy nieco go zaskoczył. - Wiem, jak pan się nazywa, natomiast nie czuję się w obowiązku rewanżować panu tym samym, panie kolekcjonerze.

Papierośnica znów powędrowała do dłoni. Zdziwienie walczyło w oczach jej właściciela z odrobiną niepewności.

- Rozumiem, że nazywany będę Kolekcjonerem? Tak jak Willy Drost z Muzeum Miejskiego?

- Przecież jest pan kolekcjonerem, nieprawdaż?

- Lubię piękne przedmioty, nie zaprzeczę. I lubię zarobić, żeby móc je zbierać dla własnej przyjemności.

- Spod obłoku dymu spojrzały bystre, choć nieco przykryte fałdkami tłuszczu oczy.

- Cieszę się, że się rozumiemy. Widzi pan, w pańskim fachu nie chodzi się z łopataą po lesie. Jest pan profesjonalistą. Zawsze znajdzie się ktoś, kto szuka solidnego, doświadczonego pośrednika.

- Jestem nim, rzeczywiście - padła pewna odpowiedź, niepozbawiona odrobiny tupetu.

- Dobrze. A mi właśnie potrzebny jest pośrednik. Chociaż nie, raczej kupiec. Chcę pozbyć się tych rzeczy natychmiast. Nie interesują mnie one, wyjeżdżam niedługo za granicę.

Nie będzie pan oczywiście pytał, skąd to wszystko, ponieważ i tak nie odpowiem. Nie muszę chyba zresztą pouczać pana, że dyskrecja jest czymś szlachetnym w każdych okolicznościach.

- Ależ - z aktorskim zacięciem obruszył się pękaty mężczyzna i uciekł urażonym spojrzeniem w stronę tramwaju dzwoniącego przeraźliwie podczas odjazdu z przystanku.

Odpowiedzią na jego teatralne zachowanie był stłumiony śmiech, niezbyt życzliwy.

Jeszcze parę słów, raczej zdawkowych, ale ważna była jedynie kartka, którą Kolekcjoner otrzymał. Obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Jego małe oczka zmieniły się nie do poznania, stały się żywe, bystre, pociemniały i dokładnie analizowały każdą literkę.

- Rozumiem - odparł, podnosząc wzrok znad kartki.

- Bardzo dobrze. Za kilka dni sprawa powinna się skonkretyzować. Wtedy może pan zaczynać negocjacje, zostawiam panu pełną swobodę.

Zna się pan przecież na rzeczy.

- Oczywiście.

- W takim razie żegnam.

Jeszcze chwila i Kolekcjoner został sam. W mgnieniu oka otoczyły go gołębie, jakby miał w dłoni kromkę chleba albo torebkę z ziarnami grochu. Nie odganiał ptaków, tylko z gracją ominął skrzydlate zbiegowisko i przeciął plac, kierując kroki w ulicę Szeroką.

Przed sklepem Andreasa Mehringa zwolnił. Miał nadzieję, że stary zegarmistrz jakimś trafem będzie jeszcze w swoim królestwie, ostatecznie zegary i zegarki nieustannie się psują, a ludzi w mieście jest mrowie, większość ma chronometry... Zwłaszcza że Andreas należał do wymierającego gatunku tych, dla których praca jest wszystkim.

Drzwi były zamknięte od wewnątrz, a z głębi nie sączyło się charakterystyczne przyćmione światło, które można było zauważyć, ilekroć Mehring przebywał w środku.

Kolekcjoner, nie namyślając się długo, podszedł do drzwi obok sklepu i otworzył je.

Zniknął w czeluściach klatki schodowej. Po upływie pół godziny wyszedł.

Nieopodal sklepu zegarmistrza, naprzeciw magazynu meblowego Cuttnera, mieściła się gospoda Pod Krzywym Masztem. Wbrew nazwie, nie była to tawerna dla marynarzy spragnionych ordynarnych rozrywek, choć lokal nie miał też renomy wykwintnej restauracji.

Przychodzili tam wszyscy, którzy chcieli zjeść smacznie i obficie, bez nadmiernego przesiadywania w pretensjonalnym towarzystwie. Stoliki

były czyste, kelnerzy ubrani świeżo i dość elegancko, a wystrój cechował się prostotą i funkcjonalnością.

Kolekcjoner zapragnął w spokoju zjeść zwykłą kolację i żaden lokal w Gdańsku nie nadawał się do tego lepiej.

- Pan rozmawiał dzisiaj w sprawie kolekcji i jej sprzedaży, prawda?

Pękaty mężczyzna omal nie zakrztusił się solidnym kęsem golonki z apetycznym tłuszczkiem.

- My się znamy? - odpowiedział ni to z niepewnością, ni to z tupetem.

- Ja pana znam.

- Tak? A skąd? Czy pan jest znajomym...

Na twarzy przystojnego, eleganckiego mężczyzny pojawił się cień, a w oczach zabłysło nieme ostrzeżenie.

- Skoro coś mówię, oznacza to, że mam do tego prawo. Mogę się przysiąc?

Mimo że młody człowiek zdawał się od początku panem sytuacji, zaczekał grzecznie, aż coraz bardziej zdumiony Kolekcjoner wstał i ręką wskazał wolne miejsce.

- Dziękuję - uśmiechnął się tamten i siadając, zawołał kelnera.

Siedzieli naprzeciw siebie. Kolekcjonerowi już nie smakowała golonka. Jadł dalej, żeby nie wypaść z roli, natomiast młody człowiek wpatrywał się w niego uważnie, nawet wtedy, gdy zanurzył usta w pianie delikatnego, jasnego piwa. Zaraz też zapalił papierosa i zaciągnął się od niechcienia, niedbale.

Nikt nie zwracał na nich uwagi. Na sali było kilka osób, wszyscy jednak mieli jakieś towarzystwo i zajęci byli rozmową. Młodszy z mężczyzn obejrzał kremowe ściany oraz solidnej roboty boazerię, a także

poświęcił kilkanaście sekund kobiecie o obfitych kształtach, która siedziała całkiem niedaleko, w towarzystwie dwóch znacznie szczuplejszych dam.

- Zjadł już pan. Teraz niech pan odpowie na proste pytanie: po co poszedł pan do Andreasa Mehringa?

- Jakim prawem...? - zaczął Kolekcjoner, ale zamilkł, uderzony wzrokiem zza stołu.

- Czy mam powtórzyć pytanie? - mężczyzna udał zdziwienie.

- Nie... Pan Mehring jest moim starym znajomym. Zajmuję się dziełami sztuki, a zegarmistrzostwo to bardzo pokrewna dziedzina. Łączą nas sprawy zawodowe, ale też rozumiemy się dobrze, mamy wiele wspólnych tematów. Andreas jest samotny, nie ma z kim pogadać. Oprócz klientów, rzecz jasna.

Te kilka zdań wypowiedzianych przez pękatego mężczyznę zabrzmiało jak fragment zeznania na policji. Młody człowiek uśmiechnął się lekko.

- Bardzo dobrze, załóżmy, że panu wierzę. A teraz powie mi pan, czego dotyczyła rozmowa na Targu Drzewnym sprzed półtorej godziny.

Przesłuchiwany nie namyślał się wiele. Szybkim ruchem chlusnął na głowę i elegancki garnitur rozmówcy zawartość niemal pełnego kufła urbocka i jednocześnie zaczął krzyżeć do przechodzącego kelnera, że stało się nieszczęście.

Kelner rzucił na parkiet pustą tacę i przybiegł od razu, niepewny, czy chodzi tylko o piwo na twarzy i ubraniu gościa, czy też o coś jeszcze. Na wszelki wypadek zawołał dwóch kolegów, którzy okrążyli poszkodowanego. Wszystko to działo się w ułamku sekundy.

Kolekcjoner, gdy tylko trzech kelnerzy otoczyli ofiarę, zwinnym ruchem wymknął się z zaklętego kręgu i pomknął do wyjścia. Niedawny

przesłuchujący chciał jak najszybciej pobiec za nim, ale kelnerzy byli wobec niego niezwykle troskliwi.

Co gorsza, musiał jeszcze zapłacić za obiad pękatego uciekiniera.



Panna Stasia weszła na podwórko. Wokół nie było żywej duszy, ale też pora nie sprzyjała ożywionemu ruchowi ulicznemu.

Spojrzała na zegarek. Była 22.53. Seans skończył się późno. Wybrały z Wandą późniejszą godzinę, bo pokaz o 21.15 był tańszy, poza tym dość późno wyszły z pracy. Pan Noskowski zawałił je obie robotą, potem jeszcze raz przyszedł Władek Osowski („Władek” - może się kiedyś dowie, że Stasia zdrabnia jego imię) i znów pryncypał po jego wizycie zdawał się roztargniony i czymś przejęty.

Szpieg w masce z Ordonką był tak popularny, że nawet tutejsze kina, zdecydowane w sposób bardzo jednoznaczny promować kinematografię niemiecką, w swojej ofercie umieściły największy polski przebój filmowy ostatnich lat.

Stasię nie bardzo interesowała sama intryga - w ostateczności żyła w tak osobliwym miejscu, że słowa „szpieg”, „wywiad”, „tajne spotkanie” nie czyniły na niej zbytniego wrażenia. Bardziej pochłonęła ją intryga miłosna i dzięki niej film spodobał się i zaspokoił, w jakimś sensie, tęsknotę dziewczyny za lepszym światem. Na chwilę, lecz dobre i to.

Co innego Wanda, ona oglądała film pod zupełnie innym kątem... I kiedy Stasia odprowadzała ją pod dom, nie dała się wciągnąć nastrojonej romantycznie przyjaciółce w dywagacje natury miłosnej.

Już spać? Już do łóżka? Wieczór taki piękny, pachnie jeszcze bez, ptaki na drzewach rosnących na podwórzu kamienicy szaleją. Powietrze

duszne, gwiazdy na niebie. Spać...?

Niespiesznie, z pewnym zniechęceniem otworzyła drzwi prowadzące na klatkę schodową. Ostrożnie, żeby nie zbudzić lokatorów mieszkających poniżej jej piętra, stąpała po skrzypiących na co dzień schodach. Wiedziała, gdzie stawiać nogi, aby jej kroki były niemal bezszelestne. Tyle razy wracała z późnych seansów... I ze spotkań sam na sam z mężczyznami, którym się podobała. Liczyli na coś więcej niż buziak w policzek na pożegnanie, ale ona lubiła zostawiać ich nieco rozczarowanych. I nadal czekała na królewicza z bajki.

Kiedy delikatnie przekręcała klucz w zamku, wydawało jej się, że zza drzwi obok, gdzie mieszkała Maria Walter, samotna i skryta kobieta w nieokreślonym wieku, dobiegł ją szmer. Może się zresztą myliła?

Światło w przedpokoju zapaliło się natychmiast. Jak grom z nieba przed Stasią stanęła Gertruda Labenz.

- O której to godzinie panna wraca do domu? Gdyby gospodyni miała zamiar brać się do rękoczynów, Stasia zapewne byłaby na straconej pozycji, przynajmniej sądząc po posturze frau Labenz. Kobieta wzięła się pod boki, co przydawało jej postaci złowrogiej aury. Ważyła co najmniej dwieście funtów. Olbrzymie piersi łapały gwałtownie powietrze. Chustka na głowie, zawiązana w kokardę, zdobiła kobietę niczym hełm średniowiecznego rycerza.

Szerokie ramiona gotowe były do jakichś okrutnych czynów, gdyby tylko zechciały.

Twarz frau Labenz nie była przesadnie subtelna. Na niskim czole uparcie odmalowywała się jakaś myśl, choć może tylko tak się Stasi zdawało. Oczy łapały na lokatorkę z mieszaniną ciekawości i irytacji, a grube, mięsiste wargi przeżuwały powietrze.

- Byłam w kinie. Z panną Wandą. Przecież nie pierwszy raz, pani Gertrudo...

- Wyjęła mi to panna z ust, nie pierwszy raz!

- Jestem porządną dziewczyną - zapewniła Stasia z pewnym smutkiem - i nie robiłam niczego złego.

- Porządne dziewczęta nie wracają z kina o takiej porze.

- Bilety są wtedy tańsze, pani Gertrudo. Gdyby czynsz był niższy, nie musiałabym oszczędzać na późnych seansach.

- A po co w ogóle chodzić do kina? - zauważyła gospodyni.

Stasia podniesieniem brwi wyraziła nieme zdziwienie.

- Kiedy ja byłam w panny wieku, nie było kina.

- To musiało być dawno - zauważyła dziewczyna i ugryzła się w język.

- A tak, moja panno, i czasy były wtedy lepsze. Chodziło się do letnich teatrzyków, ale tylko po południu i w towarzystwie kogoś z rodziny. I wyszłam na ludzi. Polskie obyczaje... - gospodyni z dezaprobatą pokręciła głową.

- A czy Niemki nie biegają do kina?

- Bo nauczyły się od przyjezdnych, takich jak panna - gospodyni nie dawała za wygraną. - Mówiła panna o czynszu? A czy piętnaście guldenów tygodniowo za schludny i jasny pokój w porządnym domu to taka wysoka cena? Niech panna powie uczciwie?

- Pewnie bywa drożej - zauważyła Stasia. - Ale Wanda płaci dwanaście, a mieszka na Chlebnickiej.

Ramiona gospodyni zatrzęsły się fałdami tłuszczu.

- To niech panna idzie sobie na Chlebnicką, jeśli ktoś odważy się przyjąć lokatorkę z Polski, która w nocy wraca z kina z tak pomalowaną

buźką - zaśmiała się rubasznie frau Labenz.

Stasi zrobiło się przykro. Uwagi na temat prowadzenia się jeszcze by zniosła, ponieważ raczej nie miała nic na sumieniu, ale co ma do rzeczy narodowość? Poczwała się jak Wandzia, której życiowym celem było manifestowanie polskości w każdych okolicznościach.

- Przeszkadza pani wynajmowanie pokoju Polce? A dlaczego, jeśli można wiedzieć?

Frau Labenz, której nieufność do Polaków wynikała jedynie z ogólnej nieufności do obcych i faktu, że Gdańsk nie należał do Rzeszy, nie chciała zrobić Stasi przykrości.

- Niech panna nie będzie głupia. Uważam tylko, że Polki są bardziej lekkomyślne i mogą przyprowadzać jakichś oficerów z komisariatu polskiego rządu, a panna wie, jak sąsiedzi by na to patrzyli. Tak, uważam, że okazałam pannie serce, przyjmując ją do domu, a panna naraża mnie na złe języki.

- A gdyby tak o jednego guldenika tygodniowo mniej? Poszłabym sobie wtedy na seans o dziewiętnastej. Pani Labenz?

Gospodyni nie wiedziała, czy wybuchnąć śmiechem, czy złością, wreszcie, ku swemu zadowoleniu, zignorowała atak bezczelności ze strony młodej ósóbki.

- Dobranoc pannie - obróciła się na pięcie z nadspodziewaną lekkością i poszła do swojego pokoju.

Na twarzy Stasi pojawił się uśmiech ulgi. Nie lubiła, gdy gospodyni okazywała jej swoje niezadowolenie, ale domyślała się, ile przykrości stara zrzęda mogła doznawać ze strony sąsiadów oburzonych faktem przyjęcia pod porządny niemiecki dach Polki, pracującej w dodatku w Komisariacie Rządu RP. W każdej chwili gospodyni mogła powiedzieć,

że czas się wyprowadzić i, Bogiem a prawdą, Stasia nie mogłaby mieć o to pretensji.

Została sama. Sama ze sobą. Wolałaby, gdyby był przy niej Władek Osowski. W ostateczności mógłby być ktoś inny, pod warunkiem że choć trochę przypominałby królewicza z bajki.

Pokój nie był z gatunku tych, które można by nazwać panieńskimi buduarami.

Naprzeciwko okna zakrywała ścianę wielka ciemnobrązowa szafa, pamiętająca czasy, gdy Niemcy dopiero szykowały się do zaszczytnego miana odrodzonego cesarstwa. Ślady działalności korników były na całej powierzchni politory aż nazbyt widoczne. Gdyby chociaż szafa pękała w szwach od Stasinej garderoby... Ale nie, ledwie jedna czwarta starego mebla zawierała to, w czym panna chodziła na co dzień i od święta.

Potrójne okno - z niego Stasia była zadowolona, latem dawało dużo światła i sprawiało, że pomieszczenie traciło ponurą szarość. Słońce i błękit nieba w pogodny dzień zmieniały pokój nie do poznania, a jasne promienie tańczyły wtedy wesoło na grubych, niezbyt świeżych firankach i nielicznych sprzętach.

W rogu miska, obok niej przycupnęło nieśmiało mydło. Nieopodal stała pod ścianą toaletka, tej akurat niczego nie brakowało, bo chociaż lustro przykryte było matową mgłą, pod nim, na stosunkowo szerokiej półeczce, roilo się od tuszów do rzes, perfum (niezbyt wprawdzie wykwintnych), pudrów i szminek, osobliwie kontrastujących z ascetycznym otoczeniem.

Z kosmetykami jeszcze bardziej kontrastował, powieszony obok toaletki, całkiem okazałych rozmiarów oleodruk przedstawiający Matkę Boską Częstochowską. Stasia dostała go od mamy, gdy wyjeżdżała do Gdańska i mimo całej fascynacji światowym życiem, którego tak jej

brakowało, była do rodzinnej pamiątki bardzo przywiązana. Patrząc na surowe oblicze Maryi, przypominała sobie, jak razem z rodzicami i dziadkami klękała przed tym właśnie obrazem do codziennej wieczornej modlitwy.

Łóżko... Ten najwspanialszy wynalazek ludzkości, jak często powtarzała, był znakomicie dopasowany do reszty sprzętów. Skrzypiał, gdy dziewczyna kładła się spać, i budził ją takim samym dźwiękiem, gdy miała wstawać.

Jeszcze dwa krzesła, solidny stół przykryty serwetką i parę filiżanek w miniaturowej szafce. Panieński pokój maszynistki w Komisariacie Rządu RP.

Nie zastanawiała się nad brakiem luksusu. Otworzyła szeroko okno i chłonęła zapach późnego wieczoru.

Słowiki śpiewały jak w parku, zapach bzu dochodził aż na drugie piętro, a świerszcze cykały zupełnie tak, jakby nie przeszkadzało im, że mają do dyspozycji jedynie trawnik, kilka drzew i kilkanaście krzewów, które muszą wystarczyć za cały zielony świat, jaki jest udziałem ich wiejskich braci.

Naraz z dołu, znad chodnika, ktoś pomachał jej ręką. Niewiele się namyślając, odwzajemniła przyjazny gest i dopiero wtedy dostrzegła, kto był na dole. Maria Walter. A co ona robi o takiej porze poza domem? I dlaczego jest nagle taka przyjazna? I wreszcie, dlaczego jest tam, skoro Stasia była niemal pewna, że wchodząc do domu, słyszała w mieszkaniu sąsiadki szmer?

Może rzeczywiście zwidy? Zmęczenie upalnym wieczorem? Przecież wszystko trwało ułamek sekundy... Ale nie, skrzypienie schodów narasta i jest regularne. Jeszcze klucz przekręcany w drzwiach mieszkania Marii.

Zresztą, czy to ważne?

Stasia była już prawie rozebrana. Długi gorset ze stanikiem. I parę chlapnięć wodą.

Koszula nocna w delikatne błękitne kwiatki.

Łóżko zaskrzypiało. Szybkim gestem, odruchowo przeżegnała się i zanurzyła w pościel. Myślała, że zaśnie od razu, ale przeszkodziła jej Maria Walter. Jej pokój znajdował się tuż za ścianą. Mimo solidnych murów, wieczorem zdarzało się, że mogła usłyszeć sąsiadkę, jeśli ta zachowywała się dość głośno. Walter kaszlnęła mocno, jakby się zakrztusiła, a potem musiała upuścić na parkiet filizankę. Porcelana pewnie rozprysła się na drobne kawałeczki, bo nie pękła głucho, tylko jakoś tak - Stasia szukała odpowiedniego wyrazu - perliście.

Jaan van Clijs stał za ladą. Lubił powracać, oczywiście niezbyt często, do czasów, kiedy stawiał pierwsze kroki w handlu dziełami sztuki i był ledwie skromnym sprzedawcą w salonie pana Glucka nieopodal Targu Siennego. Teraz, jako właściciel dużej firmy ulokowanej na ulicy, jakżeby inaczej, Złotniczej, powtarzał, że były to spokojne lata, pełne nauki i optymizmu. Lubił więc odmłodzić się i patrzeć na solidne, dębowe przeszklone drzwi, stojąc naprzeciw nich w pozycji wyczekującej. Ale wcale nie czekał na klienta, zresztą było jeszcze bardzo wcześnie. Ozdobny, wielki zegar Adlera wybił właśnie dziewiątą. Salon otwiera się o jedenastej, a pracownicy powinni przyjść za godzinę.

Wyszedł z za lady. Dość sztubackich dziwactw, za ladą stają jego pracownicy. On, Jaan van Clijs, omawia sprawy, finalizuje interesy, pomaga znamienitszym gościom w wyborze dzieł sztuki. Za chwilę ma pojawić się ten Polak, Osowski - nie powinien widzieć właściciela salonu inaczej, jak tylko godnie reprezentującego swoje królestwo.

„Inna rzecz - pomyślał - że ci Polacy zazwyczaj nie są punktualni i Osowski na pewno się spóźni”.

Umówili się kwadrans po dziewiątej. Zdziwienie Holendra było niekłamane - gość zapukał do drzwi na dwie minuty przed czasem.

Van Clijs wyprostował się odruchowo i przygładził włosy. Otworzył. Przed nim stał człowiek z takim samym jak u niego uśmiechem.

Cokolwiek przyklejonym do twarzy, ale niesprawiającym właścicielowi żadnej przykrości, niemal szczerym.

- Dzień dobry panu - zaczął właściciel salonu. - Pozwoli pan do środka. Jest mi niezmiernie miło.

- Mnie niepomnie milej - kapelusz Osowskiego, zdjęty wcześniej, przyciśnięty został do piersi na znak szacunku dla gościnnego Holendra.

Tylko przemknęli przez salę, w której na pokuszenie odwiedzających wystawione były najrozmaitsze cuda: obrazy, ozdobne lampy, mosiężne posążki, srebrne i pozłacane zastawy stołowe, porcelanowe serwisy.

Znaleźli się w niewielkim, choć jasno oświetlonym i przytulnym pomieszczeniu, gdzie gospodarz wskazał Osowskiemu biedermeierowski fotel przy takimż stoliku. Gość usiadł i kątem oka obejrzał gustowną akwarelkę Ottona Heerdemartensa przedstawiającą łódź rybacką gdzieś na nadbałtyckiej plaży. Potem spojrzał prosto w oczy gospodarza, a uśmiech znikł ze śniadej, szczupłej twarzy.

Holender z początku uciekł oczami przed badawczym wzrokiem Osowskiego, ale zaraz odwzajemnił spojrzenie.

Byli różni. Osowski stanowił dosłownie wierną kopię Jana Kiepurę, natomiast van Clijs nie miał w sobie nic z amanta. Jego garnitur musiał wprawdzie kosztować ładnych paręset marek, sygnet kilka razy więcej, a cyma złocąca się na przegubie prawej dłoni była nawet cokolwiek za wyzywająca jak na człowieka, który handlował dziełami sztuki. Pąsowa chustka włożona do butonierki niemal wylewała się z niej. Ale twarz? Holender był starannie ogolony, od fryzjera wyszedł poprzedniego dnia, ale całość sprawiała wrażenie nieco pospolite. Ot, prosty chłop z Żuław, który dorobił się własną pracą i odrobiną sprytu, a teraz nieco zapomniał o cnotach swoich ascetycznych przodków, menonitów.

- Szanowny panie - zaczął Osowski, kiedy już wypuścił z ust dym z podanego mu cygara - przychodzę w bardzo nietypowej sprawie i prosiłbym o jak najdalej posuniętą dyskrecję. Jak pan wie, nie jestem pracownikiem Rady Zabytków...

- Ależ to zrozumiałe. - Holendra zasłonił obłok dymu znacznie większy niż ten z naprzeciwka. - Jestem poważnym człowiekiem i na moją reputację pracuję z górą dwadzieścia lat. Sam fakt, że panowie, to znaczy Komisariat Rządu w osobie pana Noskowskiego, zwróciliście się właśnie do mnie, świadczy o tym, jakim poważaniem cieszę się w środowisku.

- Rozumiemy się więc, wybornie - Osowski nachylił się do zadowolonego z siebie van Clijsa, ale zaraz rozparł się wygodniej w fotelu. - Znane są panu oczywiście niuanse narodowe i polityczne obecnych czasów.

- Niestety - westchnął Holender, wyrażając tym sposobem, na wszelki wypadek oględne, zrozumienie dla ciężkiego losu gdańskich Polaków. Bo o czymże innym mógł myśleć gość?

- Otóż zaszło coś niespodziewanego. Coś, co każe pańskie „niestety” wziąć w cudzysłów. W dodatku taki ze znakiem zapytania.

Zainteresowanie, jakie odmalowało się na twarzy Holendra, nie było zbyt dyplomatyczne.

- Co ma pan na myśli?

- Jest pan wytrawnym rzeczoznawcą - z pozorną swobodą odparł Osowski.

- No cóż... - van Clijs nie zamierzał się sprzeczać.

- Otóż mój rząd zamierza zwrócić się do szanownego pana w pewnej delikatnej... niezwykle delikatnej sprawie.

Cygaro gospodarza oddaliło się od ust.

- Niestety, muszę ponownie prosić pana, nim wyrazi pan zgodę, o zachowanie jak najdalej idącej dyskrecji.

- Oczywiście - van Clijs jednak nabrał do ust nieco dymu.

- Uprzedzam jednak - Osowski jakby się zmieszał i strzepnął z wełnianej marynarki niewidoczny pyłek - że realizacji pańskiej przysługi będą towarzyszyły pewne okoliczności, które może pan uznać za dziwaczne.

- Zaczynam być bardziej niż zainteresowany - rozmówca przedstawiciela polskiej administracji rządowej zarumienił się.

Uśmiech zadowolenia przemknął przez twarz Osowskiego.

- Na początku otrzyma pan fotografie pewnych precjozów. Później, choć nie wiem jeszcze, kiedy to nastąpi, zostanie pan przewieziony w nic niemówiące panu miejsce.

- Z zawiązanymi oczami? - zażartował Holender, ale wyraz twarzy Osowskiego wysoce go zaniepokoił.

- Takich spraw nie załatwia się w Komisariacie Rządu RP, choć jesteśmy poważnym organem - pokiwał głową sobowtór Jana Kiepur. - Czy wyraziłem się dostatecznie jasno?

Cygaro Holendra, a raczej to, co z niego zostało, spłaszczyło się w popielniczce pod wpływem mocnego, nerwowego nacisku.

- Czy panowie oszaleli? Chcecie mnie wplątać w coś nielegalnego?

- Zapewniam pana, że z punktu widzenia prawa państwa, na którego terenie się znajdujemy, wszystko jest w najlepszym porządku. Chodzi nam jedynie o zagrożenie możliwością przechwycenia informacji przez... powiedzmy, przez inne strony.

- Ale dlaczego nie zwrócić się do jakiegoś polskiego rzeczoznawcy?

- Ponieważ dla każdego polskiego rzeczoznawcy sprawa byłaby zbyt emocjonalna.

Mógłby nie być obiektywny. Nie wiemy też, jak daleko sięga infiltracja z zagranicy. Rozumie pan, czasy są szczególne.

- A pan chce mi wmówić, że macie zaufanie do mnie, obcokrajowca, w dodatku całe życie mieszkającego w Niemczech, a potem w Wolnym Mieście Gdańsku?

- Widzi pan, panie van Clijs, pan musi być wobec nas lojalny - ostatnie słowa, wypowiedziane z naciskiem, przeraziły Holendra. - Gdyby dowiedziano się tu i ówdzie, że przed osiemnastu laty miał pan znakomite kontakty z pewnymi ludźmi, którzy tworzyli właśnie „dwójkę”, pana sytuacja byłaby nie do pozazdroszczenia. Ale przecież o tym, umówmy się, wie kilka osób w Polsce. I pan. I jeszcze ja. Niech tak zostanie. A skądinąd jest pan najlepszym fachowcem, jaki jest nam znany.

Gospodarz pokręcił głową i uśmiechnął się kwaśno.

- A gdybym jednak, nie licząc się z konsekwencjami, odmówił?

Dłoń Osowskiego wykonała bardzo nieokreślony gest.

- Łaskawy panie, pan nie może odmówić, ponieważ wie pan już zbyt wiele. Nie chciałbym być niegrzeczny, ale pański wybór jest bardzo ograniczony. Usłyszał pan, powtórzę, zbyt wiele.

- Mój Boże! Nie wiem nic!

- I to też prawda - pokiwał głową Osowski, a w jego głosie zabrzmiało szczere zrozumienie. - Wie pan jednak, że zwróciliśmy się do pana jako rzeczoznawcy.

I że sprawa jest dyskretna. My zaś pamiętamy, jak bardzo pomógł nam pan kiedyś. Nie zamierzamy o tym zapomnieć.

- Nie ma nic bardziej cynicznego niż cynizm - błyskotliwie zauważył van Clijs.

- Niemniej zgadza się pan. Jestem wysoce zobowiązany.

- Nie mam innego wyjścia, już wiem. Na jakie honorarium mogę liczyć? -

Rzeczoznawca wyprostował się i popatrzył na Polaka wyzywająco. Zbyt długo pracował w swoim zawodzie, żeby zaniechać dopowiedzenia tak istotnej kwestii.

Gość rozparł się wygodnie w fotelu. Wprawdzie van Clijs zadał dość odważne pytanie, zważywszy na słowa, które przed chwilą usłyszał, ale to Polak był panem sytuacji.

Kukułka, która wynurzyła się ze starego zegara, obwieściła godzinę dziesiątą.

- Przed niespełna dwudziestu laty nie pytał pan o takie drobiazgi.

- Człowiek dorośleje - zaśmiał się półgębkiem Holender.

- Z pewnością. Ale - Osowski teatralnym gestem podniósł palec - rozumiem, że za tak niekonwencjonalną usługę należy się jakaś nagroda.

- Nagroda? - zdziwił się starszy z mężczyzn. - Nie nazwałbym tego nagrodą. Użyłem właściwego słowa: „honorarium”.

- Trzy, może cztery tysiące.

- W takim razie cztery - Holender skrzywił się nieco. - Oczywiście dolarów.

- Chyba kanadyjskich? W „Danziger Neueste Nachrichten” pisali ostatnio, że przed tą walutą jest wielka przyszłość.

- Amerykańskich - roześmiał się van Clijs. - Niech pan nie nadużywa mojej szlachetności.

Osowski, który najwyraźniej dobrze się bawił, spojrział w górę, jakby stamtąd przyjść miała odpowiedź przełożonych.

- Dwa tysiące złotych i dwa tysiące dolarów.

- Tysiąc złotych i trzy tysiące dolarów - bez namysłu odparował van Clijs.

- Podobno Holendrzy byli kiedyś Szkotami, ale wygnano ich z kraju za skąpstwo i umiłowanie pieniądza.

- Podobno Polacy zostali stamtąd wygnani znacznie wcześniej.

- I dlatego się poprawili. Mieli na to więcej czasu. Niech i tak będzie. Zgadzam się.

W tamtej chwili Holender pożałował, że nie negocjował konsekwentnie czterech tysięcy dolarów. Zauważył, że wysłannik komisariatu rządu i tak był zadowolony. Gdyby był twardszy... Tak, ale w pewnym momencie Polak znów mógł użyć szantażu i usztywnić stanowisko, z czystej złośliwości i chęci zademonstrowania, kto ma decydujące słowo.

„Trudno, nie jest źle” - pomyślał.

- Kiedy mogę się spodziewać sygnału od pana? - spytał rzeczowo.

- Chyba nie przewiduje pan wyjazdu z Gdańska?

- Nie, ale oczywiste jest, że chciałbym być przygotowany. Widzi pan, moja żona ceni sobie, kiedy regularnie wracam z pracy i mówię jej o wszystkim, tutaj natomiast będzie trzeba zastosować jakiś fortel. Zresztą z panów winy, a nie mojej.

- W istocie, pani Wilhelmina jest szacunku godną damą i szkoda, że będzie pan musiał stosować wybiegi.

- Skąd pan wie, jak moja żona ma na imię? Osowski spojrzał na Holendra z dezaprobatą.

- No tak. Przepraszam...

- Nie szkodzi - Polak machnął pojednawczo ręką.

- Przypuszczam, że w ciągu najpóźniej tygodnia skontaktujemy się z panem. Proszę tymczasem nie kłaniać się ode mnie żonie. Nie powinna wiedzieć zbyt wiele...

W gabinecie Zygmunta Noskowskiego było głośno. Stanowczo za głośno, jak na oczekiwania gospodarza. On sam starał się zawsze zachowywać powściągliwie i z godnością właściwą urzędnikowi państwowemu.

Nie wszyscy jego goście przywiązywali wagę do tak staromodnych ceregieli. Oto naprzeciw Noskowskiego rozsiadł się wygodnie Karol Szalewski, postawny mężczyzna w mundurze majora Wojska Polskiego. Gospodarz zastanawiał się nieraz, jak Wydział II mógł delegować w tak zapalny punkt, jakim był Gdańsk, osobę wysoce niefrasobliwą i niemal niekryjącą się, jaki jest jej właściwy przydział.

- Kochany panie Noskowski - Szalewski beztrósco wyszczerzył zęby - może pan zacząć. A na co mnie ten cały Osowski?! Nudny jak taka jedna księgowa z Drukarni Gdańskiej, co to chciała mnie prowadzić na majowe do kościoła św. Stanisława trzy razy w tygodniu. Zresztą nieważne! Toż on na froncie nawet nie był, życia nie zna. Masz pan jakiego sznapsa w szafie? Strasznie mi słabuje krążenie.

- Panie majorze, nie wiem, czy pora na takie ekstrawagancje...

- Co nie pora?! Co nie pora?! - zaperzył się Szalewski. - Nieużyty z pana człowiek.

Wczoraj spać diabelnie późno poszedłem, to i pić się chce. Nie mówię, żeby zaraz jaka libacja, ale po kusztyczku...?

Noskowski zdawał się kapitulować. Bezradnie spojrzął na wojskowego i nagle wpadła mu do głowy myśl, że może któraś z dziewcząt zaparzy aromatycznej kawy. Kawa stanowczo bardziej przydałaby się majorowi, który poprzedniego dnia musiał się solidnie upić.

- Ja może zawołam po kawę? - zaproponował nieśmiało.

- Pan jesteś kutwa i truciciel - Szalewski był zgorszony. - Nie wiesz pan nawet, ile ja już dziś kaw wypilem. I co? I nic! Jeszcze gorzej, jeszcze bardziej pić się chce.

- Może więc karafkę z wodą podam...

- A czy ja jestem wysłużona kobyłą, żeby wodę żłopać? Dajże pan pokój! Nu, za zdrowie pana marszałka wypijemy!

- W takim razie, kiedy za marszałka...

Gospodarz już sięgał do dębowego kredensiku, zrezygnowany, wiedział bowiem, czym zazwyczaj kończył się „sznaps” w wykonaniu majora odrodzonego Wojska Polskiego, ale uratowało go stukanie do drzwi gabinetu.

- Proszę!

Przed mężczyznami stanął Władysław Osowski.

- Moje uszanowanie, panie dyrektorze. Moje uszanowanie, panie majorze - przybyły skłonił się z galanterią i szacunkiem.

- A, jesteś pan wreszcie - ze źle maskowaną ulgą powitał podwładnego Noskowski.

- Jesteś pan - pokiwał głową Szalewski i podejrzliwie taksował wzrokiem wymuskaną postać przybyłego.

- Panowie - zawahał się Osowski, nie korzystając z niemego zaproszenia, aby zająć miejsce na jednym z krzeseł - rozmowa, którą musimy przeprowadzić, jest fundamentalnie poufnego charakteru.

- I cóż stąd...? - szczerze zdziwił się Szalewski, któremu pragnienie doskwierało coraz bardziej.

- Upraszam więc szanownych panów, aby przeprowadzona została na zapleczu komisariatu. Mały dziedziniec jest miejscem, gdzie nikt nie będzie... nam przeszkadzał.

Zdziwienie Noskowskiego było ogromne.

- Sugerujesz pan podsłuch? Nasze dziewczęta...? Wiesz pan, co to za oskarżenie?

- Oczywiście, że nie chodzi mi o pannę Wandę i pannę Stanisławę. Raczej o techniki służb, niekoniecznie nam przyjaznych. Nie dalej jak przedwczoraj byli u pana stolarze. I jakoś dziwnie mi wyglądali.

- Może rzeczywiście nieco ostrożności nie zaszkodzi?

- Chodźmy więc, do kroćset - przeciął dywagacje Noskowskiego Szalewski, który przypomniał sobie, że po drodze na dziedziniec komisariatu znajdował się bufet, gdyż przestał już liczyć na przyjazny gest ze strony gospodarza.

Wychodzących uważnym spojrzeniem obrzuciła panna Wanda. Stasia przelotnie obejrzała sobie majora, a znacząco spojrzała w oczy Osowskiemu. Niestety, były to ułamki sekund.

Krótki papieros bez lufki niemal przypalił palce Szalewskiemu, tak łapczywie major zaciągał się raz po razie. Dobry nastrój zdawał się wreszcie rozlewać po jego udręczonym biesiadą ciele.

- Tak więc, szanowni panowie - zaczął Osowski bez zbędnych wstępów - mamy do czynienia ze sprawą wagi państwowej.

- Ja mam, imaginuj pan sobie, codziennie do czynienia z takim sprawami - zaśmiał się major.

- Więc i ta na pewno pana zainteresuje - dyrektor Noskowski był zadowolony z siebie, rzadko bowiem udawało mu się uciąć czyjeś ekscesy słowne celną pointą.

Tymczasem Osowski badawczym wzrokiem ogarnął ściany budynku otaczające dziedziniec. Co prawda, ktoś mógłby się zdziwić, że trzech mężczyzn rozmawia na dziedzińcu i ich spotkanie było niby widoczne, ale przez swą jawność jednak mało podejrzane. Widać referent nie zauważył niczego niepokojącego, bo kontynuował.

- Panie majorze, pana pomoc i możliwości są nam potrzebne. Pamiętaj pan z pewnością czasy traktatu ryskiego.

- Do diabła - majorowi pochlebilo pierwsze ze zdań wypowiedzianych przez młodego mężczyznę - aż tak staro wyglądam? A toż człowiek stara się jak może, o zdrowie dba, i takie tam inne, a tutaj gołowąs wiek będzie wypominał...

- Daj pan pokój - dyrektor Noskowski, jak zawsze poważny, pokręcił głową. Nie w głowie były mu żarty.

- Raptem siedemnaście lat.

- Ale ile się przez ten czas wydarzyło! - z przechwałką w głosie odparł Szalewski.

„Czy ja wiem?” - sam siebie zapytał Noskowski i skinął na sobowtóra Kiepury, aby ten mówił dalej.

Oto na biurko referenta Władysława Osowskiego trafił list. Niby nic wielkiego, w końcu na jego biurku codziennie pojawiały się dziesiątki listów od rozmaitych nadawców i w rozmaitej wagi sprawach.

Z zasady nie rozcinał kopert, na których nie widniało nazwisko i adres nadawcy.

Tamtego dnia takich listów było trzy. Jeden zachlapany tłuszczem i pogięty, drugi imienny, na nazwisko Osowski, ale adresat po piśmie rozpoznał, że jest to kolejna epistoła od panny Irminy Botschke z Długich Ogrodów, lat szesnaście, która od kilku tygodni pałała gorącym afektem do młodego referenta i średnio co dwa, trzy dni przesyłała mu płaczliwe wyznania.

Nie odpisał nigdy, a od dwóch tygodni listów od panienki nawet nie otwierał. Trzeci list adresowany był również do niego.

- Z początku nie zamierzałem go otwierać, pan dyrektor zna mój zwyczaj. Poszedłem do bufetu na mocną kawę, a kiedy wróciłem, niechcący strąciłem z rogu biurka tamten list.

- I z koperty rozległa się prośba, żeby go otworzyć - zaśmiał się major. - Do licha, takie coś wyczytałem w którejś z historii o Radziwille „Panie Kochanku”!

- Nie, panie majorze - z powagą odparł referent.

- Ja po prostu pochodzę z okolic Kołomyi, a tam naród jest wielce przesądny i przywiązany do znaków.

Szalewski już chciał znacząco syknąć: „Kołomyja...”, ale Osowski wyprzedził go, przedstawiając ciąg dalszy.

Szybkie pociągnięcie noża do cięcia kopert. Kartka. Staranne pismo. Pochyłe i regularne. Żadnego kleksa ani przekreślenia.

Raz jeszcze rozejrzawszy się dookoła, Osowski wyjął z aktówki, cały czas dzierzanej pod pachą, cienką teczkę z napisem „SPRAWA GEORGA ROOKA”. Pod spodem widniał dopisek „(PRECJOZA)”.

- Masz pan ten list? W środku? - dłonie Szalewskiego gwałtownie wysunęły się w stronę teczki.

- I owszem.

KOMISARIAT RZĄDU
RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
W WOLNYM MIEŚCIE GDAŃSKU

Szanowny Panie, postanowiłem mój list skierować właśnie do Pana, ponieważ usłyszałem o Panu kilka dobrych słów od przygodnego znajomego, ale nie mam do Pańskiej osoby żadnego stosunku, by tak rzec, personalnego. Proszę więc, aby traktować moje słowa niekoniecznie osobiście. Po prostu uznałem, że zwracając się do Komisariatu Rządu RP, mogę zacząć właśnie od Pana.

Nazywam się, powiedzmy, Georg Rook. Jestem kolekcjonerem, antykwariuszem, miłośnikiem dzieł sztuki - im poświęciłem całe moje życie. Nie czas teraz i miejsce na opowiadanie o mej pasji; na razie musi Panu wystarczyć to, co napisałem.

Nie ujawniam mojej pełnej tożsamości. Po przeczytaniu następnych zdań zrozumie Pan, że mam ku temu uzasadnione powody. Może dodam tylko tyle, że nieobce są mi wszelkie zawłóści rozmaitych szkół sztuki zdobniczej, malarstwa, emalierstwa, a rzeźba średniowieczna jest moją prawdziwą miłością.

Z przyjemnością pragnę Panu, a za Pańskim pośrednictwem Komisariatowi Rządu RP, zakomunikować, że wszedłem, bez zbytniego rozgłosu, w posiadanie pewnych bezcennych precjozów, które niegdyś były, a sądzę, że wkrótce powinny być nimi znów, własnością odrodzonego państwa polskiego. Dlaczego tak uważam? Wbrew temu, co myśli się niekiedy o kolekcjonerach i handlarzach dziełami sztuki, w naszej branży poczucie

przyzwoitości jest czymś niezwykle istotnym. Poza tym, choć w odniesieniu do owych precjozów użyłem określenia „bezcenne”, mają jednak swą wymierną wartość i w tym względzie liczę na zrozumienie z polskiej strony.

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że moje słowa nie muszą wydawać się wiarygodne.

Nie zachęcam do łatwowierności, ale radzę też, aby Szanowny Pan nie wyrzucał mego listu do kosza na śmieci.

Proszę jedynie o przyjęcie do wiadomości istnienia Georga Rooka. I upraszam o kilka dni cierpliwości. Wkrótce na Pańskim biurku pojawi się kolejny list, w którym bardziej szczegółowo określę, co mam rządowi polskiemu do zaoferowania.

Z wyrazami szczerego szacunku,

Georg Rook

Major Szalewski był nieco rozczarowany. Stwierdził, że instytucja, której tak ofiarnie służy od lat, nie takie listy otrzymywała. I, obojętnie czego dotyczyły, okazywały się wytworami szaleńców, a przynajmniej psychopatów.

- Zdawałem sobie sprawę, że taka będzie Pańska reakcja - pokiwał głową dyrektor Noskowski. - Panie referencie, proszę o oddanie listu.

- Oczywiście - Osowski skłonił się z dostojeństwem mistrza ceremonii dworu hiszpańskiego.



Na eleganckiej, automatycznej delbanie Alberta Ruthego sekundnik dotarł do dwunastki. W tym momencie zegar na wieży dworcowej wybił szesnastą.

Ruthe wrócił właśnie z Sopotu, gdzie gościł z prywatną wizytą u swojego stryja, znanego w Gdańsku profesora Wyższej Szkoły Technicznej, specjalisty na Wydziale Maszyn Hydraulicznych. Młody człowiek rzadko miewał nieco wolnego czasu, zresztą kochał swoją pracę, ale wizyty u wuja, znanego miłośnika cygar i drogich a rzadkich alkoholi, stanowiły dla niego miłą odskocznnię od codzienności.

Wrzucił do kosza „Danziger Zeitung”, którą zdążył już przejrzeć. Minął Urząd Celny, przed którym gestykułując, dyskutowało z sobą dwóch mężczyzn w średnim wieku. Spojrzał na drzwi wejściowe do Dyrekcji Gdańskiej PKP.

Po chwili zakupił w niewielkim sklepiku opakowanie nugatowych czekoladek.

Zaszeleścił papierek i podniebienie Ruthego doznało miłego podrażnienia. Czuł, że jest pełen energii. Jego myśli precyzyjnie powlekały ludzi i przedmioty, którym miał się poświęcić.

Zatopił wzrok w zachmurzonym niebie. Przez moment pożałował, że nie ma przy sobie parasola, ale zaraz też uśmiechnął się do siebie.

- Może i dobrze?

W dwadzieścia minut później stał nieopodal gmachu komisariatu rządu. Znów odruchowe spojrzenie na delbanę (była całkiem nowym nabytkiem; Ruthe kupił ją trzy dni wcześniej na Rajskiej u Franza Alfaengera i cieszył się nią jak dziecko). Uśmiech, ni to łobuzerski, ni to niewinny.

Obok mężczyzny przechodziły się tłumy ludzi wracających z pracy i uwijających się wokół codziennych sprawunków. Niektórzy byli zniecierpliwieni, że ktoś stoi sobie spokojnie, tarasując trotuar. Ruthe nie bardzo przejmował się okazywaną sobie przygodną niechęcią i uważnie wpatrywał się w drzwi głównego wejścia do komisariatu.

„Nowe Ogrody. Nowe Ogrody” - nie wiedzieć czemu, powtarzał w myślach nazwę ulicy.

Pierwszy wyszedł jakiś wąsaty urzędnik z dużą teczką. Tuż za nim panienka o szczupłej sylwetce. Trzecia... Właśnie ona.

Ubrana jak na maszynistkę przystało. Szara garsonka, pod spodem biała bluzka. Pod nią... Pod nią nic już nie mógł zauważyć; wyobraźnia nie chciała pracować w takim momencie.

Zrobił kilka szybkich kroków w kierunku dziewczyny i zderzając się z nią, zadbał, żeby jego głowa odwrócona była, niezwykle wiarygodnie, w przeciwnym kierunku.

- Najmocniej panią przepraszam - powiedział zakłopotany, widząc, jak panna Stanisława bezradnym wzrokiem ogarnia torebkę upuszczoną na chodnik.

- Mógłby pan uważać. - Jeszcze nie spojrzała na mężczyznę.

Odpowiedziała niemczyzną. Mówienie w Gdańsku w miejscach publicznych po niemiecku stało się dla niej naturalnym odruchem.

Runął do jej stóp i obiema rękami uchwycił się torebki, imitującej droższą niż była, taką ze skóry krokodyla. Przy okazji kontem oka

obejrzał łydki panny w nawet ładnych pończochach.

- Jest pan szybki. Szybko pan potraça kobietę i szybko naprawia szkodę.

- Naprawdę nie chciałem, raz jeszcze przepraszam - niezbyt szczerze, za to przekonująco zapewnił Ruthe, dokładnie otrzepując drogocenną zdobycz. Zaraz jednak musiał oddać ją dziewczynie, która spojrzała na niego nie bez zainteresowania.

- Obiecuję, droga pani, że to się więcej nie powtórzy - zapewnił tonem, jakim skaut składa przysięgę.

- Oczywiście, ponieważ nie będzie miał już pan okazji do podobnych czynów. - Stasia podjęła grę.

- Gdyby jednak zechciała pani przyjąć moje przeprosiny...

- Nie gniewam się.

- I propozycję zadośćuczynienia. Czuję się zobowiązany wobec pani. Czy wyświadczyłaby mi pani zaszczyt i przyjęła zaproszenie do cukierni?

- Do cukierni? - zdziwiła się.

- Owszem, do cukierni.

- Ale ja wracam z pracy. Jestem zmęczona po całym dniu siedzenia przy maszynie.

- O! Jest pani maszynistką! Szalenie interesujące...

- Tak. Pracuję w komisariacie polskiego rządu - obwieściła Stasia i pomyślała zaraz, że Wandzia byłaby z niej dumna. Z pewnością sama by tak odpowiedziała.

Tyle że Wandzia po takich słowach zadarłaby nosek do góry, odwróciła się na pięcie i poszła z godnością w swoją stronę. Tymczasem ona nie miała na taki czyn najmniejszej ochoty.

Zdążyła obejrzeć sobie roztargnionego młodego człowieka. Nawet jej się spodobał.

Wiadomo, nie był tak przystojny jak Władek Osowski, ale tamtemu mało kto mógł dorównać.

- Pani pozwoli, że się przedstawię - mężczyzna nie dawał za wygraną - Albert Ruthe. I bardzo dobrze się składa, że pani pracuje w takim miejscu. Moja matka jest Polką.

- Stanisława Królikowska - odpowiedziała grzecznie, ale bez przewidzianego w takich sytuacjach urzędowego chłodu.

Właśnie. Nie tak przystojny jak jej wymarzony panicz ze dworu w okolicach Kołomyi. Ale i ten miał w sobie to coś. Kłamie. Nie ma żadnej matki Polki, po prostu chce ją poderwać na patriotyzm. Czystej wody Niemiec. Blondyn, wysoki, wypukłe czoło, wąskie usta, uśmiech trochę butny, a trochę melancholijny. Buty czyste i chyba prawie nowe. Prosty jak struna.

- Bardzo proszę... - w tych słowach nie było już dumnej niemieckości. - Inaczej nie wybaczyłbym sobie, że tak okropnie panią potraktowałem. Tylko na kwadransik. Może dwa...

- Kwadransik - odpowiedziała po stosownym zawahaniu. - Mówiłam już, jestem zmęczona. Musiałam dziś w trakcie pracy iść aż do Gimnazjum Polskiego, niedaleko bastionu św. Gertrudy.

- Obiecuję, że nie będę długo dręczył pani swoim towarzystwem - zapewnił Ruthe. -

Proponuję cukiernię Bruniensa, tę na Długim Targu. Popołudnie takie słoneczne, zdąży pani do domu. Mam nadzieję, że nie mieszka pani zbyt daleko?

- Mieszkam, gdzie mieszkam - padła wyzywająca odpowiedź, ale jednocześnie kroki Stasi machinalnie skierowały się w stronę Długiego

Targu.

Siedzieli naprzeciw siebie, z początku milczący, co i raz zerkający na siebie z zaciekawieniem.

Kelner przyjął zamówienie na dwie kawy, szarlotkę i torcik czekoladowy. Kiedy się oddalił, młody człowiek zwrócił się do towarzyszki najczystsza polszczyzną: - Idę o zakład, że nie uwierzyła pani, iż moja matka jest Polką.

- Nie uwierzyłam - Stasia miała nie najmądrzejszy wyraz twarzy.

- Mężczyznom niekiedy można wierzyć.

- Niekiedy, owszem. Ale nie do końca i zazwyczaj nie tym przygodnie poznanym.

- Ale każdy sposób nawiązania znajomości, jeśli się pani zastanowi, jest w jakimś sensie przygodny.

- Nie do końca - zaprzeczyła Stasia. - Kiedy na przykład w domu rodzinnym przedstawiony zostaje ktoś, kto wzbudza zaufanie najbliższych... Przyzna pan, że jest różnica.

- Ale i takie poznanie jeszcze parę dni wcześniej wydawało się nieprzewidziane - Ruthe nie dawał za wygraną. - A propos, jaki jest pani dom rodzinny? Bardzo mnie to interesuje. Rozumie pani, mam nikły kontakt z polskością.

- A to już chyba pańska wina? Cóż stoi na przeszkodzie, żeby, dajmy na to, zapisać się do Towarzystwa Śpiewaczego „Lutnia”?

- Wyleciałbym stamtąd szybciej, niż sam bym się spodziewał. Mam słuch do niczego - Ruthe roześmiał się na tyle głośno, że siedzący przy sąsiednim stoliku mężczyzna o fizjonomii chrabąszcza spojrzął zdziwiony w stronę rozmawiającej pary.

- Albo zagrałby pan w Gedanii. Znam wielu młodych ludzi, których pasją jest futbol.

- Wolę szachy. Czy tutejsi Polacy mają jakiś klub szachowy?

- Nic mi na ten temat nie wiadomo - Stasia odpowiedziała całkiem poważnie.

- A... wracając do pani domu?

Powtórne pytanie wprowadziło dziewczynę w zakłopotanie. O czym miała opowiadać? O niezamownym krawcu i jego czwórce dzieci, które nie mogły pozwolić sobie na choćby używane łyżwy, kiedy w mieście rozpoczynał się sezon ślizgawek? Albo na cukierki karmelowe, które w sklepiu Libszyca kosztowały dwa złote za kilogram?

Szczęściem jej dom, odkąd pamiętała, zachowywał wszystkie polskie tradycje, z kolędami, wieczorem andrzejkowym i sobótkowymi ogniskami. O tym zaczęła opowiadać, a mówić mogła dużo i ładnie, patrząc przy tym w oczy rozmówcy, to zalotnie, to z nutką melancholii. Na czoło spadł jej niesforny loczek, co Ruthemu bardzo się spodobało.

- A pański dom? Jaki był?

- Nie ma o czym mówić - Albert wykonał nieokreślony ruch dłonią. - Mój ojciec kiedyś pracował w browarze Adlera, a od ładnych dwudziestu lat jest dyrektorem produkcyjnym u Eduarda Rothenberga. Wie pani: papa i materiały budowlane. Nigdy nie ma go w domu. Paradoks, prawda? Handluje materiałami służącymi do budowy domów, a własny dom jest dla niego czymś tak egzotycznym jak, nie przymierzając, Namibia dla naszego pokolenia.

- A matka? Już wierzę, że jest Polką.

Ruthe uśmiechnął się z rozczuleniem. Z matką miał znacznie lepszy kontakt. Gdy uczyła go polskiego, dochodziło do wielu scysji. Ojciec nawet nie dowiedziałby się, że syn swobodnie posługuje się językiem swojej matki, ale dziadkowie, wujkowie i ciocie mieli baczenie na wychowanie dziecka, świadomi, że matka może zarazić je obcymi

wpływami. I mieli rację, tyle że nie bardzo mogli przeszkodzić. Za cenę wyraźnego ochłodzenia relacji rodzinnych pani Ruthe nauczyła syna władać polszczyzną. Wpoila mu też, jak powiedział, brak jakichkolwiek uprzedzeń narodowych i rasowych.

- A czym się pan zajmuje? - Stasia kilka chwil wcześniej zaczęła wyzbywać się resztek nieśmiałości.

- Eee - znów nieokreślony ruch ręką, tym razem tak, aby pokazać pannie nową delbanę. - Jestem doradcą ekonomicznym w tutejszym oddziale Dresdner Banku.

Próbowałem jako nauczyciel matematyki w Conradinum, ale bankowość jest nieco ciekawsza.

- Ależ to bardzo odpowiedzialna posada - łyżeczka Stasi z kawałkiem torcika zawisła w powietrzu.

- Powiedzmy - Ruthe uśmiechnął się niedbale. - Ale praca niezbyt katorżnicza.

Analizy finansowe wykonuje się szybko, niemal intuicyjnie.

- Proszę opowiedzieć o swojej pracy - jej oczy zaświeciły się jak dziecku na widok lizaka.

Zmierzchało, gdy dochodzili na Piwną. Wokół panowała cisza. Przechodnie, których tak wielu było na ulicach jeszcze godzinę wcześniej, poznikali we wnętrzach domów, kawiarni, restauracji i pospolitych knajp.

- Jaki piękny wieczór - Ruthe zadeklamował jak aktor w filmowym melodramacie.

- Piękny - potwierdziła Stasia. - Tyle że moja gospodyni, pani Labenz, może nie podzielać naszego zachwytu. Zwłaszcza jeśli zaraz nie znaję

się w domu. Jest bardzo wyczulona, jeśli chodzi o właściwe zachowanie. Tu mieszkam.

Albert przystanął, spojrzał w oczy Stasi.

- Tylko jedno pani słowo, a otruję tę Labenz.

- Pan żartuje, a ja naprawdę muszę już iść. Przysunął się nieco bliżej.

- Spotkamy się jeszcze?

Policzki Stasi musnęły powiew. Nie wiedziała, czy to leciutki wietrzyk, czy jego oddech. Na wieży kościoła Mariackiego zegar wybił dwudziestą drugą.

Major Szalewski niedbale rzucił za siebie niedopałek. Sięgnął do srebrnej papierośnicy i z irytacją zauważył, że jest pusta. Bezradnie spojrzął na Pałac Opatów, jakby jego dawni właściciele mogli zaradzić w kwestii karygodnego zachowania papierośnicy.

- Może wieszowałby pan sobie cygaretkę? - zaproponował Osowski.
- Dajże pan pokój z ceregielami - uradowany major chciwie wyciągnął dłoń w kierunku referenta. - Byle śmierdziało, już będzie cacy!
- Czy mam czytać dalej?
- I owszem, kochaneczku.

Tak więc sam pan oceni, czy Georg Rook ma podstawy, aby uważać się za stronę kompetentną i wartą nawiązania znajomości opartej na miłości do sztuki.

Jak pan wie, traktat ryski drobiazgowo regulował rozmaite kwestie i chwala za to polskim dyplomatom, jak również wielu tamtejszym fachowcom w swoich dziedzinach.

Między nami - z Rosjanami, a bolszewikami w szczególności, tak trzeba. Inaczej, jak na Azjatów przystało, wykorzystają bez skrępowania słabość przeciwnika. Ale to dygresja.

Państwo polskie, mimo olbrzymich strat w sferze dóbr kultury, potrafiło, wskutek posiadania niezłej wiedzy o tym, gdzie

przechowywane są dobra zrabowane przez rządy carskie i bolszewickie, wyegzekwować odzyskanie większości z nich. Trwało to lata, niektóre z dzieł dopiero teraz wracają do Polski, niemniej rozciągnięcie procesu w czasie było, ze względu na skalę przedsięwzięcia, nieuniknione.

Jako pasjonata sztuki, zawsze interesowała mnie kwestia wiarygodności niektórych kolekcji czy pojedynczych przedmiotów. Bo proszę sobie wyobrazić: strona polska, wnosząc o windykację określonego zbioru (lub przedmiotu), musiała posiadać stuprocentową pewność co do jej istnienia lub istnienia NADAL. W przeciwnym razie narażałaby się na protesty strony sowieckiej i wysuwanie przez nią wątpliwości co do wiarygodności, a także oskarżeń o pazerność i chęć wyłudzenia czegoś w zamian za zaginione przedmioty. A sam pan wie, że Sowieci w każdym kraju mają w prasie i dyplomacji, jak mawiał Lenin, użytecznych idiotów, więc można było przewidzieć, że strona polska narażona będzie na gniew zachodniej, urobionej opinii publicznej. Nic nowego, czyż nie? Należało tego uniknąć i dlatego wystrzegano się jak ognia wniosków o zwrot przedmiotów, które funkcjonowały na wpół legendarnie.

Czy słyszał pan o depozycie księżnej Ostrogskiej? Sądzę, że nie. Otóż historia jest wielce interesująca.

Księżna Ostrogska, z domu Dorohostayska, była żoną wielce zasłużonego dla konfederacji barskiej Franciszka Ksawerego Ostrogskiego, stolnika płoskirowskiego. Stolnik przeżył konfederację, mimo odniesionych ran. Nigdy jednak nie wrócił do dawnego zdrowia i w rok po pierwszym rozbiorze (ten wasz nieszczęsny kraj...) umarł. Z apatii, zgryzoty, jakiejś choroby, Bóg

raczy wiedzieć. Dość, że Eufrozyna Ostrogska została posażną wdową.

Posażną, bo pan stolnik na szczęście miał majątek w postaci ordynacji, inaczej wszystko, nie tylko pewną sumę pieniędzy, obróciłby i zastawił na uzbrojenie oddziału swojego i innych.

Bywały takie sytuacje.

Minęło dwadzieścia jeden lat, doszło do drugiego rozbioru. Rozumiem, że Pan doskonale o tym wie, ale moje wtręty historyczne niezbędne są, aby przedstawić czytelnie całość sprawy. Płoskirów i jego okolice, nie tylko najbliższe, objął rosyjski zabór. Pani Eufrozyna, tak jak większość jej rodaków, nie miała już nadziei na lepsze czasy. Postanowiła pozbyć się ordynacji i wyjechać do Warszawy lub dalej. Jednak operacja nie była taka prosta, specyfika tej formy majątku wykluczała sprzedaż. Wdowa przypomniała sobie jednak o dalekim kuzynie swojego męża, szczęściem również noszącym nazwisko Ostrogski. Kuzyn był znacznie młodszy, więc mogła go usynowić, aby przepisom dotyczącym dziedziczenia ordynacji stało się zadość. Miała córkę, trzydziestoletnią wtedy kobietę, ale ta dawno wyszła za mąż i przeprowadziła się w okolice Lwowa; nie miała prawa do dziedziczenia majątku.

Kuzyn Ostrogski ochoczo przystał na propozycję wdowy i już po roku administrował w ordynacji.

Eufrozyna nie była jednak tak łatwowierna, żeby zdać się na łaskę właściwie nieznanego sobie „syna”. Praktycznie opróżniła pałacyk, swoją i zmarłego męża siedzibę, ze wszystkiego, co miało jakąś wartość. Meble, dywany i w ogóle przedmioty o większej objętości spieniężyła i choć w czasach wojny i niepewności nie

uzyskała takiej ceny, jaką osiągnęłaby w normalnych warunkach, fortuna była i tak niegorsza. Mając pieniądze, mogła zacząć życie od nowa, jeżeli można tak powiedzieć.

Tutaj zaczyna się najciekawsza część mojej opowieści.

Dłoń Szalewskiego z olbrzymią siłą i takąż bezceremonialnością wylądowała w okolicach barku referenta.

- Teraz będzie, czuję to wybornie! Do licha, daj mi pan ten list, sam przeczytam!

Osowski posłusznie oddał list majorowi.

Ostrogscy nie byli żadnymi magnatami, jakich skądinąd na Kresach nie brakowało, ale pamiętać należy, że nosili bardzo dobre nazwisko, kojarzące się z wielkimi wodzami i posiadaczami ziemskimi. Pochodzili zresztą z jakiejś bocznej linii książąt Ostrogskich, ród był bardzo rozgałęziony. Mimo rozlicznych wojen i nieszczęść, jakie trapiły waszą ojczyznę, potrafili dorobić się na handlu zbożem i innymi dobrami pokaźnej fortuny. Inwestowali ją w ziemię i jej zagospodarowanie, w infrastrukturę, ale, rzecz jasna, posiadali też zabezpieczenie w złocie i rozmaitych precjozach. Dużą część tych walorów Franciszek Ksawery, jak już wspomniałem, przeznaczył na potrzeby konfederacji. Eufrozyna nie miała tak idealistycznych zapatrywań na sprawy kraju i w tajemnicy przed mężem pochowała rozmaite precjoza i złoto w kilku skrytkach na terenie pałacyku. Mąż wprawdzie dziwił się, że majątku jest mniej, niż sądził, ale ostatecznie nie starczyło mu już czasu i sił na zajęcie się tą kwestią.

Tymczasem wdowa, kiedy już definitywnie wyprowadzała się z rodzinnego domu, zabrała ze sobą wszystko, co zabrać planowała: walory uzyskane ze sprzedaży wyposażenia pałacu i to, co ukryła niegdyś przed mężem. Usynowiony Ostrogski i tak był zadowolony, ponieważ sam majątek i pałac warte były niemało, a ostatecznie jakieś sprzęty domowe też wcześniej posiadał. Zdawał sobie też przecież sprawę, że za tak łaskawy gest wdowie należy się jakaś rekompensata.

Wszystkie ruchomości miała niegdyś odziedziczyć córka i wnuki Eufrozyny, ale zaszło coś, co raz na zawsze zraziło wdowę do najbliższej rodziny. Otóż zięć, który bardzo szybko został wciągnięty w tryby administracji austriackiej (okolice Lwowa), nie życzył sobie przyjazdu teściowej, ostatecznie wdowy po polskim patriocie, o którym było głośno aż dotąd.

Cóż, kariera... Swoje dzieci od małego wychowywał w duchu miłości do nowej ojczyzny. Na koniec córka Eufrozyny, z obawy przed mężem, w krótkich słowach oznajmiła matce, że nie może przyjąć jej pod swój dach.

Cóż, gdyby wiedzieli, co zamierzała przywieźć ze sobą matka, teściowa i babka...

- A to tępe makówki! - pokiwał głową Szalewski i sięgnął po kolejną cygaretkę zaoferowaną sobie przez uprzejmego referenta.

- W istocie.

Jak już wspomniałem, Ostrogscy mieli rozliczne koligacje. Częściej we wschodniej części Polski, ale nie tylko. Tym razem jednak ważni będą krewni Eufrozyny.

Konkretnie Marniccy, zamieszkali na Suwalszczyźnie. Zanim wdowa pozałatwiała wszystkie formalności w dotychczasowym majątku, Polska przestała istnieć. Eufrozyna pojechała do Marnickich, ci zaś chętnie przyjęli daleką krewną, ponieważ przeprowadziła z nimi bardzo szczerą korespondencję, w której poinformowała, co może wnieść jako swoiste wiano.

Na miejscu okazało się, że najmłodszy z Marnickich, Szczęsny, nie ma ochoty być poddanym cara (trudno mu się dziwić...). Kilkanaście kilometrów od rodzinnych dóbr, już za pruską granicą, w stronę Ełku, mieszkali von Marnitzowie. Nie czas na wyjaśnianie, jak doszło do podziału rodu, w wyniku którego po dwóch stronach granicy rozmieścili się ludzie mówiący różnymi językami, posiadający inną pamięć historyczną, a jednak utrzymujący z sobą sporadyczne, acz nacechowane sympatią, kontakty.

Szczęsny przeniósł się do Prus, a z nim ciotka Eufrozyna, która dość szybko weszła w konflikt ze starszymi przedstawicielami rodziny. Rzecz jasna, wywiozła z sobą majątek, który zamysłała pozostawić w spadku Szczęsnemu. Ten zaś został administratorem pewnej części dóbr von Marnitzów i przybrał imię Feliks.

Niedługo trwała stabilizacja życiowa Eufrozyny. Zamieszkała razem z młodym krewnym w przytulnym pałacyku i wszystko ułożyłoby się po jej myśli, gdyby nie wojny Prus z Napoleonem. Feliks zginął podczas działań wojennych. Tego już było za wiele dla wiekowej wdowy, przywiązanej do krewnego. Gwałtownie podupadła na zdrowiu, serce z dnia na dzień coraz bardziej słabowało. Jej sytuacja w pałacyku nie była pewna, von Marnitzowie nie przepadali za wdową, a rodzina Feliksa,

skonfliktowana z Eufrozyną i niemająca już widoków na spadek po niej, nie miała ochoty na dalsze goszczenie dalekiej krewnej.

Eufrozyna weszła w komitywę z miejscowym proboszczem (w okolicy, pośród morza protestantyzmu, istniały dwie katolickie parafie). Przekazała cały majątek parafii, z zastrzeżeniem, że należy do Marnitzów. Zmarła w trzy miesiące po śmierci Feliksa.

Minęło z górą sto lat. Był rok 1916. Od dwóch lat toczyła się wojna światowa.

Niezwyciężone wojska Wilhelma II biły Francuzów na Zachodzie, tymczasem w Prusach było nieco inaczej. Armia carska, która dzięki korzystnej linii granicznej nieraz zapuszczała się na wschodnie rubieże Niemiec, czyniła tam wiele szkód, wiążąc niemałe siły cesarskie.

Jeden z oddziałów rosyjskich zapuścił się w okolice pałacyku i parafii, znanych nam już wcześniej...

Jeśli zaciekawili pana losy stolnikowej płoskirowskiej, a wierzę, że tak jest, proszę dać mi sygnał. W przeciwnym razie, mówiąc wprost, szkoda mojego czasu. Nie przypuszczam jednak, żeby wykazał się Pan taką lekkomyślnością.

W najbliższy poniedziałek mógłby Pan stanąć w drzwiach komisariatu o godzinie 13.30, a ja, zobaczywszy Pana z oddali, będę wiedział, że zdecydował się Pan na kontynuowanie naszej, przyznaję, że osobliwej, znajomości.

Z wyrazami najgłębszego szacunku,
Georg Rook

- No horrendum, jak Bóg na niebie, horrendum!

- W jakim sensie, panie majorze? - Osowski spojrzał na rozmówcę z niepewnością.

- Maniakalny paranoik albo, co prawdopodobniejsze, cwany lis.

Na twarzy Szalewskiego gniew walczył z zaciekawieniem.

- Jak rozumiem, wyszedł pan o tej cholernej 13.30 przed komisariat?

- W istocie.

- Nie pytam, czy pan go jakoś rozpoznał, zauważył... Ale nie, do kroćset, właśnie pytam!

- A jak pan major sądzi? - melancholijnie odpowiedział pytaniem referent.

- Nie zauważył pan. Ot co.

- W istocie. Niech jednak pan major będzie tak łaskawy: mijają właśnie trzy dni, odkąd stanąłem w tamtych drzwiach. Sądzę, że jeśli sprawa jest poważna, nasz przyjaciel odezwie się szybko.

Szalewski uznał, że warto wygłosić perorę. Ewidentnie chodziło o skarb. Rook nie ukrywał, i można było to wyczytać między wierszami, że zamierza ubić z władzami polskimi doskonały interes. Nie było jednak pewności, czy jest maniakalnym paranoikiem, jak już zauważył, czy sprytnym handlarzem przedmiotami, które mogły się znaleźć w jego posiadaniu w sposób, który raczej nie bardzo nadaje się do omawiania na wykładach etyki. I chyba nie pierwszy raz przeprowadza podobną akcję.

- Widzisz, kochaneczku - dokończył major. - Jeżeli nasza ptaszyna pisze prawdę, w trzecim liście powinny znaleźć się jakieś konkrety. Jest sprytny, więc musi zdawać sobie sprawę, że kolejnego listu z opowiastkami już nie przełkniemy. Ot co!



Pani Wilhelmina van Clijs westchnęła głęboko. Nie po raz pierwszy zdarzyło się, że mąż zachowywał się w sposób nad wyraz podejrzany. Kiedy wychodziła za niego, cieszyła się, że Jaan jest taki przystojny. Była wtedy milutką gąską, ufną w swoją szczęśliwą gwiazdę.

Od dziecka opływała w dostatki, a dzięki zapobiegliwości rodziny Jaana i jego samego wiedziała, że nie zabraknie jej do końca życia ptasiego mleka.

Akurat to się sprawdziło. Handlarz antykami, mistrz w swojej branży, spełniał wszystkie zachcianki żony. Starał się, odkąd pamiętała, wracać do domu o godzinie, którą wcześniej podał. I, musiała przyznać, starał się nie dawać jej powodów do zazdrości. Co miała jednak poradzić, kiedy podejrzania w miarę upływu lat narastały. Z uwagi na specyfikę zawodu Jaan stykał się nieustannie z kobietami, i to eleganckimi, bogatymi, pewnymi siebie, na dodatek znudzonymi życiem małżeńskim.

Kiedyś znalazła w szufladzie jego sekretarzyka list z wyznaniem miłosnym jakiejś Holenderki, Roberty van Nijmegen, mieszkającej przy Targu Rybnym. Nie znała jej, ale od tego czasu jeszcze skrupulatniej przeszukiwała jego rzeczy osobiste. Wtedy tłumaczył jej, nawet przekonująco, że list napisała jakaś niezrównowazona wariatka, którą widział ledwie raz czy dwa i nie zapamiętał nawet dobrze jej twarzy.

Wilhelmina coraz częściej spoglądała w lustro, coraz częściej krytycznie. Nie mogła się powstrzymać od jedzenia słodczy, one zapełniały pustkę, jaka tworzyła się w jej umyśle i domu, kiedy mąż przebywał w swoim salonie. Przegapiła moment, kiedy miała leciutką nadwagę. Autokrytycyzm obudził się w niej, kiedy było, jak sądziła, za późno na rzucenie już co najmniej kilkunastu kilogramów. Z zazdrością obserwowała kobiety z kart magazynów mody i te, które w zwiewnych sukienkach i zaznaczających szczupłą talię garsonkach przemykały ulicami Gdańska. A jednak nie potrafiła walczyć sama ze sobą, aby stać się choć w przybliżeniu taka jak one.

W ostatnich dniach wydarzyło się coś, co zmieniło jej spojrzenie na życie i siebie samą. Początek zmian był raczej wielką niewiadomą, ponieważ Jaan kilka razy wrócił z salonu później niż zwykle, miał bardzo tajemniczą minę i nie chciał powiedzieć, co było powodem spóźnień. Zapominał nawet czule pocałować ją na przywitanie w policzek.

Właśnie westchnęła po raz kolejny nad swym losem, ale zaraz przypomniała sobie, że zdarzyło się coś jeszcze, coś, co przyćmiło tajemnicze zachowanie męża.

- Irmo! - powiedziała na tyle głośno, że spodziewała się natychmiastowego przybycia pokojówki. - Irmo!!! - niemal krzyknęła, stojąc przed lustrem.

Tym razem pokojówka usłyszała i poprawiając biały czepek, przekrzywiony podczas ścierania kurzu z ciężkich, starych mebli, stanęła przed panią.

- Irmo - cichym, niepewnym głosem zaczęła Wilhelmina - czy nie uważasz, że ostatnio straciłam nieco na wadze?

- Rzeczywiście - powiedziała bez namysłu Irma. Pracowała już u różnych państwa łącznie ze dwadzieścia lat i wiedziała, że przyznanie

racji chlebobawczyń, zwłaszcza w tak ważnej sprawie, jest korzystne dla niej samej. Nie tylko korzystne, ale wręcz konieczne.

- Czy ja mogłabym się jeszcze podobać? Mężowi, oczywiście.

Oczy Wilhelminy zwróciły się w stronę Irmy z taką niepewnością i nadzieją jednocześnie, że pokojówce niemal żal zrobiło się swojej pani.

Spojrzała na panią van Clijs. Przed lustrem stała szatynka o jasnej karnacji. Miała na sobie zielony, przezroczysty peniuar, pod którym odznaczała się atłasowa koszula nocna na cieniutkich ramiączkach, takiegoż koloru.

- Pani mąż, proszę pani, może mówić o wielkim szczęściu, posiadając taką kobietę u swojego boku - władcym tonem odparła Irma.

- Czy aby nie mówisz tego, żeby sprawić mi przyjemność?

- Ja nigdy tak nie postępuję, proszę pani. Wilhelmina z jeszcze większą uwagą spojrzała na osobę z lustra. Bo też było na co patrzeć. Ciało kobiety nie było skrzepowane żadnymi elementami bielizny korygującymi sylwetkę. Wydawało się dzięki temu jeszcze bardziej bujne niż wtedy, gdy szła ulicą w eleganckim kostiumie. Piersi, duże i wcale kształtne, poruszały się miarowo wraz z oddechem. Wszelkie wypukłości właściwe osobie o takiej, jak u Wilhelminy, tuszy zdawały się zapraszać do podziwiania.

Jeszcze kilka dni wcześniej nie przypatrywałyby się sobie z taką uwagą. Tymczasem odkąd posłaniec z kwiaciarni Becka z ulicy Powroźniczej przyniósł bukiet pąsowych róż z tajemniczym bilecikiem, kwestia wyglądu stała się dla kobiety najważniejsza.

Tak ona, jak i Irma, która odebrała kwiaty, zupełnie nie wiedziały, kto jest ofiarodawcą. Bilecik, zamiast wszystko wyjaśnić, jeszcze bardziej gmatwał sprawę. Było na nim napisane jedynie parę słów: „Dla uroczej Pani Wilhelminy”.

Następnego dnia chłopiec z naprzeciwka przyniósł kolejny bilecik, obficie skropiony mocną wodą kolońską. „Przeuroczej Pani Wilhelminie ten symboliczny dowód pamięci”.

Żadnego podpisu, pełna dyskrecja, posunięta do przesady. Pani van Clijs poczuła się jak panienka na wydaniu. Nie mogła zasnąć, przewracała się z boku na bok przez całą noc i martwiła się tylko, aby mąż nie zauważył jej podekscytowania. Nie zauważył, jego myśli zaprzętało coś innego.

Po dwóch kolejnych dniach, kiedy przechodziła ulicą Kuśnierską, podążając na zakupy do drogerii Meissena, z dorożki przejeżdżającej obok pofrunął pod jej stopy bukietek fiołków. Nim zdążyła podnieść wzrok, dorożka już odjeżdżała. Ledwie dostrzegła uchylający się kapelusz. I tyle. Od tego momentu nie potrafiła myśleć o niczym innym.

Dzwonek do drzwi usłyszały obie. Irma pospieszyła otworzyć, tymczasem Wilhelmina szybko narzuciła na siebie wizytowy szlafrok. Nie potrzebowała zakładać niczego zobowiązującego, ponieważ wiedziała, że właśnie przybywa jej najbliższa przyjaciółka, Ilse Radtke, żona Hansa, kupca i publicysty. Poznały się podczas jakiejś akcji charytatywnej organizowanej przez stowarzyszenie właścicieli nieruchomości.

Różnica wieku między nimi była żadna, ledwie trzy lata. Jednak Ilse wyglądała znacznie młodziej. Weszła właśnie do pokoju szybkim, sprężystym krokiem. Jej szczupła postać kontrastowała z imponującą posturą gospodyni. Platynowe włosy delikatną falą rozlewały się po obu stronach bladych, delikatnych policzków. Twarz, ruchliwa i emocjonalna, czyniła z właścicielki prawie dziewczynę.

- Jakże się cieszę, że znalazłaś dla mnie trochę czasu - rozpromieniła się Wilhelmina. -

Ostatnio mnie zaniedbywałaś.

- Wiesz, jaki jest mój Hans. - Ilse ucałowała przyjaciółkę. - Ciąga mnie na spotkania z tymi swoimi nudziarzami z branży reklamowej i do kolegów z redakcji. Nie zdaje sobie sprawy, że mam inne potrzeby, że czasami muszę pogadać z kobietą.

- Tym większa moja radość! Irmo, dwie kawy i te czekoladki brzoskwińowe. A niech tam, trochę przyjemności od życia nam się należy.

Siedziały naprzeciw siebie i rozmawiały o wszystkim i o niczym. O modzie, najnowszej premierze w Operze Leśnej (obie były wielkimi admiratorkami Etty i Hermana Merzów i ich artystycznych dokonań), cenach żywności, które ostatnio, nie wiedzieć czemu, gwałtownie wzrosły. Ilse dostrzegła, że przyjaciółka jest spięta i czeka tylko, aż Irma przyniesie kawę i zamknie za sobą drzwi.

Irma wniosła dzbanek parujący aromatem świeżo zmielonej kawy. U van Clijsów pijało się wyłącznie kawę sprowadzaną z Holandii, a uprawianą na którejś z wysp indonezyjskich (Wilhelmina nie pamiętała nazwy wyspy, tym pasjonował się Jaan). Ich dom znany był z wybornej kawy, a punktem honoru pani domu było, aby Irma miała kawę dopiero po przybyciu gości.

Drzwi za pokojówką zamknęły się bezgłośnie. Gospodyni wyciągnęła w stronę Ilse pudełko z brzoskwińowymi pralinkami.

Ruchliwa blondynka szybkim ruchem wzięła sobie od razu dwie czekoladki.

- A teraz powiedz, co cię męczy. Przecież widzę, że chcesz mi powiedzieć o czymś, co powinnam usłyszeć tylko ja.

- Jak odgadłaś... - Wilhelmina chciała się zdziwić, ale dostrzegła, że przyjaciółka nie ma ochoty na emocjonalne niuanse. - Więc dobrze.

Powiem wszystko - z obfitych piersi Wilhelminy uszło powietrze.

Ilse spodziewała się wszystkiego, tylko nie tego, co właśnie usłyszała. Jej przyjaciółka od zawsze starała się uchodzić za godną szacunku matronę, tymczasem naraz zaczęła zachowywać się, jakby ubyło jej dobrych trzydzieści lat. Czerwieniła się, wzdychała, mówiła po kilka razy to samo.

- Jeśli dobrze rozumiem, zauroczył cię ktoś, o kim nic nie wiesz?

- Niestety...

- Na dobrą sprawę, nie wiesz nawet, jak wygląda.

- Ma ładne pismo i drogą wodę kolońską...

- Nie wiesz też, czy w ogóle jest mężczyzną.

- Słucham?! - tego już było Wilhelminie za wiele.

- Nie powiedziałam jeszcze ostatniego słowa - syknęła obrończyni moralności. - Czy nie przyszło ci na myśl, że może to być sprawka Jaana?

Na twarzy gospodyni pojawił się rumieniec, by zaraz ustąpić miejsca śmiertelnej bladości.

- Ale dlaczego? Dlaczego miałyby tak robić? - jęknęła.

- Żeby cię wypróbować. Może ma jakieś podejrzenia? Zresztą bezpodstawne, przynajmniej na razie. Wiesz, jak łatwo w takiej sprawie o nieporozumienie i fałszywe osądy.

- Więc co ja mam robić?!

Nerwowy ruch kościstej, alabastrowej dłoni po brzoskwiniową czekoladkę.

- Nie rozumiem... Ty ZAMIERZAŁAŚ coś z tym robić?

Tym razem Wilhelmina również była zdziwiona. Wyszepiała coś niemal bezgłośnie.

- Słucham? - Ilse rzeczywiście nie zrozumiała.

- Inaczej nie prosiłabym cię o radę.

- Ty chyba oszalałaś!

- Może - pani domu gotowa była przyznać rację przyjaciółce.

Wstała leniwie z sofy i podeszła do zgrabnego kredensu. Przekręciła kluczyk w drzwiczkach. Wyciągnęła z czeluści mebla butelkę nalewki. Napełniła kieliszki. Podała jeden Ilse, z drugiego wypila łąpczywie połowę zawartości.

- Brak mi ciepła. Jaan jest taki obojętny.

- A ty?

- Ja jestem obojętna na skutek jego obojętności.

- A czy przypadkiem nie naoglądałaś się zbyt wielu romansów w kinie?

- Może... Ale...

Dalsza rozmowa nie miała sensu, coraz częściej dominowały chwile milczenia. Ilse pożałowała, że w ogóle przyszła, a Wilhelmina była na siebie zła, że zwierzyła się przyjaciółce. Uświadomiła sobie, że czekała na przyzwolenie Ilse w kwestii nawiązania bliższej znajomości z tajemniczym wielbicielem.

Nie, nie potrzebowała kubła lodowatej wody na głowę. Potrzebowała utwierdzenia w szalonym zamiarze.

A jednak gdy Ilse pożegnała się z nią, pozornie serdecznie, i gdy Irma zatrzasnęła drzwi, Wilhelmina oprzytomniała. Pomyślała, ile ma do stracenia: stabilizację majątkową, wysoką pozycję społeczną, szacunek w określonych sferach. Nie, nie może tego roztrwonić na jakieś miraż. Jeśli rzeczywiście Jaan ją sprawdza...

Ubrała się szybko i zamierzała usiąść do robótki. Nagle w drzwiach stanęła zaaferowana Irma. Trzymała w dłoni bilecik. Wilhelmina na odległość poczuła ostrą, znajomą woń wody kolońskiej.

*Łaskawa Pani, ze wszystkich sił pragnę spotkać się z Panią.
Błagam, proszę nie odmawiać. Pojutrze o dwudziestej pierwszej,
w parku w Oliwie, na lewo od tylnego wejścia do Pałacu Opatów.*

Pozostaję z serdecznym ukłonem,

Wielbiciel



Władysław Osowski nie miał zamiaru ślęczyć do nocy nad dokumentami. Swojej pracy poświęcał się, był o tym przekonany, w stopniu o wiele większym, niż wymagał tego zakres obowiązków.

Trzy wieczory z rzędu, które przeciągnęły się do świtu. Organizm ludzki ma określoną wytrzymałość, potem już nie funkcjonuje w należyty sposób. Tak dzieje się nawet w przypadku organizmu urzędnika państwowego.

Pierwszy wieczór, kiedy zaprosił majora Szalewskiego do siebie. Nie, żeby pałał potrzebą zaprzyjaźnienia się z tym wykwittem sanacyjnego ustroju, wykonał ten gest na wyraźne życzenie dyrektora Noskowskiego. Był na zakupach w delikatesach kolonialnych Kuptza, na Rajskiej. Salami, cytrusy, dobre cygara. Dwie butelki czystej wódki od Baczewskiego - czego nie robi się, aby major nabrał przekonania, że sprawa Georga Rooka jest jego osobistą sprawą. Głowa pękała następnego dnia, a uporczywe torsje nie ustępowały do późnego popołudnia. Nieodrodne dziecko wiejskiego dworu zazwyczaj preferowało nalewki owocowe sporządzane pod Kołomyją przez ekscentrycznego, ale nad wyraz uzdolnionego w tym względzie dziadka.

Drugi wieczór stał pod znakiem pracy bardzo prozaicznej i monotonnej; musiał przygotować referat oparty na suchych statystykach

finansowych. Sprawa precjozów zabrała już ładnych parę godzin, tymczasem codzienne obowiązki wymagały systematyczności.

„Systematyczność, kochany panie referencie - mawiał Zygmunt Noskowski - pozwala nam ze spokojem patrzeć w przyszłość”.

Trzeci wieczór był zgoła inny. Cukiernia. U Boehlkego we Wrzeszczu. Niby zwyczajna cukiernia, choć całkiem przyzwoita. Podawali tam najlepsze ciasta tortowe w Wolnym Mieście Gdańsku. Przynajmniej tak sądził Osowski, chociaż gdyby go zapytano, ile cukierni gdańskich odwiedził, do ich wyliczenia starczyłoby palców jednej ręki. Nie, nie ciastka tortowe zadecydowały, że tamten wieczór wydał mu się wyjątkowy. Anna Waldberg musiała być stokroć smaczniejsza od słodczy podawanych u Boehlkego...

Poznali się kilka dni wcześniej. Kontakty między pracownikami przedstawicielstw dyplomatycznych, zwłaszcza na tak małym obszarze, były czymś zwyczajnym. Wspólne wizyty w kawiarniach już nieco rzadsze, ale nie tak sporadyczne, żeby robić z nich sensację.

Zresztą Anna nie była pracownicą konsulatu niemieckiego, wtedy sprawa nie byłaby tak zwyczajna. Ale Szwecja? Uczciwy, przyzwoity kraj. Wprawdzie zbyt długo, jak na gust Władysława, rządili tam socjaliści, co w perspektywie kilku lat musiało doprowadzić ten kraj do nieuniknionego upadku ekonomicznego, ale Anna Waldberg w niczym nie przypominała socjaldemokratki. Pieczętowała się herbem, pochodziła z zacnej rodziny i głosowała na konserwatystów.

Na dobrą sprawę nie wiedział, które z nich zaproponowało wspólne spędzenie popołudnia. Nie myślał o tym. Ważne, że czuł się przy niej swobodnie i odpoczywał, jak nigdy, w towarzystwie zgrabnej i eleganckiej kobiety. Tak, Anna urodziła się z wykwintnymi manierami, odziedziczyła je, takich rzeczy nie dziedziczy się do końca w pierwszym

pokoleniu. Ot, choćby taka Stasia Królikowska. Poczciwa dziewczyna, z chęcią pocałowałyby ją, z chęcią spędziłyby z nią noc, może nawet kilka, ale o czym miałyby z nią rozmawiać? Stasia należała do dziewcząt, którym imponuje dobre urodzenie, i gdyby zorientowała się, że Władysław ma na nią ochotę, próbowałyby zapędzić go do ołtarza. Pewnie liczyłyby na wspólne wypadki do Ciechocinka albo nawet do Krynicy, gdzie w bardzo eleganckim towarzystwie mogłyby dać upust radości z podniesienia swojej kondycji społecznej.

Anna... Trochę mówiła po polsku i tak uroczo szeleściła przy wymawianiu trudniejszych wyrazów... Nie była specjalnie zalotna i właśnie to podobało mu się najbardziej.

Była dyskretna, ani razu nie spytała o specyfikę pracy w polskim komisariacie. Zwiedziła kawał świata, ale nie epatowała opowieściami w rodzaju „Kiedy polowałam na lwy...” albo „Kiedy przegrałam fortunę w Monte Carlo...”.

Oczywiście, umówili się. Na sobotę. Oboje potraktowali następne spotkanie w sposób naturalny jako konsekwencję pierwszego. Jako konsekwencję swoistej łączności psychicznej, która następuje, gdy spotykają się ludzie o podobnych poglądach i wyrosli w domach o określonej tradycji.

Georg Rook wyszedł na balkon. Mieszkał wygodnie i lubił salonik wynajmowany razem z niewielką kuchnią i sypialenką w dwupiętrowym, secesyjnym domu, mniej więcej w połowie drogi między Starym Miastem a centrum Wrzeszcza, ale co tam salonik, gdy balkon ze świeżym powietrzem w ciepłe, letnie dni choć w minimalnym stopniu przypomina werandę z rodzinnego dworu. Uliczka biegła w bok, w stronę Gdańskiej Akademii Medycznej; w okolicy domu było cicho, spokojnie. Hałas samochodów

przejeżdżających główną arterią nawet w ciągu dnia nie dochodził zbyt wyraźnie, a wieczorem... Wieczorem było tu niemal jak na wsi. Rzadko bywał na wsi, ale zawsze, może na zasadzie kontrastu do codziennego życia, bardzo mu się tam podobało. Westchnął głęboko.

Zapalił cygaretkę. Jej zapach, aromatyczny i ostry, kontrastował z chłodną świeżością powietrza. Im bardziej rześkie powietrze, tym głębszy aromat egzotycznego tytoniu.

Dzwonek elektryczny do drzwi w pierwszej chwili zabrzmiał niewyraźnie, jakby przez mgłę. Drugi raz zadzwonił głośniej, wyrrywając Georga z przyjemnego zamyślenia.

Odruchowo spojrzął na zegarek. Dwudziesta druga. Wszystko zgodnie z umową.

Zbiegł szybko po schodach.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór pani.

W drzwiach stała Maria Walter.

- Jak pan widzi, jestem punktualna.

Mówiła beznamiętnym głosem. Żadnego uśmiechu, ale też żadnej powagi. Jak automat, wypowiadający kwestię, którą ktoś włożył w mechaniczne usta.

- Proszę - Rook wykonał dłonią zapraszający gest i odsunął się od drzwi.

- Mam nadzieję, że nadal mogę na pana liczyć - powiedziała kobieta.

- W jakim sensie może pani na mnie liczyć? - zapytał, gdy już siedzieli naprzeciw siebie w głębokich skórzanych fotelach. - Sądziłem, że wszystko ustaliliśmy i nie potrzeba kolejnych zapewnień z mojej strony.

- Nie wypowiadam słów niepotrzebnych. O tym chyba zdążył się pan przekonać.

Przytaknął, ale właściwie bez przekonania. Co o niej wiedział?

- Bardzo aromatyczny likier - zauważyła, gdy wyjął z szafki butelkę i podał jej pełny kieliszek. - Zawsze powtarzam, że Holendrzy, jak nikt, potrafią komponować doskonale smaki.

Znów ten beznamiętny głos. Przyjrzał się jej uważniej. Przedtem nie miał okazji, zawsze spotykali się w biegu. „Zawsze” oznaczało skądinąd cztery, może pięć razy.

Błyszczące czarne oczy, tak bardzo kontrastujące z głosem. Gładkie, dokładnie zaczesane kasztanowe włosy.

Brwi uniesione, tak że zawsze wyrażały lekkie zdziwienie. Śniada cera, nawet nieco oliwkowa. I odrobinę wystające kości policzkowe.

Gdyby spotkał ją na ulicy gdzieś w Budapeszcie albo Oradei, wzięłby za rdzenną mieszkankę tamtych miast. Miała w sobie coś południowego. I nawet mówiła z odrobiną naleciałości, której jednak nie potrafił zidentyfikować.

- Dlaczego pan mi się przypatruje?

- Ponieważ z uwagą czekam na pani słowa. Proszę darować, przecież nie przyszła pani, aby wyrazić pochwałę dla likieru bananowego?

- Nie jest pan zbyt miły - po raz pierwszy w jej głosie Rook usłyszał napięcie.

- Przepraszam. Daruje pani, po prostu jestem ciekawy, jakie wieści pani przynosi.

Maria Walter sięgnęła do małej, eleganckiej torebki i wyjęła papierośnicę. Rook, choć zaczynał się irytować, przyskoczył z zapalniczką.

- Dziękuję - łaskawie skinęła głową. Uśmiechnęła się w taki sposób, że jej twarz równie dobrze mogłaby pozostać niczym kamienna maska.

- Przyszłam, ponieważ zależy mi na pańskim życiu.

- Nadal nie bardzo rozumiem. Czy to ostrzeżenie? A jeśli tak, przed czym?

Kieliszek Marii Walter opróżnił się. Rozmawiali długo.

Kobieta dopaliła papierosa i schowała do torebki długą lufkę. Energicznie podniosła się z głębokiego fotela.

- Na mnie już czas. Miał pan z pewnością ciężki dzień - uśmiechnęła się znowu, ale tym razem w jej uśmiechu pojawiło się coś złowrogiego. - Mam do czynienia z inteligentnym człowiekiem, więc chyba się zrozumieliśmy.

Nie pytał więcej. Pytanie Marii Walter o cokolwiek więcej, niż zamierzała powiedzieć, mijało się z celem.

Odprowadził ją na dół. Nim otworzył drzwi, podała mu dłoń w aksamitnej rękawiczce.

Jej uścisk był delikatny, ale zdecydowany.

- Niech pan zapamięta ten wieczór.

- Był na tyle zadziwiający, że może być pani pewna... Trzaśnięcie drzwiami. Tylko mocna woń perfum świadczyła o tym, że Georga Rooka odwiedziła kobieta.

Georg Rook odezwał się znowu.

Dyrektor Noskowski, po dniu zakończonym spotkaniem z Karolem Szalewskim, obudził się z wielkim bólem głowy. Kiedy otworzył oczy, pierwszą reakcją było zdziwienie, że śpi w garniturze, chociaż bez krawata. I od razu poczuł ten dojmujący ból głowy.

Rozsadzało mu skronie. Przypomniawszy sobie wszystko. Drżącymi dłońmi sięgnął do karafki z wodą; na szczęście była pełna. Gorzej z proszkiem od bólu głowy, nigdzie nie mógł go znaleźć.

Zszedł ostrożnie do kuchni, gdzie wymownym milczeniem powitała go żona. Nie zadała ani jednego pytania, co mogło wróżyć wojnę trwającą nawet dobę.

Postanowił nie wchodzić jej w drogę. Umył się na górze, wziął teczkę i wyszedł z domu. Przed posesją czekał już szofer dowożący ważniejszych urzędników komisariatu.

W sekretariacie czekał Osowski. Miał ogień w oczach i ostrożnym gestem wskazał swoją teczkę. Dyrektor poprosił go do gabinetu.

- Panie Władysławie, domyślam się, z czym pan przyszedł. Proszę być ostrożnym.

Ściany rzeczywiście mogą mieć uszy.

- Ale sytuacja jest doprawdy fundamentalna. ON napisał.

- Domyśliłem się - Noskowski spojrział na podwładnego z właściwą swojej funkcji godnością. - Otworzył pan list?

- Ależ panie dyrektorze!

- No dobrze, dobrze. Spotykamy się o jedenastej. Miejsce pan zna. Proszę zawiadomić majora Szalewskiego - dodał Noskowski, skrzywiając się na wspomnienie wczorajszego wieczoru.

- Oczywiście - Osowski ukłonił się grzecznie i wyszedł. W sekretariacie zdążył jeszcze obdarzyć uśmiechem Stasię. Wanda miała tego dnia jednodniowy urlop, ponieważ wyjechała na pogrzeb krewnej do Polski.

Dyrektor Noskowski zawołał Stasię. Poprosił ją o bardzo mocną kawę i jakieś kruche ciasteczka. Kiedy wyszła, usiadł ciężko w fotelu. Chciał zerknąć do papierów, które zostawiła poprzedniego dnia na jego biurku Wanda, ale wszelkie pismo napawało go wstrętem.

Ciasteczka wydały mu się obrzydliwe i obudziły tylko odruch wymiotny. Natomiast kawa w zadziwiająco szybkim tempie podniosła dyrektora na nogi.

Postanowił pospacerować nieco po gabinecie i tak też uczynił.

Tymczasem panna Stasia zdawała się trwać jeszcze w upojeniu, jakie zostawił w jej sercu uśmiech wychodzącego Władka. Gdyby tak wreszcie przyszło mu do głowy, żeby wykorzystać sytuację i zostać odrobinę dłużej...

Z wolna rozmarzenie zaczęło ustępować miejsca rozżaleniu, a potem złości. Dlaczego on nie został dłużej?! Przecież dyrektor najwyraźniej poprzedniego dnia wypił za dużo i nie miał najmniejszej ochoty na wyściubianie nosa z gabinetu. Tak, Władek może sobie posyłać czarujące uśmiechy, ale nigdy się z nią nie umówi. Córka krawca, zwykła maszynistka, choć w porządnej, państwowej instytucji.

A co byłoby, gdyby jakimś zbiegiem okoliczności trafił pod jej dach? Zobaczyłby wtedy całą biedę pokoju wynajmowanego u frau Labenz. I jeśli przedtem mógłby mieć wobec Stasi jakiegokolwiek, choćby mało zobowiązujące plany, ta jedna chwila wystarczyłaby, aby nią wzgardził.

Pozazdrościła Wandzie, wolnej, jak się wydawało, od tego rodzaju oczekiwania i żalów.

Byle odrodzona Rzeczpospolita rozwijała się pomyślnie, Wanda będzie szczęśliwa. Może jest to sposób na życie w sytuacji, gdy jest się skromną biuralistką?

Ale Stasia nie miała w sobie pokory i powściągliwości skromnej biuralistki. Spojrzała w lusterko puderniczki i przeciągnęła się na myśl o Albercie Ruthem. Też przystojny. I ojca ma, zdaje się, bogatszego niż ten szlachetka spod Kołomyi. Co firma, to firma, porządna, z tradycjami. Niby niemiecka, ale Albert jest właściwie Polakiem.

„Tylko czy ja naprawdę mu się spodobałam? A może rzeczywiście zderzył się ze mną przypadkowo i chciał być miły? W jego sferach takie zachowanie jest normą”.

Czy w ogóle podobała się mężczyznom?

Zapukała cichutko do gabinetu dyrektora. Wbrew jej przypuszczeniom Noskowski zważym głosem zachęcił do otwarcia drzwi. Zobaczywszy Stasię, uśmiechnął się, odłożył

„Danzigs Hafen und Handel” z kuriozalnym wstępniakiem Roberta Frankego i spytał wzrokiem, w jakiej sprawie przyszła.

- Panie dyrektorze... - zaczęła niepewnie.

- No, słucham.

- Mam taką nietypową prośbę...

- Chodzi pani o urlop? - z odrobiną wesołości w głosie zapytał pryncypał. Kawa o zastraszającej mocy przyniosła błogosławione skutki.

- Nie, panie dyrektorze. Myślałam o drabinie.

- Jakiej drabinie?! Mów jaśniej, moje dziecko. Stasia zrobiła minę najniewinniejszą z możliwych.

Obróciła głowę i wskazała dłonią sekretariat.

- Muszę się dostać do szafki umieszczonej tuż pod sufitem. Pan dyrektor sam widzi, jakie tu są wysokie pomieszczenia. Ja oczywiście wejdę na samą górę, zresztą nie ma innego wyjścia, tylko ta drabina taka chybotliwa...

- Chybotliwa?

- Tak, gdyby pan dyrektor sam mógł spróbować.

- Stasia niemal pociągnęła zwierzchnika za rękaw i postawiła go przed drabiną.

- Rzeczywiście, może nieco sfatygowana - Noskowski grzecznościowo zgodził się ze zdaniem maszynistki.

- Nieco? Panie dyrektorze, ona musi być jeszcze sprzed wojny światowej. A jak złamię nogę? Gdyby pan dyrektor zechciał...

I nim wczorajszy „hulaka” zdążył ustosunkować się do jej prośby, zręcznym ruchem wspięła się na przedostatni szczebel drabiny.

„Sposoby stare jak świat zawsze są najlepsze”, jak mawiała babcia Stasi, zwłaszcza gdy przykładała pijawki choremu.

Noskowskiemu świat zakręcił się przed oczami. Ślady niedawnego pijaństwa zniknęły do szczętu. Kurczowo trzymał obiema dłońmi pionowe żerdzie drabiny. Spojrzał w górę. Na wyciągnięcie ręki widział nogi Stasi.

Cieliste pończochy, szczuplutkie łydki... Świat, zamknięty do tych nóg, zawirował mu przed oczami.

Nadludzkim wysiłkiem opanował się, aby nie dotknąć Stasi. A ona przestępowała z nogi na nogę, kołysząc przy tym biodrami. Bezlitośnie wykorzystywała przewagę, jaką miała nad każdym mężczyzną.

- Panie dyrektorze, nie mogę znaleźć tego segregatora!

- Proszę się nie spieszyć i poszukać dokładnie, mamy czas, wychodzę dopiero za jakieś trzy kwadransy.

Stasia, jako posłuszna biuralistka, zastosowała się do rady przełożonego i szukała dalej.

- Panie dyrektorze, zaraz stracę równowagę, czy mógłby pan wejść na drugi stopień i przytrzymać mnie? Inaczej spadnę...

- Panno Stanisłavo!

- Panie dyrektorze!

Zdecydował się. Postawił nogę na pierwszym szczeblu i wyciągnął drżące dłonie.

Jeszcze sekunda...

W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Przerażony Noskowski zeskoczył na podłogę i rozdrażnionym głosem wykrzyknął „proszę!”.

Referent Murzynek niepewnym krokiem wsunął się do sekretariatu.

- Panie dyrektorze, wczoraj bardzo się pan spieszył i nie zastałem już... Chodzi o podpisanie mojej delegacji na wyjazd. Przedstawienie teatru amatorskiego w Wejherowie.

- W Wejherowie! - Noskowski wyszarpnął z rąk Murzynka zadrukowaną kartkę.

Referent nie zdążył opuścić sekretariatu, a już w drzwiach pojawił się porucznik Żaczek. Po nim truchcikiem wtoczyła się maszynistka z niższego piętra, Helena Brajerczyk.

Rzut oka na zegarek. Dyrektor Noskowski zerwał się, zupełnie nie po dyrektorsku, czyli jak na komendę, założył marynarkę i z godnością pragnął przedefilować obok Stasi, ale nie wytrzymał i rzucił w jej stronę niepewne spojrzenie. Odwzajemniła się szelmowską minką.

Kiedy została sama, uśmiechnęła się szeroko. Przed pół godziną z zadowoleniem wyczuwała rosnące podniecenie pryncypała.

- Panowie, czekam na szczegóły! - Karol Szalewski zatarł ręce i zapalił mocnego papierosa.

- W istocie, można to, co zaraz przeczytam, uznać za szczegóły. Przynajmniej część listu.

Osowski sięgnął do podręcznej teczki, tymczasem major mrugnął porozumiewawczo do Noskowskiego.

- Ostro wczoraj popiliśmy, bez dwóch zdań. Od tej strony szanownego dyrektorunia nie znałem - szepnął.

- Ciiiiszej... - syknął wczorajszy birbant, spoglądając uważnie na referenta. Ale Osowski nie słyszał. Właśnie wyjął z teczki kopertę. Odstawił teczkę, spojrzał uroczystym wzrokiem na obu mężczyzn i chrząknął znacząco.

Szanowny Panie Władysławie

Po raz ostatni piszę na Pański adres imienny. Bynajmniej nie z braku szacunku dla Pana. Wręcz przeciwnie. Wiem, że podszedł pan z powagą do moich poprzednich listów.

Zaufałem i nie żałuję. Oczekiwałem, że będzie pan dzielił się treścią listów otrzymywanych ode mnie z dyrektorem Noskowskim i majorem Szalewskim.

Wymienieni mężczyźni spojrzeli na siebie, przy czym twarz wojskowego wyrażała zdumienie.

- Skąd ten jegomość...?!

- Prawda, że intrygujące? - pokiwał głową dyrektor.

Sądzę, że dość było opowieści bez pokrycia z mojej strony, a panowie wykazali się wielkoduszną cierpliwością. Odpowiedzialność z mojej strony wymaga, aby nasza znajomość, że tak powiem, zacieśniła się. Czy i panowie nie odczuwają takiej potrzeby?

Jestem przekonany, że tak właśnie jest.

Proponuję więc spotkanie. Co by panowie powiedzieli na czwartek, godzina 20.00?

Nie będziemy bawili się w jakąś pseudokonspirację. Gdybym umówił się z Panami w miejscu ustronnym, głowę daję, że zauważyłby nas ktoś co najmniej niepowołany. Lubię kawiarnię Meyerhofa na Długim Pobrzeżu, znają panowie zapewne ten miły lokal? Nie ma tam tłumów, zwłaszcza wieczorami, natomiast nie jest też pustawo. Słowem, w sam raz.

Z szacunkiem i sympatią kreśli się

Georg Rook

Wilhelmina van Clijs była niezwykle przejęta. Jeszcze nigdy nie spotykała się z mężczyzną, nie licząc oczywiście Jaana. Ale Jaan to co innego - wcześniej miły młody człowiek, potem narzeczony, wreszcie mąż. Od wielu lat nie pamiętała, że i on jest mężczyzną, choć niekiedy starał się jej o tym przypominać w małżeńskim łóżu. Jednak wszystko, co działo się wtedy, było tak oczywiste i zadekretowane regułami starymi jak świat, że niemal niezauważalne.

Irma miała tego wieczoru wolne. Skorzystała chętnie ze sposobności, aby odwiedzić krewnych w Jelitkowie. Wilhelminy nie interesowało, kiedy wróci do domu. Irma była dorosła, nawet bardzo dorosła, i nigdy nie wykazała jakichkolwiek skłonności do dwuznacznych czynów. Możliwe było, że pokojówka wróci o świcie, ponieważ nieraz zdarzało się, że w Jelitkowie nocowała.

A Jaan? Znowu miało go nie być. Nie, tym razem najuczciwsza rzecz pod słońcem, jakieś męskie spotkanie dla uznanych osób organizowane przez Paula Kreisela z Danziger Kunstverein. Jaan sam nie miał uzdolnień manualnych i pochlebiało mu bardzo, że zapraszany bywał na oficjalne i mniej oficjalne uroczystości organizowane przez gdański świat sztuki. Wilhelmina była spokojna - nie miało tam być żadnych kobiet. Nie licząc wiekowej panny Loewe ze zdelegalizowanej „Danziger Volksstimme”.

Tymczasem pani Clijs...

Założyła nowiuteńkie buty, kapelusik z drobnymi kwiatkami, a między tymi dwoma skrajnościami pyszniła się na jej okazałej postaci łośosiowa garsonka. Nie tamta najelegantsza, ale i ona mogła zrobić dobre wrażenie. Biała wstążka, w kontraście do seledynowej bluzki, opadała na bujne piersi.

Wyszła z domu niespiesznym krokiem, żeby nie wzbudzić podejrzeń wścibskich sąsiadek. Wsiadła z godnością do tramwaju linii 2 i po kilkunastu minutach znalazła się na wysokości oliwskiego parku.

Na lewo od tylnego wejścia do Pałacu Opatów. Jakież to romantyczne... Jaan nigdy nie umówił się z nią w takim miejscu, nawet w czasach, gdy zabiegał o jej względy. Co prawda, nie musiał zabiegać zbyt długo, więc i na okolice Pałacu Opatów nie starczyło czasu.

Słońce jeszcze świeciło, ale szarzejące, gęstniejące powietrze wróżyło niedaleki zmierzch. Dwudziesta pięćdziesiąt siedem. Zmartwiła się, czy nie przyszła za wcześnie. On jeszcze pomyśli, że zależy jej na spotkaniu. Ale przecież zależy. Z tym że on nie musi poznać tego od razu. Tak, powinna się spóźnić. Znacznie spóźnić. Że też nie pomyślała wcześniej...

Zatrzymała się przed tabliczką Państwowego Muzeum Historii Gdańska, wiszącą obok wejścia do pałacu.

- Dobry wieczór.

- Dobry wieczór - odpowiedziała Wilhelmina machinalnie, ale zaraz przeszył ją zimny dreszcz.

Przed nią stał wysoki, przystojny mężczyzna. Uśmiechał się odrobinę zawadiacko.

- Pan...

- Alfred Moss. Jestem zaszczycony - przyjął podaną mu dłoń, ścisnął odrobinę za mocno i przycisnął do ust.

Wilhelmina splonila się i zaraz pomyślała z ulgą, że słońce jest już na tyle nisko, że on nie zauważy jej zakłopotania.

- Cieszę się ogromnie. Zwłaszcza że przecież nie mogła pani wiedzieć, czy nieznajomy, który prosi panią o spotkanie, nie jest jakimś szaleńcem czy dowcipnisiem.

Co prawda, nadal mogła tak myśleć, ale cała jego postać zdawała się mówić, że nie jest ani jednym, ani drugim. Jasna uśmiechnięta twarz, wysokie czoło, niebieskie, wesołe oczy. Elegancki płaszcz, trzymany w dłoni kapelusz najlepszego gatunku, wełniany garnitur.

Czy tak wygląda szaleniec albo dowcipniś? Nie, tak nie wygląda również egzaltowany marzyciel niedostosowany społecznie i niezdolny do samodzielnego życia, a takiego najpewniej spodziewała się ujrzyć.

- Skąd pan wie o moim istnieniu? - zapytała mało romantycznie. - I skąd pan zdobył mój adres?

- Droga pani, w pewnych kręgach pani istnienie jest oczywiste i wywołuje powszechny podziw - uśmiechnął się bezpretensjonalnie.

Oszczędnym gestem wskazał Wilhelminie zadrzewioną alejkę. Nie myśląc wiele, skierowała się we wskazaną przez Alfreda stronę.

Wokoło zniewalająco pachniały aromatem młodego lata kwiaty. Co chwila plusk wody zwiastował, że od tafli odbiły się skrzydła krzyżówki. Rozmawiali. Nawet nie wiedziała o czym, po prostu odpowiadała na jego pytania, z początku zdawkowe i stawiane, aby podtrzymać rozmowę. Jednak z każdą minutą czuła się bardziej naturalnie. Już nie odpowiadała, już sama pytała, już wyrażała swoje zdanie na różne tematy.

Zapadał zmrok. Ich głosy wyciszyły się, zamieniając niemal w szept. Szli ciemnymi alejkami, a czas się zatrzymał.

Przysiedli na białej za dnia ławce, teraz ledwie odbijającej się szarością od ściany platanów. Alfred spojrzał Wilhelminie głęboko w

oczy.

Serce waliło jej jak szalone. Zaraz ją pocałuje. Alfred Moss wyjął z kieszeni buteleczkę. Szybkim ruchem otworzył ją i pokropił płynem chustkę, którą zakrył usta Wilhelminy.

Szarpnęła się gwałtownie kilka razy i osunęła w ramiona mężczyzny.

On nie ruszył się z początku, tylko odwrócił głowę w stronę ściany drzew.

Do ławeczki zdecydowanym krokiem podeszło dwóch ubranych w czerń osobników.

Z pomocą Mossa przenieśli Wilhelminę van Clijs tam, skąd nadeszli.

Wokół po staremu odzywało się ptactwo, a leciutki szum liści przyjemnie koił nerwy nielicznych spacerowiczów, którzy szukali wieczorem w parku głębokiego oddechu po całym dniu pracy.

Przed chwilą ocknęła się z narkozy i w mgnieniu oka przypomniała sobie, co spotkało ją w parku. Poruszyła zdrętwiałymi dłońmi, potem ramionami. Nie była skrępowana. Tak samo nogi. Mogłaby wstać, gdyby nie zawroty głowy i ogromny ciężar, jaki czuła w nogach.

Nie to było jednak najgorsze. Niemal od początku, niemal od chwili, gdy po przebudzeniu poczuła ból, jeszcze bardziej dojmujące było poczucie upokorzenia.

Ona, dumna przedstawicielka elity, została potraktowana w taki sposób! Kobieta, która przez całe życie przyzwyczajona była do obecności służby i odgadujących jej życzenia domowników, leżała ociężała w jakiejś zawilgoconej, cuchnącej stęchlizną norze, zdana na łaskę i niełaskę ciemnych typów, którzy najzwyczajniej w świecie ją

uprowadzili. I wreszcie coś, co upokorzyło ją najbardziej - zaufała przygodnemu oszustowi, który złowił ją na takie tanie chwytaki...

Tak, miała żal do Alfreda Mossa, była na niego wściekła i najchętniej kazałaby Jaanowi rozszarpać tamtego na strzępy (co właśnie sobie obiecała), ale jeszcze większy żal czuła do siebie. Jak mogła! Jak mogła być tak głupia! Gdyby widzieli ją teraz rodzice...

Myślała nadspodziewanie trzeźwo. Emocje to jedna sprawa, ale przede wszystkim należało wstać.

Raz jeszcze spróbowała się podnieść. Tak ciężko... Chwila odpoczynku. Ponowna próba. I znowu nic. Nogi jak z ołowiu. Należałoby podeprzeć się na rękach, ale ręce tak samo ciężkie jak nogi.

Postanowiła dać sobie jeszcze trochę czasu. Eter musi przecież w końcu przestać działać.

Oczy Wilhelminy zaczynały przyzwyczajać się do ciemności, jednak nie na wiele się to zdało. W piwnicy nie było żadnych sprzętów, ściany musiały być odrapane i niebielone od lat. Nigdy nie była w takim pomieszczeniu!

Nagle jej ciało przeszył dreszcz strachu. W drzwiach zazgrzytał ciężko przekręcany klucz. Skurczyła się i wtuliła głowę w ramiona. Tym razem gniew przegrał ze strachem.

- Witamy, pani van Clijs! - w chrypliwym głosie usłyszała okrutną ironię. - Mam nadzieję, że rendezvous z panem Mossem się podobało. Choć pewnie żałuje pani, że nie było ciągu dalszego.

- Co ty mówisz, przecież ciąg dalszy właśnie nastąpił - w drzwiach zamajaczyła postać niedawnego adoratora Wilhelminy.

Wzdrygnęła się. I zupełnie nieadekwatnie do sytuacji pomyślała, że głos młodego człowieka był taki dźwięczny... Nie dziw, że pierwsze

minuty spotkania w parku napełniły ją radosnym oczekiwaniem na ciąg dalszy.

- Jaka ty byłaś naiwna, głupia stara krowo! - chrypliwy głos oderwał jej myśli od parkowego wspomnienia. - Chciałaś Alfreda, więc go masz.

Zapalona świeczka rozjaśniła pomieszczenie na tyle, by oniemiała na skutek upokorzenia Wilhelmina ujrzała swych prześladowców.

Do tamtego nie bardzo pasowało chrypienie i wulgarność. Jego wygląd nie charakteryzował się niczym szczególnym. Nie potrafiłaby określić, w jakim był wieku. Nie miał twarzy kryminalisty, ale tę twarz w ogóle trudno byłoby opisać. Była fizjonomią bez właściwości.

Krok za nim stał Moss. W tym samym co wcześniej eleganckim garniturze, uśmiechający się gdzieś w dal, a właściwie w pustą przestrzeń ściany. Powinna go nienawidzić, tak jak jeszcze przed chwilą, ale nie potrafiła.

- Pani wybaczy, droga Wilhelmino, mój przyjaciel chciał wyrazić podziw dla pani uczuciowości i gotowości do poświęcenia w imię świętego uczucia...

- Dobrze, kończmy tę komedię - zachrypiał mężczyzna trzymający świeczkę.

- Dlaczego mnie porwaliście?! - Wilhelmina wykrztusiła z siebie wszystkie emocje. -

Czego ode mnie chcecie?!

- O, i to jest doskonale sformułowane pytanie, moja droga. - Moss zbliżył się do kobiety.

- Chodzi mniej więcej o to, gruba krowo, żebyś poleżała sobie jeszcze trochę w spokoju. Oczywiście możesz sobie krzyczeć, możesz wierzgać sobie tymi swoimi tłustymi nóżkami, ale i tak nie wstaniesz jeszcze przez godzinę, więc szkoda fatygi.

- Trochę manier, ty chamie!

- Moja droga, nie drażnij Ottona, proszę... - Moss wystąpił w obronie urażonej godności towarzysza w taki sposób, że Wilhelmina znowu skuliła się, przywierając ciałem do zimnej posadzki.

- Nie martw się, Otton nie zrobi ci nic złego, nawet gdybyś chciała! - tamten uśmiechnął się złośliwie. - Pamiętaj tylko, żebyś była grzeczna. Żadnych obelg, bo tego nie lubię.

- Właśnie - wtrącił Moss. - Żadnych obelg, bo Otton tego nie lubi. Za dwie, trzy godziny odwieziemy cię, moja droga, w ustronne miejsce, skąd spokojnie wrócisz sobie do domu. Przykro mi, że nasza znajomość nie będzie mogła być kontynuowana, bo, przyznaję, zaczęła się tak obiecująco...

Wilhelmina była zdezorientowana. Odetchnęła wprawdzie, bo uwierzyła, że nie zastosują wobec niej innej przemocy oprócz tej, której już doświadczyła, nie wiedziała jednak, co ma o tym myśleć.

Jej nieme pytanie, mimo nikłego światła świecy, było aż nadto widoczne.

- Powiesz nam tylko, o czym twój mąż rozmawiał z przedstawicielem polskiego komisariatu - nieco cieplejszym tonem odezwał się Otton.

- Jakim przedstawicielem?

- Polskiego komisariatu w Gdańsku – dodał Moss. - Przecież musisz o tym wiedzieć, moja droga.

Twarz kobiety rozjaśniła się na moment. Umysł pracował szybko, a mimo oszołomienia sytuacją, w jakiej się znajdowała, potrafiła skojarzyć fakty. Jaan był ostatnio tajemniczy. Nie powiedział nic, absolutnie nic o trzech spotkaniach, w których brał udział.

Wcześniej byłoby to nie do pomyślenia. A więc komisariat; w grę nie wchodziła żadna kobieta. Jej serce doznało pociechy.

Ale przecież niczego nie wie. Żadnych faktów, żadnego przypuszczenia. Jeśli zdradzi się ze swoją nieświadomością, będą ją dręczyć w nieskończoność i o obiecany niedalekim wypuszczeniu można zapomnieć.

- Mój mąż, Jaan van Clijs - jej głos zabarwił się nutką dumy - rozmawiał o przyjęciu polskiego obywatelstwa i przeniesieniu do Warszawy na eksponowane stanowisko. Chodzi o pewną instytucję kulturalną.

Mężczyźni spojrzeli na siebie. Wilhelmina nie potrafiła zgadnąć, co sobie pomyśleli.

Letni wieczór... Władysław Osowski wiele by dał, żeby znaleźć się choć na parę godzin w rodzinnym majątku za Kołomyją. Brzęczące trzmiele, zapach soczystej trawy, pokojówka podająca na werandzie kawę ze śmietanką...

- Nu, bracie, zamyśliłeś się nad czymś i chyba przyjemnym. A tu służba, trudna rada.

Nie poradzisz, wytrwać musisz - w głosie majora Szalewskiego zadźwięczała nutka, której wcześniej u wojskowego Osowski nie słyszał.

- Panie majorze, był pan kiedyś w okolicach Kołomyi?

- A czy ja jestem jaki Zulus czy żółty człowiek z Indochin, żeby ja tam nie był? -

Szalewski ucieszył się wyraźnie. - A w drodze do Kostiuchnowki, w legionach... Ech, panie dzieju...

Tak rozmawiając, doszli na Długie Pobrzeże. Po kilku minutach stanęli pod skromnym, lecz eleganckim szyldem obwieszczającym, że tutaj mieści się kawiarnia Meyerhof.

Było jeszcze jasno, jedynie od strony drogi prowadzącej na Elbląg podejrzanie szare chmurki zapowiadały niespiesznie koniec dnia.

- Cygareta dla kurażu? - Szalewski przysunął w stronę towarzysza papierośnicę.

- Z przyjemnością.

Wnętrze kawiarni, tak jak i szyld, było stosunkowo skromne, urządzone jednak ze smakiem. Delikatne beże i kremy, meble wzorowane na biedermeierowskich, kremowe serwisy, kelnerzy dalecy od nachalności.

Mężczyźni uważnie przyjrzeni się gościom. Trochę z prostej ciekawości, bardziej z obowiązku i zawodowego przyzwyczajenia. Nie zauważyli nikogo podejrzanego, choć to jeszcze o niczym nie świadczyło. Kilka par wyglądających na zakochane, dwaj mężczyźni w średnim wieku, z których jeden miał na sobie mundur oficerski żandarmerii. Wszystko.

Minęła 19.58. Mężczyźni nerwowo spoglądali na siebie.

- Co, u licha? Nie przyjdzie?

- Może jest punktualny jak hrabia Monte Christo - niepewnie odparł Osowski. - Sądząc po listach, sprawiał wrażenie bardzo skrupulatnego.

Szalewski skrzywił się pogardliwie.

- Zna się takich skrupulantów. W czasach sejmokracji tacy byli najgorsi. Jebał ich pies, jak mawiał Marszałek.

- Ciszej, panie majorze... - Osowski chciał się zdziwić niestosownymi w miejscu publicznym słowami piłsudczyka, ale w tym momencie jak spod ziemi przed mężczyznami wyrosła pękata, niewielkiego wzrostu postać.

Major musiał przyznać w myślach, że Osowski miał rację. Z niedalekiej wieży kościoła Mariackiego usłyszeli bicie dzwonu zwiastujące godzinę dwudziestą.

- Dobry wieczór panom. Jak się panowie domyślają, nazywam się Georg Rook.

- „Powiedzmy, Georg Rook”, że zacytuję pana - skłonił się Osowski i uścisnął podaną mu pulchną i ciepłą dłoń.

- Och, takie drobiazgi... - uśmiech zakwitł na twarzy Kolekcjonera.

- Jednak istniejesz pan! - niemal zawołał major, aż Osowski dotknął karcąco jego ramienia.

- Nie dałem panom powodów do myślenia, że jest inaczej. Moje listy...

- Listy mógł napisać każdy. I mógł to być żart - zauważył referent.

Rookowi nie pozostało nic innego, jak przytaknąć. Do stolika podszedł kelner. Przyjął zamówienie na trzy mocne kawy, skłonił się z godnością i odpłynął na zaplecze.

- Otóż panowie - Rook spojrział w oczy jednemu i drugiemu z rozmówców - przejdę do rzeczy. Czas to pieniądz, a czas urzędników państwowych jest jeszcze cenniejszy niż tych, którzy muszą zarabiać pieniądze. W ostatnim liście, rzecz jasna tym dotyczącym stolnikowej płoskirowskiej, zasugerowałem, że w roku 1916 precjoza dostały się w ręce Rosjan.

- W istocie - zgodził się referent, a Szalewski sięgnął do papierošnicy, którą otrzymał od premiera Bartela. Był z nim swego czasu w bardzo zażyłych stosunkach.

- Tak więc zagon kawaleryjski sztabskapitana Izmałowa, starego, doświadczonego kozaka - rozpoczął Rook - znalazł się w pałacyku. I zrobił to, na czym Rosjanie znają się najlepiej: zarekwirował inwentarz żywy, zapasy zboża, obrazy i biżuterię. Meble zostawili w spokoju. Sztabskapitan miał niejaki obycie, więc nie pozwolił swoim „dzieciom”, jak ich nazywał, spalić tychże mebli, o co podobno mieli do niego wielki żal.

Mieszkańców dworu zostawili w spokoju, przecież nie były to jeszcze czasy bolszewickiego przewrotu, niemniej nawet z kobiet zdarli wszelkie kosztowności.

Z rozpoznania wynikało, że okolica jest zabezpieczona i żaden atak Niemców nie groził sotni. Izmaïłow dał więc kawalerzystom noc odpoczynku. Rozstawił straże i pozwolił korzystać z zapasów piwnicy. A te były obfite. Rosjanie nie mogli co prawda pojąć, dlaczego w takim bogatym majątku nie ma ani butelczyny gorzałki, i w ostateczności musieli zadowolić się winem. Cierpkie i słabe, ale trudno.

Izmaïłow nie uczestniczył w biesiadzie; postanowił dokładnie przyjrzeć się pałacykowi. Z doświadczenia wiedział, że to, co interesujące w takich miejscach, ukryte jest przed ludzkimi oczami.

Pomógł jednak sobie najprostszym, żołnierskim sposobem. Najstarszy ze służących von Marnitzów, tacy z reguły wiedzą najwięcej, po paru chwilach przypiekania głownią jęknął, że pokaże sztabskapitanowi coś, co warte jest obejrzenia.

- A toż pisałeś pan o plebanii i kościele! Skąd majątek znowu w pałacu?

Pulchne usta Georga Rooka otworzyły się, aby udzielić odpowiedzi, ale w tym momencie przed mężczyznami kelner zaczął stawiać dymiące dzbanki i filiżanki ze spodkami.

- Ten sługa był bardzo sprytny - odparł Rook pogodnie, gdy zostali sami. - Zdawał sobie z pewnością sprawę, że skrytki pałacowe kryją jakieś precjoza, zawsze tak jest, i skierował uwagę Izmaïłowa w stronę kościoła.

Na uwagę Osowskiego, że pałacowy sługa niekoniecznie musiał wiedzieć o ukrytych skarbach stolnikowej, Rook uśmiechnął się jak stary znawca duszy ludzkiej i ludzkich obyczajów.

- Panie referencie, legendy i szeptane informacje są z reguły trwałe i w każdej z nich jest ukryte ziarno prawdy. Kiedyś ktoś musiał opowiadać,

może nawet któryś z księży przy kieliszeczku, o depozycie. Sługa był leciwy, niejedno w życiu słyszał...

- I sztabkapitan chwycił przynętę! - ucieszył się major Szalewski.

- A jakże! Wziął trzech trzeźwych podkomendnych i pobiegł do kościoła.

Wystarczyło zastraszyć księdza. Izmaïłow nie zdecydował się wprawdzie na przypiekanie proboszcza, ostatecznie nie był to jakiś sługa pałacowy. Ksiądz, stosunkowo młody, pełen energii i troszczący się o parafię, z początku przywitał Rosjan jak jakiś dumny magnat. Jednak godzinne przesłuchanie go zmiękczyło. Izmaïłow nie musiał grozić przemocą, po prostu ksiądz, który nigdy nie zetknął się z tak ekstremalnymi warunkami, bardzo szybko spuścił z tonu. W efekcie po dwóch godzinach kawalerzyści, zaopatrzeni w łomy, weszli do kościelnych podziemi.

- Nie opowiadaj pan o każdym uderzeniu łomu, prosimy stukrotnie - jęknął major.

Rook obiecał zwięzłość i po raz pierwszy zanurzył wargi w czarnej jak smoła kawie.

- Osiem wielkich skrzyń. Sforsowanie zamków nie stanowiło problemu. Izmaïłow oniemiał. I zaraz pożałował, że w ogóle doszło do odkrycia skarbu.

- A to dlaczego?! Oni lubią łupy! Ot co!

- Ponieważ znalezisko było zbyt znaczące. To nie jakaś torba z biżuterią. Oprócz kosztowności mnóstwo papierów, dokumentów. I dokładny inwentarz całości. Izmaïłow nie był zapewne, niech panowie wybaczą mi ironię, historykiem sztuki, ale zdawał sobie sprawę, że to nie jest zwyczajny łup i nie można go tak po prostu ukraść. W dodatku, co do dzisiaj jest w Rosji praktykowane, w jego oddziale roiło się od

konfidentów. Niechby tylko spróbował coś wsadzić do własnej kieszeni... Zresztą sami panowie niedługo zrozumieją, dlaczego Izmailow wybrał uczciwość.

- Przepraszam, coś się nie zgadza - powiedział referent. - Jeśli, jak pan twierdzi, skarb jest tak imponujący i cała wieś wiedziała, że na terenie kościoła ukryta jest rzecz o wielkiej wartości, jakim cudem władze pruskie, a później cesarskie, nie położyły na niej łapy?

Przecież Prusacy zawsze mieli tendencje do zabierania majątku należącego do Kościoła. A paragrafy znalazły się w każdej sytuacji.

Kolekcjoner spojrzał na Osowskiego, a major pożałował, że to nie jemu zaświtała myśl wypowiedziana przez zwykłego referenta z rządowego komisariatu.

Owszem, władze już od momentu umieszczenia skarbu w kościele były nim zainteresowane. Ale miały związane ręce, ponieważ depozyt nie należał prawnie do Kościoła katolickiego, o czym napomknął w liście Rook, a do Marnitzów. Posiadacze ziemscy w Prusach stanowili oparcie wszystkich po kolei królów i cesarzy niemieckich, więc należało żyć z nimi dobrze. A nawet bardzo dobrze. Gdyby władze choć jednemu z nich zrobiły taką niespodziankę, zagrożeni junkrowie, ze zwykłej solidarności, a zwłaszcza ze strachu przed precedensem, podnieśliby krzyk, który odbiłby się echem w całej Rzeszy i z pewnością Prusy przestałyby być traktowane jako oaza praworządności i porządku. Tymczasem one pretendowały do roli przywódczej.

- Dobrze - Osowski nie dawał za wygraną. - Skoro więc depozyt należał do Marnitzów, dlaczego oni nie skorzystali z takiego dobrodziejstwa?

- Właśnie chciałem zadać to samo pytanie - szybko wtrącił major i zapalił kolejnego papierosa.

- Świetnie, że panowie poruszają i tę kwestię. Eufrozyna, która ogólnie nie przepadała za Marnitzami i nie miała o nich najlepszego zdania, zastrzegła, że żadna część depozytu nie może być traktowana osobno ani spieniężona. Bała się po prostu, że sztuka po sztuce wyprzedzą jej dziedzictwo. I co tu robić? Kościołowi nie można było niczego przekazać, bo władze zaraz wyciągnęłyby ręce po łakomy kąsek, a samemu korzystać też Marnitzowie nie mogli. Klasyczny pat. I musiał nadejść dopiero rok 1916!

Skarb powędrował do rosyjskiego skarbcza armijnego. Był zbyt wartościowy, żeby rozplynać się ot, po prostu, w sposób wiadomy jednemu lub dwóm generałom.

I nadszedł czas bolszewickiego przewrotu. Zamęt, chaos... Generał Ludwikow, nieznany bliżej historykom wojskowości, bo oddelegowany do zadań dyskretnych, przekroczył granicę rozpadających się cesarskich Niemiec, wioząc ze sobą pewne skrzynie.

Takim oto zadziwiającym przypadkiem depozyt znów trafił do Prus Wschodnich. Rosjanin liczył na wyrozumiałość władz niemieckich, ale nie wziął pod uwagę, że w Prusach już nikt do końca nie kontroluje sytuacji. Razem z kilkudziesięciosobowym oddziałem został pobity przez grupę zrewoltowanych żołnierzy, a skrzynie... Cóż, pełno było wtedy w Prusach wpływowych ludzi wykorzystujących maruderów do nie całkiem legalnych działań. Jakie fortuny wtedy powstały!

- Nie czas na dygresje! - Szalewski, coraz bardziej podekscytowany, nie dawał za wygraną.

Rook przepaszającym gestem rozłożył ręce, po czym wsunął do ust kawałek herbatnika.

- Ależ drodzy panowie, to już koniec opowieści.

- Jak to: koniec?! Do kroćset!

- No tak. Czas przejść do konkretów - w głosie Rooka zabrzmiała pewność siebie i pyszałkowatość. - Przecież nie będę panom wyjaśniał, kto ma w tej chwili precjoza.

Natomiast mogę...

- W istocie, może pan! - Osowski niemal podniósł głos i sam się zdziwił, że jest do tego zdolny.

Pulchne palce Kolekcjonera sięgnęły do teczki, która dotąd spokojnie stała obok jego nóg. Z pewnym namaszczaniem, bez pośpiechu otworzył kluczykiem wyjętym z kieszeni zamek. Oczy majora wychodziły na wierzch, a referent odruchowo pochylił się w stronę Rooka.

- Otóż, drodzy panowie, pozwólcie, że pokażę wam kilka fotografii. I proszę zwrócić baczniejszą uwagę na tę trzecią od góry. Ot, pewien drobiazg...

Mężczyźni z niemym zdziwieniem obejrzelili dwa zdjęcia. Przy trzecim wyteżyli uwagę. Kolekcjoner widział, jak ich twarze tężeją.

Szalewski poczerwieniał. Osowski zbladł.

- O mój Boże - wyszeptał major.

- Do diabła... - pokręcił głową referent.

Wilhelminą van Clijs targały sprzeczne uczucia. Nadal czuła się straszliwie upokorzona, jako kobieta i jako żona przedstawiciela gdańskiej elity - nikt nigdy nie potraktował jej w taki sposób - a równocześnie doznawała zwyczajnej ulgi, jakiej doświadcza niedoszła ofiara, gdy już wie, że nie spotka jej to, czego się obawiała, czyli najgorsze.

Jej ubranie było zmięte i nieświeże, krok chwiejny. Chciało jej się pić. Nie przypuszczała, że pragnienie może być tak dojmujące, iż usta oblizywane przez spieczony język po prostu bolą. Ale była wolna.

Jeszcze nie świtało. Zagubił się gdzieś zegarek, może po prostu stał się łupem tego nieokrzesanego typu, Ottona, więc nie wiedziała, która godzina. Trzecia, trochę wcześniej?

Nie wiedziała, gdzie się znajduje. Wokół jakieś jednopiętrowe obskurne zabudowania, nigdzie żywego ducha, czasem tylko jakiś bury kot przeciął jej drogę, świecąc zimnymi ślepiami.

Zapakowali ją do rozklekotanego samochodu. Jechali kwadrans, może nieco dłużej.

Na oczach miała opaskę, więc nie wiedziała, skąd wychodzili. Buczenie latarni morskiej i delikatny szum fal, a także powiew świeżego wiatru przesyconego solą - tylko tego była pewna.

Nie, nie wyrzucili jej z pędzącego auta, choć właśnie takiego zakończenia się obawiała. Otto zdecydował się nawet na podziękowanie

za przemiły wieczór, co odebrała jako chęć upokorzenia. A Moss wręczył jej klucze do mieszkania, które trzy godziny wcześniej musiała im oddać. I pocałował w policzek. Jaka szkoda, że okazał się łotrem...

Nie pytali więcej o kontakty męża. Kiedy po raz trzeci odpowiedziała na to samo pytanie o Jaana, wyszli na moment z piwnicy. Wrócili po kilku minutach i zażądali kluczy.

Budynki, mimo ciemności, wyrastały coraz okazalej. Były wyższe, elewacje zaś ozdobne i niemal eleganckie. Zapach nabrzeży niepostrzeżenie rozpląnął się w nocy.

Wiedziała już, gdzie jest. Kończyło się Stare Miasto. Kilkaset metrów przed nią zamajaczyła krępa sylwetka wieży kościoła św. Katarzyny. Była prawie w domu.

Nowa myśl sparaliżowała Wilhelminę. Co powie mężowi?! Jaan z pewnością już dawno wrócił ze spotkania. Spodziewał się, że w domu będzie na niego, jak zawsze, czekała wierna żona. Jej zniknięcie z pewnością go zatrwożyło. Biedak przeraził się.

Zacznie pytać, gdzie była. Zawiadomił policję? Oczywiście! A jeśli nie? I tak będzie musiała o wszystkim opowiedzieć. Z pewnością zawiadomił!

Jeszcze tylko chwila i znajdzie się przed domem. Ukochany dom... Zawsze chętnie wracała do bogato urządzonego, pięknego mieszkania. Tym razem było inaczej.

Serce zabiło jej mocniej, gdy przed frontowymi drzwiami kamienicy ujrzała obcy samochód. O tej porze? Niemal w środku nocy? Więc zawiadomił...

Ociężałym krokiem weszła na pierwsze piętro. Dzwonek zabrzmiał głośno, metalicznie.

Otworzyła Irma. Była blada. Na widok swojej pani rozpromieniła się i szybko wciągnęła ją do środka, jakby bała się, że Wilhelmina rozplynie się niczym senne widziadło.

Z pokoju dochodził gwar rozmów. W jednej chwili nastąpiła cisza. Zaraz potem do przedpokoju przybiegł Jaan.

Za nim pojawili się dwaj nieznanymi mężczyźni. Obaj w jasnych prochowcach.

- Kochanie, jesteś! - wykrzyknął van Clijs. - Boże drogi, co się z tobą działo!

Odchodzę od zmysłów, zawiadomiłem policję!

- Porwano mnie!

- Podkomisarz Schubert - starszy z mężczyzn przerwał scenę rodzinnego powitania. -

A to asystent kryminalny Karasch. Pani Wilhelmina van Clijs, jak się domyślam?

- Tak... - Wilhelmina poczuła, że ma ochotę zemdleć. - Słabo mi, proszę o wodę...

Jaan podtrzymał żonę i poprowadził ją na sofę. Za nim poszli policjanci.

- Daruje pan, chcielibyśmy porozmawiać z pańską małżonką sami.

- Ależ ja... Sami panowie rozumieją! - van Clijs miał ochotę protestować do skutku.

Drżały mu ręce.

- Przykro mi. Dziś wyjątkowo my ustalamy reguły w tym domu - bez cienia kurtuazji oświadczył Schubert.

Van Clijs nie był przyzwyczajony, żeby ktokolwiek zwracał się do niego w ten sposób. Jego zaskoczenie było tak wielkie, że potulnie opuścił pokój. Z bojowego nastroju nie pozostało nic.

- Już pani lepiej?

- Tak - odpowiedziała Wilhelmina nieszczerze.

- Znakomicie. W takim razie proszę opowiedzieć nam wszystko. Po kolei.

- Wszystko? Ale od kiedy?

- Wszystko. Mąż zgłosił zaginięcie po dwudziestej trzeciej. Co się z panią działo?

- Wyszłam na spacer.

- Tak po prostu? - asystent Karasch lubił zadawać to pytanie.

- Tak. Mój mąż poszedł na męskie spotkanie do Danziger Kunstverein na zaproszenie pana Kreisela. Zostałam w domu sama.

- Pokojówka była w Jelitkowie, zgadza się? Tak zeznała.

- Tak, pojechała w odwiedziny do krewnych.

- Wróciła przed północą, ostatnim tramwajem.

- Mój mąż był już w domu?

- Owszem. Ale to nie pani zadaje pytania. Czy spacer miał charakter - podkomisarz Schubert uśmiechnął się kwaśno - rekreacyjny, czy też była pani z kimś umówiona?

Wilhelmina spojrzała na oficera policji badawczo i odpowiedziała nadspodziewanie pewnym głosem:

- Chciałam pooddychać w oliwskim parku świeżym powietrzem.

- I z nikim się pani nie spotkała?

- Oczywiście, że nie!

- Więc co się wydarzyło? W drzwiach krzyknęła pani, że ją porwano. Wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić.

Siadła na ławce, wyjęła kobiece czasopismo poświęcone modzie. Było przyjemnie.

Kwiaty pachniały, ptaki śpiewały, wokół przechadzali się elegancyści ludzie z towarzystwa.

Nagle poczuła, że jej usta zakrywa chusteczka o mocnym zapachu. Tyle pamiętała z parku.

Ocknęła się znacznie później, gdzieś w okolicach nabrzeża Martwej Wisły. Zapach słonej wody, mewy, buczenie latarni.

Policjanci spojrzeli jeden na drugiego. Wilhelminie zdawało się, że przez ich twarze przemknęły głupawe uśmiešky.

- I OCZYWIŚCIE nie widziała pani tego lub tych, którzy panią porwali?

- Nie.

- I OCZYWIŚCIE nic nie zginęło?

- Tak, zginęła torebka. I zegarek.

- Jednak? - zdziwił się Schubert, który chwilę wcześniej zachowywał się tak, jakby miał zamiar szykować się do opuszczenia mieszkania.

- Dlaczego jednak? - Wilhelmina odparła niemal zaczepnie. - Zegarek był kosztowny, Tissot wysadzany diamentami. A w torebce klucze i puderniczka. Pamiątkowa, po matce.

- Czy to wszystko?

- I portmonetka. W środku kilkanaście guldenów.

- Ach tak... - wtrącił asystent Karasch. - Czy odniosła pani jakieś obrażenia?

Wilhelmina zastanowiła się. Nie pomyślała o tym wcześniej. Nie, nie odczuwała bólu.

Po prostu była słaba i obolała.

Jak na komendę, mężczyźni podnieśli się.

- Proszę zgłosić się jutro do południa do siedziby policji. Proszę pytać o sekretariat nadkomisarza Voigta. Podpisze pani zeznania.

- Babsko kłamie jak najęte - machnął ręką Schubert, kiedy znaleźli się na schodach.

- Pewnie tak - pokiwał głową asystent Karasch.

- Wypuściła się na schadzkę, potem zasnęła z gachem, i tyle. A biedny mąż narobił rabanu. Chociaż... Cień prawdopodobieństwa... Może jednak mogliśmy zatelefonować po laboranta, panie podkomisarzu? Jeśli uśpiono ją jakimś świństwem, powinna mieć we krwi coś, co...

- Daj spokój, Franz - zaśmiał się Schubert. - Gdyby okazało się, że we krwi naszej kobitki jest tylko za dużo szampana, mąż straciłby wiarę w jej uczciwość. Widywałem już takie rzeczy. Po co komuś psuć radość z cudownego odnalezienia żony!

- A torebka i zegarek? Schubert machnął ręką.

- Słyszałeś o czymś takim jak pozory? Te rzeczy się znajdują, zapewniam cię. Może w stróżówce, może gdzie indziej. Nie wyrzuciłaby ich przecież.

Po wyjściu policjantów Irma miała wielką ochotę, aby pozostać z państwem i być świadkiem ich rozmowy, ale Jaan stanowczo dał jej do zrozumienia, że życzy sobie, aby poszła do siebie.

Starannie zamknął drzwi za pokojówką, odczekał chwilę i mocno przytulił żonę.

- Kochanie, co się z tobą działo? Odchodziłem od zmysłów.

Wilhelminę zdziwiło pytanie i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że o swoim zniknięciu rozmawiała tylko z Schubertem i Karaschem.

- Jaan, sama nie wiem...

Opowiedziała mu słowo w słowo to samo co tamtym. Przemienne uczucie ulgi, jakie mu towarzyszyło, pozwoliło przyjąć za dobrą monetę słowa żony. Odsunął na moment Wilhelminę, spojrzał jej głęboko w oczy i wyszeptał: - Na pewno nic ci nie jest? Nie zrobili ci krzywdy?

- Nie, nie martw się.

- Chciałabyś się położyć... Jutro porozmawiamy. Wolałabyś, żebym jutro został w domu?

- Nie, poradzę sobie. Jest przecież Irma. A jutro porozmawiamy. Będziemy dużo rozmawiali, obiecuję.

Po kwadransie leżeli już obok siebie, przytuleni. Jaan zasnął jak dziecko, tymczasem ona była kłębowiskiem niespokojnych myśli.

Przez okno sypialni, dzięki nie do końca zasuniętej storze, zaglądały pierwsze różowe promyki letniego wczesnego słońca.

Po co ją porwali?! Do czego były im potrzebne klucze?! Zniknęli na jakiś czas, właśnie wtedy, gdy klucze mieli już w garści. Czy byli w domu? Czego szukali? Tak uporczywie, z takim napięciem wypytywali o Jaana, o jego zajęcia. On rzeczywiście zniknął ostatecznie i nie mówił, co robił w tym czasie...

Może wcale nie chodziło o nią? Właśnie o Jaana. Tak, była już pewna. Wolałaby, żeby było to zwykłe porwanie rabunkowe. Bolałoby, a jakże, ale sytuacja byłaby prosta. A tak?

Nie mogła znieść myśli, że w jej domu przebywało dwóch zbirów. Dotykali wszystkiego, czuli się jak u siebie. Szukali, węszyli...

A jeśli jeszcze ich nie było? Jeszcze gorzej! Bo niepewność jest najgorsza. I to ciągle oczekiwanie, że w każdej chwili mogą przyjść. I nie wiadomo po co.

Musi szczerze porozmawiać z Jaanem. „Szczerze” w takim znaczeniu, że to on powie jej, czym zajmuje się w tajemnicy przed nią.

Obudziła się dwadzieścia po dziewiątej. Tykanie zegara, ciepłe łóżko... Była prawie szczęśliwa. Jaana oczywiście już nie było. Dowodem jego istnienia była jednak kartka, liścik z ciepłymi słowami. Rozpłakała się. Chciała go zdradzić z jakimś nieznajomym, tymczasem on... Taki dobry, kochający!

Irma podała swojej pani gorącą kawę ze śmietanką i rogalika ze słodkim serkiem.

Upewniła się, czy Wilhelminie czegoś nie potrzeba, i zaczęła szykować się do wyjścia po codzienne sprawunki.

Wilhelmina siedziała jak na szpilkach, czekając aż za pokojówką zamkną się drzwi.

Gdy wreszcie została sama, poderwała się z łóżka z energią, o jaką sama siebie nie podejrzewała. Gorączkowo otwierała i zamykała szafy, szuflady, zanurzała dłonie w ubrania, w biżuterię, w domowe sprzęty, zajrzała do wszystkich skrytek, których nie brakowało w domu. Wpadła do gabinetu męża. Biurko, regały z papierami i sterty dokumentów odkurzała zawsze sama, bo Jaan nie pozwalał Irmie na samowolę w swoim królestwie.

Wszystko na swoim miejscu. Wszystko ułożone pedantycznie, jak zawsze.

A więc nie było ich jeszcze.

Dopiero przyjdą.

Stasia wiedziała, że nie będzie musiała czekać na Wandę ani minuty. Bogiem a prawdą, z reguły było odwrotnie - sama miała tendencje do spóźniania się, gdy tymczasem dla przyjaciółki nie do pomyslenia było, żeby pojawić się o innej porze, niż zostało ustalone.

Tym razem była z siebie dumna. Pojawiła się przed sklepem obuwniczym Kreisfelda na kilka minut przed czasem. Co prawda, po skończonej pracy nie miała nic do roboty i to Wandzia prosiła ją o godzinę dla siebie.

Z zainteresowaniem oglądała wystawę. Tyle pięknych bucików... Czyściutka szyba, bez jednej smugi, wysmakowana dekoracja. I te buciki... Jak to u Kreisfelda. Kiedyś lubiła kupować w salonie Momentbauma, ale odkąd musiał wyjechać do Ameryki, bo w Gdańsku robiło się coraz niebezpieczniej, jej wierność klienta skierowała się właśnie tutaj, na ulicę Piwną. Zresztą mama, kiedy dowiedziała się, że córka kupowała u Żyda, porządnie zmyła jej głowę. Teraz byłaby zadowolona. Inna rzecz, iż najlepiej byłoby odwiedzać salon Leisera na Długiej, ale do tego trzeba by było nazywać się Zofia Noskowska.

Gdyby jeszcze buty były choć trochę tańsze! Taka Noskowska na pewno może sobie kupić każdą parę, o jakiej zamarzy. Tak, ale żoną dyrektora Noskowskiego nie chciałyby być.

Taki stary... Co innego Władek! Albo Ruthe. Albert Ruthe, powtórzyła w myślach z lubością.

Opowiedziała o nim Wandzie, gdy przenosiły dokumenty z roku 1934 do archiwum po drugiej stronie korytarza.

Wanda, która była uodporniona na zwierzenia przyjaciółki, i tym razem z początku podeszła do sprawy z milczącą rezygnacją. Zdziwiła się tylko, że ani razu nie padło porównanie właśnie poznanego mężczyzny z Osowskim. To było novum.

- Czyżby „Władek” już nic dla ciebie nie znaczył? - zapytała niemal teatralnie, co było do niej niepodobne.

- No wiesz? - Stasia chciała się zaperzyć, ale musiała przyznać, że Ruthe pochłonął jej myśli nad wyraz skutecznie.

Podroczyły się wesoło i rozmowy musiały zejść na plan dalszy wobec konieczności powrotu do codziennych zajęć w sekretariacie.

Później Wandzia poprosiła ją o pomoc w zakupie butów. Stasia oniemiała. Owszem, dość często chodziły na zakupy, ale zawsze z inicjatywą wychodziła Stasia. I raczej nigdy nie prosiła przyjaciółkę o pomoc. Nie miała za grosz zaufania do gustu Wandzi. Chodziło wyłącznie o towarzystwo.

Do czego Wandzi w ogóle potrzebne są buty? Przecież nie po to, żeby się podobać. A może...? Może i w jej życiu pojawił się ktoś? Nie, niemożliwe. Ale oczywiście, pójdzie z nią.

Może w końcu Wandzia zacznie wyglądać jak człowiek.

Przed Stasią wyrosła przyjaciółka. Z zadowoleniem wskazała na zegarek. Tak, była dokładnie czwarta. Jak zwykle, niezawodna. Gdzie ona się nauczyła takiej punktualności?

Odruchowo chciały się wziąć pod rękę, ale roześmiały się równocześnie. Przecież były pod sklepem.

Życzenie Wandzi było okropnie prozaiczne. Buty muszą być funkcjonalne, na lato i na wczesnojesienne niepogody. I, rzecz jasna, nie

mogą zanadto rzucać się w oczy.

Stasia westchnęła. Nic nowego. Stara, dobra Wanda... Ekspedientka wykazała się życzliwością. Biegała wokół młodych kobiet, jakby zapowiedziały zostawienie w salonie całej dwutygodniowej wypłaty. Również dlatego Stasia lubiła sklep Kreisfelda.

Pudełka, kartoniki, a z nich wyłaniały się kolejne pary, bo Wanda nie uznawała przymierzania tylko jednego pantofelka.

Stasia wiedziała, że Wandzia, kiedy już się za coś zabierała, robiła to metodycznie i dokładnie. Była przygotowana, że wizyta w salonie potrwa. Byłaby jednak ostatnią osobą, którą ten stan rzeczy mógłby zmartwić.

- O Osowskim możesz przynajmniej powiedzieć to i owo. Nie jest anonimowy - zauważyła Wanda, zdejmując pantofelek ze zbyt miękkiej, a więc, jej zdaniem, szybko zużywającej się skórki.

- Czy choć raz nie możesz mieć czegoś mniej praktycznego, Wandziu? - Stasia niemal wyrwała z dłoni przyjaciółki niepraktyczny pantofelek i pogładziła go.

- Wiesz, powiedziałam Ruthemu coś, co by ci się podobało, bo miałam te same wątpliwości. No wiesz, przygodna znajomość. A on mówi, że każda znajomość musi się kiedyś i jakoś zacząć. I że każda jest właściwie przypadkowa.

- Zgrabnie powiedziane - odparła Wandzia. - I co zamierzasz dalej?

Oczy Wandy spotkały zdziwione spojrzenie przyjaciółki.

- Co zamierzam? A skąd ja mogę wiedzieć!

- Ale przecież liczysz się z możliwością ponownego spotkania. On wie już, gdzie pracujesz, jak się nazywasz, wyraził chęć kontynuowania znajomości.

- No tak.

- Właśnie.

- Co będzie, to będzie. Jeśli się odezwie, nie będę niekulturalna...

Wanda wydobyła z siebie coś na kształt śmiechu.

- Oj, Stasiu! A spójrz na te pantofelki, drugie od dołu.

- Są... w twoim guście.

Twarz Wandy rozjaśniła się. Sekretarka zdecydowanym ruchem sięgnęła po kartonik z butami, szybko przymierzyła oba i przeszła się po salonie tam i z powrotem.

Ekspedientka również była zadowolona. Posłała Wandzie i Stasi szeroki uśmiech na pożegnanie. Wcześniej do kartonika z butami włożyła upominek w postaci pasty „EOS”.

Przyjaciółkom szkoda było kończyć dzień w domu. Słoneczna pogoda zachęcała do niespiesznego spaceru. Z Pivnej skierowały się na Długie Pobrzeże. Nadmotławska promenada o tej porze roiła się od podobnych im spacerowiczów. Przez dłuższą chwilę stały oparte o barierkę i patrzyły na przeciwną stronę rzeki. Za spokojnym nurtem Motławy wyrastały długim rzędem wielkie spichlerze, w większości poprzetykane szkieletami szachulca. Pod nimi uwijały się barki, na nich zaś krzątali się gestykulujący żywo robotnicy portowi.

Po tej „lepszej” stronie rzeki panowała zgoła inna atmosfera. Gwar towarzyskich rozmów, spojrzenia rzucane mijanym, dym cygar.

- I ten Ruthe naprawdę jest doradcą ekonomicznym w Dresdner Banku? A jeśli tylko się przechwalał?

- Nie mam powodu, żeby mu nie wierzyć. Mam intuicję. Tacy ludzie nie potrzebują wymyślać niestworzonych historii. I miał bardzo, ale to

bardzo elegancki garnitur. - Stasia zamknęła oczy, jakby chciała wyraźniej przywołać obraz wysokiego blondyna.

- Garnitur - powtórzyła Wanda i rzuciła kawałek bułki mewom, które zaraz zaczęły walczyć między sobą o łakomy kąsek.

Tak, garnitur jest oznaką statusu społecznego. Czy ta skrupulatna dziewczyna o tym nie wie? Rzeczywiście, skrupulatna, nie tylko w pracy. Zapytała też oczywiście o rodziców Alberta. Interesowała się nawet firmą, w której pracował jego ojciec. Dyrektor produkcyjny u Eduarda Rothenberga. Musiała znać tę firmę, bo pokiwała znacząco głową. Kto zresztą nie zna Rothenberga?

Może zazdrości? Stasia była pewna, że nikt pokroju Alberta Ruthego za nic w świecie nie zainteresowałby się Wandzią. Chyba że miałby trzydzieści lat więcej.

Czuła, że złośliwość jej myśli przekracza miarę, ale powoli zaczynała irytować ją sceptycyzm Wandzi, połączony z drobiazgową analizą wszystkiego, co dotyczyło mężczyzny.

Albo zazdrości, albo jest nadopiekuńcza. A przecież ona, ładna i podobająca się mężczyznom Stasia, ma swój rozum, ale wie też, czego oczekuje od życia. Jeśli Wandzia jest zupełnie inna, to na własną odpowiedzialność.

- Co ty właściwie masz przeciwko Albertowi? - Stasia postanowiła, że w sposób jednoznaczny wyrazi swoje niezadowolenie z przebiegu rozmowy.

- Nic, zupełnie nic - padła spokojna odpowiedź. I znowu kawałek bułki rzucony łakomym mewom.

- Nie opowiadaj! Zauważyłam, że już go nie lubisz. Mimo że nic o nim nie wiesz.

Wanda odwróciła się do przyjaciółki i spojrzała na nią poważnie.

- Bo lubię ciebie.

Rozstały się w kilkanaście minut później. Stasia ruszyła w stronę Św. Ducha, ponieważ chciała odwiedzić salon fryzjerski Preuchoffa, skąd miała potem krok do domu, tymczasem Wanda jeszcze trochę stała oparta o barierkę i wpatrywała się w nurt Motławy.

Wreszcie strzepnęła z lekkiego płaszczyka okruchy bułki i bez pośpiechu skierowała się w stronę Targu Maślanego i dalej

- Lastadii. Przeszła przez most, którego przedłużeniem, jeśli iść w prawo, jest Podwale Przedmiejskie, oddzielające zwartą zabudowę Głównego Miasta od Starego Przedmieścia.

Minęła fabrykę margaryny „Amada” i magazyn drewna Schefflera.

Spojrzała na zegarek. Zatrzymała się przed dawno już zamkniętym sklepem z artykułami metalowymi, którego wystawa stała w jawnym kontraście do tej, za którą niedawno wybierała pantofelki.

Przez minutę czy dwie wpatrywała się w brudną szybę. Dookoła panowała cisza. Nie była to okolica, którą o tej porze zwykły były odwiedzać młode, szanujące się kobiety.

Zresztą chyba żaden ze zwykłych gdańszczan nie miał ochoty zapuszczać się tutaj bez potrzeby.

Wreszcie usłyszała kroki. Nie były głośne, ale cisza wyostrza wszelkie dźwięki po niej następujące.

Odwróciła się niespiesznie, jakby wiedziała, że nie powinna się obawiać. I na widok mężczyzny nie skuliła się odruchowo, nie ruszyła

przed siebie, aby tylko znaleźć się jak najdalej od potencjalnego źródła zagrożenia. Tylko na jej twarzy odmalowało się zdziwienie.

Nieruchomo czekała.

Mężczyzna podszedł do niej i lekko uniósł kapelusz.

- Przepraszam, czy orientuje się pani, jak dojść do kościoła św. Trójcy?

- Oczywiście, ale o tej porze kościół jest zamknięty.

- Skąd pani wie?

- Chodzę tam często.

Nastąpił moment ciszy. Nieznajomy poprawił kapelusz i uśmiechnął się nieznacznie.

- Była pani zaskoczona, że to ja przyszedłem?

- Nieistotne, co pomyślałam. Zwyczajna rzecz. Ludzie przychodzą, odchodzą...

- W takim razie i my odejźmy stąd. Niedaleko jest mały park, pani na pewno go zna.

Tam jest jeszcze spokojniej.

- Chodźmy więc.

Wzięła nieznajomego pod rękę i ruszyli w stronę parkowych drzew.

Po upływie dwudziestu minut Wanda kierowała się z powrotem w stronę Głównego Miasta. Ulicą Słodowników skręciła w Ogarną i weszła do kamienicy pod numerem 40.

Nie minęło kilka minut, a już szła do domu. Stróż powitał ją wesoło. Był człowiekiem pogodnym i zawsze miał na podorędziu jakiś żarcik. Tym

razem wyraził zdziwienie, że panna Wanda nie przyniosła kaszanki dla jego mopsa. A przecież Max tak lubi kaszanke...

Wanda uśmiechnęła się tak, jak wypadało, czyli delikatnie, i rzuciła uprzejmie „dobranoc”. Stary Johann przytknął dwa palce do czapki i zamknawszy drzwi za kobietą, poszedł do swojej stróżówki.

Pokój rozświetliła lampka. Wanda zasłoniła okno. Ściągnęła garsonkę i starannie powiesiła ją na wieszaku. Potem zdjęła buty. Przez moment zastanowiła się, czy założyć nowe. Wyjęła je z kartonika, ale ograniczyła się do krótkiego spojrzenia na świeży nabytek, który zaraz odstawiła na stare, choć solidne krzesło.

Nachyliła się nad torebką leżącą na stole. Wyjęła z niej kopertę wielkości jednej trzeciej zwyczajnych kopert, choć wypchaną do maksimum. Jednym pociągnięciem dłoni odsunęła róg dywanu. Podniosła ruchomą klepkę, potem drugą. Wsadziła kopertę w wąski, lecz głęboki otwór. Za chwilę po całej operacji nie było śladu.

Uśmiechnęła się do nowych pantofelków. Stasia byłaby bardzo zdziwiona jej zachowaniem.

Zdjęła spódnice i bluzkę. Podeszła do lustra i powoli pozbyła się pończoch oraz bielizny. Stała naga przed lustrem. W dłoni trzymała łańcuszek kupiony niedawno w sklepie złotniczym Stumpfa we Wrzeszczu. Przysunęła go do szyi i piersi. Stasia byłaby jeszcze bardziej zdziwiona.

Pomyślała jeszcze: „wystarczy” i obróciła się do miednicy. Nalała z dzbanka wody i zmyła z siebie trudy dnia.

Lampka paliła się do późnej nocy. Wanda czytała. Tym Stasia nie byłaby zdziwiona.

Niemniej zdziwiłoby ją, co czyta przyjaciółka.

Zajęcia dobiegały końca. Maria Walter energicznym ruchem zamknęła skoroszyt z notatkami. Od strony słuchaczy zaszumiało. W teczkach zniknęły pióra, ołówki i zeszyty. Sala pustoszała. Do biurka podeszła jeszcze panna Helena Andrzejewska, która po każdym zajęciu zwracała się do wykładowczynie z jakimś pytaniem, niekiedy sensownym.

Maria Walter odpowiedziała na wątpliwość Helenki. Zbierała się do wyjścia, gdy nagle w drzwiach stanęła sekretarka.

- Pani Mario...
- Tak?
- Pan dyrektor prosi do siebie.
- Oczywiście.

Gabinet Henryka Majewskiego nie przypominał wprawdzie gabinetów kadry kierowniczej dużych banków ani instytucji państwowych, niemniej był przestronny i ozdobiony ciężkimi meblami stylizowanymi na gdańskie. Na biurku stały na stelażykach dwa proporzycyki - Ligi Morskiej i Kolonialnej, upominek od przyjaciela, Władysława Paneckiego, oraz Kolejowego Klubu Sportowego.

Wysoki, chudy mężczyzna przed sześćdziesiątką podniósł się na widok wykładowczynie. Nisko skłonił głowę i nerwowym gestem poprosił, by kobieta usiadła naprzeciw jego fotela.

- Pani Mario, pani Mario!

- Panie dyrektorze?

- Znowu kłopot! - Majewski podniósł dłonie w nieokreślonym geście, a potem spuścił je na kolana, wywołując głośne plaśnięcie.

- Daruje pan, nic nie wiem...

Dyrektor wstał i podszedł do okna. Zaraz jednak usiadł. Podniósł z biurka pióro i zaczął nim stukać o blat.

- Bo to stało się wczorajszej nocy. Trzech naszych słuchaczy wracało z meczu Gedanii. Oczywiście mecz zakończył się szybciej, ale oni jeszcze poszli na Głównie Miasto, żeby w Chwiejnym Korabiu przy Targu Maślanym świętować zwycięstwo.

Kobieta pokiwała głową. Kibicowanie było dla gdańskich Polaków więcej niż sportowym hobby. I rodziło z reguły kłopoty natury politycznej. Domyślała się, co zaszło.

- W środku było pięciu osiłków z NSDAP. Czy nasi nie mogliby jeździć do Gdyni na mecze Kotwicy? Taki porządny klub i w dodatku w Gdyni nie ma młodych hitlerowców...

- Bójka.

- Bójka - dyrektor Majewski pokiwał głową.

- Są bardzo poszkodowani?

Trzaśnięcie pióra o blat było mocniejsze niż poprzednio.

- Droga pani, to byłoby pół biedy. Naszym właściwie nic się nie stało. Ale ci z NSDAP są w opłakanym stanie. Jeden ma złamaną rękę, innemu szczęka wypadła z zawiasów. Dwóch jest obandażowanych jak mumie. O obtłuczeniach i siniakach nie mówię.

Teksty w „Der Vorposten” mnie nie dziwią, bo to ich organ, ale pisze o tym nawet „Danziger Zeitung”!

Tuż przed Marią Walter wylądowała gwałtownie gazeta. Wykładowczyni wyprostowała ją i ujrzała niemal całostronicowy artykuł na pierwszej stronie, zatytułowany „POLSCY BANDYCI NAPADLI GDAŃSKĄ MŁODZIEŻ”.

- Pani zdaje sobie sprawę - kontynuował Majewski, nie czekając, aż Maria zacznie czytać tekst - że policja zamknęła wszystkich...

- Oczywiście.

- I w pani nadzieja - tym razem o blat biurka uderzyła wewnętrzna część dłoni.

- Obawiam się, że pan mnie przecenia, dyrektorze. Gwałtowne zaprzeczenie, które odmalowało się na twarzy Majewskiego, nie zostawiało kobiecie wyboru.

- Pani Mario, tyle razy ratowała pani szkołę. Pani stosunki...

Rozmówczyni dyrektora wyprostowała się. Gdyby jego słowa usłyszał ktoś postronny, mógłby pomyśleć, że ma jakieś specjalne fory u hitlerowców.

- To nie są żadne stosunki towarzyskie, dobrze pan wie.

- Ależ ja nie miałem na myśli niczego, co...

- Wiem - odparła Maria Walter. - Może jestem przewrażliwiona.

- A więc...? - Majewski nachylił się nad kobietą.

- Komisarz generalny Chodacki osobiście prosił mnie w rozmowie telefonicznej...

Dzięki pani pokrewieństwu z konsulem de la Tournelle... Sam komisarz może interweniować i czyni to, ale sama pani wie, jak Niemcy odnoszą się do naszych próśb. O notach nie wspominał, one tak ich rozdrażniają!

Maria Walter westchnęła. Kilka razy prosiła dalekiego kuzyna o pomoc. Zawsze skutkowało. I zawsze czuła się skrępowana. Baron de la Tournelle nie należał do osób sympatycznych, choć mógł wiele i, okazując wyższość, w końcu załatwiał wszystko po myśli dalekiej krewnej.

Wyszła ze szkoły jak zawsze w piątki, czyli po szesnastej. Nie spieszyło jej się do mieszkania na Piwnej, zresztą otrzymała od dyrektora Majewskiego zadanie. Nie lubiła wracać do pustego domu, choć było tam ładnie. Przestronne dwa pokoje, ładnie urządzone, dobrze nasłonecznione.

Czuła się w Gdańsku samotna. Żadnych przyjacieli. Koleżanki i koledzy ze szkoły mieli własne sprawy. Czasy były niespokojne i niemal wszyscy zdawali sobie sprawę, że w powietrzu wisi kataklizm. Napomykali nieraz o wyprowadzce, choć oficjalnie nikt nie przyznałby się do takich zamiarów. Oficjalnie należało pozostawać w gotowości i wykazywać się na co dzień animuszem oraz urzędowym optymizmem.

W Tarnowie został Nicolae. Tak jak ona, był nauczycielem. Pochodził z Siedmiogrodu. Był w połowie Węgrem, w połowie Rumunem. Odziedziczył mentalny spadek po cesarstwie habsburskim: w dawnej Galicji czuł się tak samo dobrze jak w rodzinnej Sigisoarze. Nie mógł poślubić Marii, ponieważ popełniłby najzwyczajniej bigamię. Jego żona, która pozostała w Siedmiogrodzie, już rumuńskim, zaginęła w tajemniczych okolicznościach kilka lat wcześniej, ale według prawa rumuńskiego jeszcze przez trzy lata nie można było uznać jej śmierci. Nicolae dałby sobie głowę uciąć, że przebywała za granicą i nie martwiła się swoją sytuacją prawną. Dla Marii było to jednak niewielkie pocieszenie. Mówiąc dokładnie: żadne. I dość miała okazyjnych spotkań z Nicolae.

Tęskniła za nim długo, aż wreszcie obraz ukochanego zaczął się zacierać. Z czasem w marzeniach kobiety pojawił się ktoś inny.

Nie było na co czekać. Prosto ze szkoły pospieszyła do konsulatu francuskiego. Miała szczęście. Baron de la Tournelle był na miejscu i już po upływie pół godziny przyjął Marię w bogato urządzonej gabinecie, przy którym inne wnętrza, jakie zdarzyło się jej oglądać, sprawiały wrażenie ubogich izdebek. Tak, Francuzi potrafią umilać sobie życie. Konsulat opuściła przed osiemnastą. Była zadowolona. Pofatygowała się aż do gmachu Poczty Polskiej i zatelefonowała do przełożonego. Rozmowa nie trwała długo, ale była bardzo miła.

Na klatce schodowej spotkała Stasię Królikowską, sympatyczną, choć raczej nieskomplikowaną dziewczynę z komisariatu polskiego. Kilka razy zdarzyło się im porozmawiać przez chwilę, choć tematy ograniczały się do warunków bytowych w kamienicy, pogody i towarów w pobliskich sklepach. Maria miała wrażenie, że wzbudza w Stasi pewien rodzaj respektu. Dziewczynie łatwiej rozmawiało się z rodaczką niż z Niemcami, z drugiej strony kilkanaście lat różnicy i dość wyniosłe maniery starszej z kobiet stanowiły pewną barierę, którą Stasia wyczuwała instynktownie.

- Dzień dobry, pani Mario.

- Dzień dobry. Panno Stasiu, tak wcześnie do domu?

- Dziwi panią, że nie jestem na seansie, prawda? - dziewczyna uśmiechnęła się. - Dwa dni z rzędu byłam w kinie, a wczoraj pomagałam przyjaciółce z naszego komisariatu wybierać pantofelki - wyprostowała się i Maria dostrzegła błysk próżności w oku Stasi.

- Za dużo wrażeń? - pokiwała głową Maria. Niemal pozazdrościła dziewczynie braku czasu i drobnych przyjemności.

- Ach nie - gwałtownie zaprzeczyła Stasia. - Tylko że muszę w końcu zrobić przepierkę i posprzątać mieszkanie.

Maria wyraziła zdziwienie, że nie sprząta i nie pierze jej frau Labenz.

- Naturalnie, proponowała mi te usługi, gdy omawialiśmy warunki wynajmu mieszkania. Tylko że...

- Tylko że nie za darmo - dokończyła Maria. - Zrozumiałe, że w pani sytuacji należy liczyć się z każdym guldenem.

W uszach Stasi ostatnie słowa zabrzmiały, poniekąd słusznie, jak obelga. Zbyt wiele razy rozmaici ludzie, przygodnie poznani, jak i ci, których nieźle znała, dawali jej do zrozumienia, że w hierarchii społecznej nie stoi zbyt wysoko.

Powinna była się przyzwycząić, lecz za każdym razem takie stwierdzenie było jak cios w serce.

W tamtej chwili przyrzekła sobie uroczyście, że zrobi wszystko, żeby podtrzymać zainteresowanie sobą Alberta Ruthego. Ona jeszcze udowodni im wszystkim, że jest wyjątkowa i zasługuje na lepszy los!

- Po prostu nie lubię, żeby ktoś obcy szarogęsił się w moim pokoju. Chociażby był tylko wynajęty - odparła z pozorną beztroską. I zaraz dodała zaczepnie: - Pani też chyba sama sobie sprząta?

Starsza z kobiet podjęła wyzwanie.

- Ja, droga panno, mieszkam tu sama. Nie dzielę mieszkania z główną lokatorką. A właściciela kamienicy spotykam sporadycznie. I tylko wtedy, kiedy potrzebuję z nim uzgodnić to i owo.

- Kiedy będę w pani wieku, też na pewno nie będę potrzebowała żadnej frau Labenz.

A w ogóle, to nie jest tak źle. Można do kogoś się odezwać, kiedy już się wróci z kina.

- Tak, ważne, żeby móc porozmawiać z kimś takim jak frau Labenz - Maria uśmiechnęła się słodko.

Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment. Zazdrościły sobie nawzajem i zdawały sobie z tego sprawę. Dzielila je przepaść i nigdy nie mogłyby się zaprzyjaźnić. Łączyła je właśnie zazdrość. Maria nie miała beztroskiego entuzjazmu, Stasia wyniosłej pewności siebie i stabilizacji materialnej.

Skłoniły się sobie i skierowały w stronę własnych drzwi. Maria kątem oka zauważyła, nie bez złośliwej satysfakcji, jak w drzwiach, do których zastukała Stasia, wyrasta zwalista sylwetka gospodyni.

Minęła godzina. Trzy oddzielone regularnymi odstępami dźwięki. Przeszła do korytarza. Nacisnęła klamkę.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry panu. Proszę - bez zbędnych serdeczności zaprosiła mężczyznę do wejścia. - Zapraszam tutaj - nieznacznym ruchem dłoni wskazała pokój stołowy.

Siedli naprzeciw siebie. Młody człowiek położył na okrągłym dębowym stole teczkę.

Maria spojrzała, jakby chciała się upewnić.

- Proszę przejrzeć.

- Dziękuję.

Teczka zawierała tylko kilka kartek. Treść zapisana była w suchych punktach i podpunktach. Kobieta uważnie przeczytała całość. Zajęło jej to niecały kwadrans.

- Tak - podsumowała. - Kawy oczywiście nie będę proponowała.

Dla Władysława Osowskiego dzień zaczął się bardzo wcześnie. O godzinie piątej zbudził go telefon.

- Halo, van Clijs po tej stronie aparatu.

- Poznają - wyszeptał referent. W rzeczywistości, gdyby nie podane nazwisko, w pierwszej chwili nie wiedziałyby, z kim ma do czynienia.

Nie należał do śpiochów, ale o piątej rano miał święte prawo oczekiwać, że została mu jeszcze równa godzina snu.

- Czemu zawdzięczam pański telefon?

- Przepraszam, wiem, że nie powinienem niepokoić pana o tak wczesnej porze, ale nie zmrużyłem oka ostatniej nocy.

- Coś się stało? - Osowski zaczynał trzeźwieć.

- Owszem. Przede wszystkim chciałbym powiedzieć, że jeszcze wczoraj przed wyjściem na spotkanie towarzyskie przejrzałem wszystko, co mi pan zostawił.

Osowski spodziewał się, że Holender zaleje go potokiem słów. Fachowe terminy, wątpliwości, może jakaś nieścisłość. Tymczasem tamten zawiesił głos.

- Dlaczego pan zamilkł?

- Ponieważ liczyłem, i liczę nadal, że z pana strony nastąpi propozycja spotkania.

Musimy porozmawiać osobiście. Bardzo poważnie porozmawiać - ostatnie zdanie wypowiedziane było z naciskiem.

Umysł referenta pracował już tak, jak należało. Zrozumiał, co van Clijs ma mu do zakomunikowania.

- A więc sprawa jest poważna?

- Tak.

- I nie uważa pan za stosowne, żeby poruszać ten temat telefonicznie.

- Rzecz jasna.

- W takim razie dzisiaj?

- Koniecznie.

Osowski ugryzł się w język, zamierzał już bowiem zapytać, czy spotkają się, jak ostatnio, przy wejściu na molo w Sopocie. Holender miał rację. Czasy były takie, że nie należało mówić zbyt wiele do słuchawki telefonicznej.

- A więc tam, gdzie dwa dni temu, dobrze?

- Naturalnie. Godzina też ta sama?

- Nie, proponuję dwie godziny wcześniej. Grafik na dzisiejsze popołudnie i wieczór mam już całkowicie zapewniony, zresztą sprawami służbowymi. Konsul generalny Niemiec, sędzia Sądu Wyższego, ktoś z Archiwum Gdańskiego. Co za dzień...

- Oczywiście. Jak pan wie, nie jestem uwiązany w firmie przez osiem godzin.

Mimo pozorów beznamiętności, na jaką starał się zdobyć van Clijs, Osowski coraz wyraźniej słyszał w jego głosie napięcie. Nie miał złudzeń, że ów stan spowodowany mógł być tylko studiami nad dokumentacją, w tym i fotograficzną, jaką otrzymał od niego i dyrektora Noskowskiego. Holender był wytrawnym rzeczoznawcą i widział w życiu niejedno.

Poza tym kontakty z „dwójką” i prawdopodobnie potem innymi służbami powinny uodpornić go na sytuacje, których konsekwencje nie do końca mógł przewidzieć.

Coś musiało się zdarzyć. Osowski wiedział, że nie usłyszy niczego konkretnego. Jak jednak nie zapytać?

- Moja żona... - zaczął van Clijs. - Daruje pan, kiedy się spotkamy, powiem więcej.

- Dziękuję.

- Muszę już kończyć, do zobaczenia - rzeczoznawca musiał odłożyć słuchawkę, nie czekając na odpowiedź. Osowski usłyszał głośny trzask.

Wrócił do łóżka i próbował zamknąć oczy, ale otwierały się same. Zegar zakomunikował, że do szóstej pozostało trzydzieści minut.

Wstał i pożałował tylko, że nie rozpoczyna dnia pod Kołomyją. Wyszedłby na ganek i odurzyłaby go woń trawy i ziół. A jednak służba państwowa pochłonęła go bez reszty.

Pocieszył się zaraz, że rodzinny dwór znużyłby go po tygodniu.

Dyrektor Noskowski stwierdził, że w tak ważnej sprawie musi spotkać się z rzeczoznawcą osobiście. Rzecz jasna, Osowski, jako ktoś w rodzaju asystenta (major Szalewski powiedziałby: adiutanta), był niezbędny, niemniej właśnie on, dyrektor, jako pierwszy miał usłyszeć wszystko, co Holender ma do powiedzenia.

Z kolei towarzystwo majora narzucało się samo. Noskowski wymógł jednak na oficerze, żeby ten ubrał garnitur, rezygnując z polskiego munduru. Szalewski stwierdził wprawdzie z żalem, że w mundurze jest przystojniejszy, dał się jednak przekonać.

Molo w Sopocie roiło się od ludzi. Miejsce spotkania wydawało się idealne, ponieważ niezliczone ilości spacerowiczów stwarzały urzędnikom komisariatu możliwość wtopienia się w tłum. W dodatku, jeśli ktoś chodzi po sopockim molo w środku słonecznego dnia, stwarza wrażenie, że nie ma niczego do ukrycia.

Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że mężczyźni nie pragnęli ukryć przyczyny spotkania.

Polacy przystanęli przy wejściu na molo. Starali się nie okazywać po sobie stanu nerwowego oczekiwania na informacje van Clijsa. Ten zaś, wbrew wyznawanej przez siebie ponad wszystko zasadzie punktualności, nie nadchodził.

- A toż łachudra i szalapat! - pokręcił głową Szalewski. - W wojsku by się taki nie uchował, bez dwóch zdań. Ma do czynienia z poważnymi personami, a zachowuje się jak adiutant, co to zapomniał o Bożym świecie w jakim lupanarze.

- Daj pan spokój, panie Karolu - zaproponował dyrektor Noskowski, pocierając chusteczką zroszone kroplami potu czoło. - Może zepsuł mu się automobil?

- Toż niech jak raz sprawi sobie niepsujący się!

- Niełatwo taki znaleźć - uśmiechnął się Osowski i sięgnął po podanego mu przez wojskowego papierosa. - Zresztą, już idzie!

Do mężczyzn niemal truchtem spieszył van Clijs. Jego krępa postać toczyła się niczym kula. Widać było, że nie jest przyzwyczajony do wysiłku fizycznego, bo twarz, zaczerwieniona i zmęczona, wyrażała niemal udrękę.

- Znalazła się nasza zguba! Proszę, proszę - wykrzyknął Szalewski.

- Stokrotnie panów przepraszam... - zadyszany Holender zdawał się naprawdę zakłopotany. - Zawsze staram się być punktualny.

- Widzimy, widzimy - dodał major i protekcjonalnie poklepał przybyłego po plecach.

- Najważniejsze, że pan przyszedł - pojednawczo zauważył Noskowski, zażenowany postępowaniem oficera.

- W istocie - dodał referent.

Van Clijs rzucił majorowi niezbyt przyjazne spojrzenie. Rozejrzał się zaraz wokoło i zaczął ściszym głosem:

- Pragnę zakomunikować, że z wielką skrupulatnością przejrzałem dokumentację dostarczoną przez panów.

Mijały ich niezliczone postaci. Mężczyźni w letnich garniturach, kobiety w zwiewnych sukienkach i spacerowych kapeluszach. Wiele osób wpatrywało się w statki majaczące na horyzoncie, zamglone i niemal nierzeczywiste. Kilkanaście osób podążało do miejsca, gdzie właśnie zacumował niewielki wycieczkowiec Die Weisse Möwe. Z kolei za plażą wdzięczył się do spacerowiczów oszalamiający bajkową architekturą Dom Zdrojowy.

Dla nich jednak nie istniało w tamtej chwili nic poza jeszcze zadyszany Holendrem.

Wpatrywali się w niego niczym sępy w umierające na pustyni zwierzę.

-...Skrupulatnością, jakiej nie zwykło się stosować w zwyczajnych przypadkach.

Przejrzałem wiele pozycji z mojej niemałej biblioteki...

- Mów pan na temat, do stu diabłów!

Holender znów posłał Szalewskiemu niemal wojownicze spojrzenie i odparł tonem obrażonej primabaleriny, że chciał jedynie zapewnić, iż podszedł do zadania z wielkim profesjonalizmem i nie mniejszą starannością.

- Panie van Clijs, proszę... - wyszeptał dyrektor Noskowski.

Polaków i Holendra obserwowało dwoje ludzi. Młoda kobieta i jeszcze młodszy mężczyzna. Stali po przeciwnych stronach szerokości mola, eleganccy niczym turyści o określonej kondycji społecznej. On miał za plecami Gdańsk, ona Gdynię.

- Według mojej wiedzy, a tę opieram wprawdzie tylko na fotografiach i dokładnych skądinąd danych dokumentacyjnych, mamy do czynienia z rewelacją. A ja jestem znany z oszczędności w słowach - znów spojrzenie rzucone majorowi. - Od kilkunastu lat, a przecież okres powojenny zawsze obfituje w rozmaite tego typu niespodzianki, nie było czegoś podobnego. Zanim przejdę do szczegółów, uważam za stosowne nadmienić, że w ciągu najbliższych dni, co ja mówię - godzin, powinno dojść do okazania panom choć części precjozów. Nie ma na co czekać. Najlepiej byłoby, choć oczywiście nie wiem, jak to wygląda od strony technicznej, gdyby mogli panowie obejrzeć... zwłaszcza TO. Nie ma na co czekać, powtarzam z uporem. Depozyt jest zbyt wartościowy.

- Ręczysz pan za swoje słowa? - tym razem z ust majora wydobył się cichy szept.

Holender wyprężył się dumnie. Po raz pierwszy podczas spotkania z Polakami.

- Jestem poważnym człowiekiem. Inaczej nie zaproponowałibyście panowie współpracy właśnie mnie.

- Racja - pokiwał głową major i sięgnął do papierośnicy.

- Jest jeszcze jedna sprawa, dla mnie ważniejsza od tego całego depozytu.

Oczy dyrektora Noskowskiego, wbrew jego łagodnemu charakterowi, wbiły się w van Clijsa z niemal morderczym napięciem.

- Czy jest coś ważniejszego?

Van Clijs nie mówił długo, ważył słowa. Świadom, że znajdują się w miejscu publicznym, starał się nie okazywać zdenerwowania.

Wspomniał jednym zdaniem referentowi Osowskiemu o żonie. Czuł się teraz zmuszony do zrelacjonowania mężczyznom wydarzeń z ubiegłej nocy. Był przeświadczony, że zniknięcie żony i jej przetrzymywanie przez porywaczy z pewnością miało związek z jego zadaniem.

Na pytanie Noskowskiego odpowiedział szczerze, że nie zauważył, żeby ktoś przeszukał mieszkanie, nie dostrzegł również, aby go śledzono.

- Więc skąd, u diabła, ktoś się dowiedział?! - major nie krył irytacji. - Przecież zachowujemy wszelkie środki ostrożności. Znajdujecie się pod moją opieką, serdecznie, a mało jest na świecie ludzi, którzy by w równym stopniu co ja posiadli wiedzę o zasadach konspiracji!

Kobieta i mężczyzna porozumieli się wzrokiem. Chwilę wcześniej pracownicy urzędu i Szalewski rozstali się z Holendrem. On poszedł w stronę wyjścia z mola nieco wcześniej, Polacy zaczekali paręnaście sekund i ruszyli jego śladem.

- Te spotkania są stanowczo zbyt częste - zauważył mężczyzna.

- W dodatku skład był tak oficjalny - odparła kobieta.

- To samo pomyślałem.

Srebrna puderniczka z lusterkiem zbliżyła się do kobiecej twarzy.

- Są zdeterminowani. Są zdecydowani. I liczą na współpracę tego osła. Dał im w końcu niemal dowód. Liczyłam, że będzie sprytniejszy.

Mężczyzna zapalił papierosa i z lubością zaciągnął się haustem gęstego, mocnego dymu, podnosząc głowę do góry.

- Nie ma na co czekać - powiedział.

- Niestety.
- Nie bądź sentymentalna.

Georg Rook wyszedł z kąpeli. Starannie wytarł pulchne ciało w biały ręcznik. Wyjął z mosiężnej wanny korek. Poziom wody stopniowo malał. Przyjemny chłupot pieścił uszy Kolekcjonera.

Zgasił światło w łazience. Opadł leniwie na skórzaną kanapę. Miał na sobie amarantowy szlafrok przetykany złotą nitką. Z kieszonki na piersiach wystawała złotawa chusteczka. Podniósł ze stolika sygnet z drobnym brylancikiem, zdobycz z podróży przed laty do Amsterdamu. Nałożył sygnet na serdeczny palec prawej ręki - bez niego czuł się niemal nagi.

Nalał odrobinę koniaku z rżniętej w kryształe karafki do pękatego kieliszka.

Zapalił cygaro z Barbadosu. Lubił czuć się królem życia.

Wziął do ręki słuchawkę telefonu.

- Madame Koschik? Tak, to ja, poznała pani... Proszę mi powiedzieć, czy Elisabeth jest dziś wolna? Tak? O, znakomicie. Oczywiście, w tym celu dzwonię. Dobrze, w takim razie czekam. Moje uszanowanie.

Spojrzał na ścienny zegar. Dochodziła siedemnasta. Miał jeszcze godzinę dla siebie.

Wrócił na kanapę. W pozycji pólężącej zaczął wertować dokumenty wyjęte z brązowej teczki.

Niebawem zapadł w drzemkę. Nie był chłopcem, w dodatku mademoiselle Elisabeth znał dość dobrze, więc nie czekał na jej

przybycie w stanie jakiegoś olbrzymiego napięcia.

Był zrelaksowany. Drzemka...

Sen był na tyle płytki, że Rook potrafił zdziwić się marą własnego ojca. Ten nie żył od dobrych kilkunastu lat, lecz nigdy dotąd nie przyśnił się Georgowi.

Przyzywał syna do siebie wymownym gestem prawej dłoni. Georg Rook usiłował spełnić życzenie ojca, lecz nogi ciążyły mu jakby były z ołowiu. Wokół panowała cisza, jednak stopniowo przeszła w szmer. Szmer narastał i ustąpił miejsca cichym, potem głośnym stukom. Hałas stawał się irytujący, tymczasem ojciec coraz natarczywiej domagał się, aby syn podążył w jego kierunku.

Rook obudził się. Serce łomotało mu w piersi. Ze zdziwieniem skonstatował, że na jawie stukanie nie ustało. Ktoś głośno pukał do drzwi. Dzwonek zepsuł się poprzedniego dnia, a elektryk, niejaki Grohmann, miał się pojawić dopiero jutro.

Nie spojrział na zegarek, ale był przekonany, że za drzwiami stoi podopieczna madame Koschik.

Odruchowo przyglądził resztkę włosów i ruszył do drzwi.

Pchnięcie w klatkę piersiową odrzuciło go na dobre półtora metra. Zachwiał się i przez ułamek sekundy łapał równowagę.

Najpierw cios, zaraz po nim do mieszkania wpadło dwoje ludzi. Nie byli nastawieni do gospodarza tak przyjaźnie jak Elisabeth, którą spodziewał się ujrzeć.

Drugi cios wepchnął Rooka w kanapę.

- Nie spodziewałeś się nas, co? - zapytał mężczyzna.

- Co wy wyprawiacie, do diabła?! - wykrzyknął Rook z mieszaniną gniewu i strachu, dotykając dłonią bolącego miejsca.

- Co TY wyprawiasz, stary durniu! - wrzask mężczyzny uzmysłowił Rookowi, że nie on będzie dyktował warunki „rozmowy”.

Mimo obezwładniającego strachu, umysł pracował gorączkowo. Kolekcjoner od początku wiedział, że z ludźmi, którzy wtedy nawiązali z nim kontakt, się nie żartuje. A jednak po pewnym czasie spróbował wejść w rolę rozdającego karty, choć nie wydawało mu się, że postępuje całkiem nielojalnie.

Widać, sądzili inaczej...

- Nie pamiętasz, jak się umawialiśmy?

- Pamiętam. Nic złego nie zrobiłem. Przecież wiecie!

- Gównu byśmy wiedzieli, gdybyś jeszcze parę dni pograł tak, jak chciałeś. -

Napastnik przyskoczył do kanapy i napał kolanem na pierś Rooka. Ten zawył z bólu i zaraz zaczął kwiczeć jak zarzynana świnia, ale mężczyzna uderzył go otwartą dłonią w twarz i Kolekcjoner zamilkł.

Kobieta odwróciła głowę, tymczasem jej kompan trwał z kolanem na piersi Rooka.

- Daj spokój, nie potrzeba się znęcać - cichy, kobiecy głos osobliwie kontrastował z zachowaniem prześladowcy.

- Masz rację - zaśmiał się mężczyzna. Jego śmiech przeraził Kolekcjonera.

Ucisk zelżał. Ustał wreszcie. Rook wyprostował się nieco i lęklonie spoglądał na parę „gości”. Na jego twarzy malowało się cierpienie, po połowie dotykające duszy i ciała.

Do ofiary zbliżyła się kobieta. Pochyliła się nad Rookiem.

- A ja pana ostrzegałam. Mówiłam, że Polacy są tylko jednym z wariantów. I raczej nie najpoważniejszym. Postawiłby pan na kulawą szkapę, gdyby obok miał biec jabłkowy arab?

- Trzeba było powiedzieć, że pani woli...

Nie dokończył. Młody mężczyzna, kiedy tylko zauważył, że Rook zaczyna się podnosić i szybko nabiera animuszu, powtórzył poprzednią operację.

- Z nim nie można inaczej, proszę pani - krzywo uśmiechnął się młody człowiek.

Ofiara nie dostrzegła przytaknięcia ze strony kobiety.

- Wszystko da się odwrócić - wydusił z siebie Rook.

- Odwołam spotkanie z Polakami. Albo sfingujemy moje zaginięcie. O, w okolicach Targu Rakowego, w zaroślach, często znikają ludzie. Przecież Polacy nie wiedzą, kim jestem, gdzie mieszkam. Dajcie mi szansę!

- Za dużo wiesz, durniu! - padła odpowiedź. - Nie mamy już do ciebie zaufania. Czy wiesz, ile zachodu zajęłoby naprawianie tego wszystkiego? A tak, urwie się źródło kontaktów.

Po plecach Kolekcjonera przebiegł zimny dreszcz.

- Chcecie żebym zniknął? - Próbował ratować sytuację. - Dobrze, mam ważny paszport, wyjadę jeszcze tej nocy, obiecuję.

- To nie będzie konieczne - odparł mężczyzna i spojrzał na kobietę. Ta z odrobiną bezradności rozłożyła ręce.

Ucisk kolana zelżał. Młody człowiek sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej niewielki podłużny przedmiot.

Cichy odgłos mechanizmu sprężynowego. Rook nie zdążył rozpocząć walki, wszystko działo się tak szybko. Ostrze noża delikatnie przesunęło

się po szyi. Mężczyzna poderwał się z kanapy, żeby uniknąć zabrudzenia krwią. A ta trysnęła zaraz potem.

Georg Rook patrzył na bryzgającą krew. Próbował łapać oddech, ale nie był w stanie.

Rzucił błagalne spojrzenie w stronę mężczyzny, potem kobiety, jakby chciał wymóc na nich odwołanie wyroku.

Zemdlał. Jego ciało stawało się coraz bardziej bezwładne. Po skórzanej kanapie spływały stróżki krwi.

W kwadrans później do drzwi zastukała mademoiselle Elisabeth. Już przyzwyczała się do myśli, że jest chora na syfilis. Popracuje jeszcze jakiś czas, a jeśli zarazi klientów - trudno. Wiedzą przecież, czym ryzykują, oddając się tego rodzaju przyjemnościom. Nikt potem nie udowodni jej, że jest winowajczynią.

Dłoń ozdobiona ciężkimi pierścionkami odruchowo spoczęła na klamce. O dziwo, drzwi się otworzyły. Elisabeth z wahaniem weszła do środka.

Mimo że jej życie obfitowało w mnóstwo mocnych wrażeń, nie wytrzymała widoku.

Cicho osunęła się na miękki perski dywan.

Podkomisarz Schubert i asystent kryminalny Karasch, popijając gorącą kawę i zajadając się biszkoptami, wspominali niedawno zamkniętą sprawę mordercy sklepikarza z Ogarnej, dostawcy galanterii cukierniczej dla Volkstagu na Nowych Ogrodach, gdy do gabinetu wszedł początkujący posterunkowy i poinformował ich o nowym wydarzeniu. Nie mieli ochoty

przerywać pogawędki i z wisielczymi humorami udali się do mieszkania ofiary.

W towarzystwie dwóch posterunkowych, laboranta i fotografa, w całym majestacie policji ochronnej Wolnego Miasta Gdańska, wkroczyli do pokoju, którego najważniejszym meblem była teraz kanapa.

„Danziger Zeitung” cały czas leżał na biurku. Otwarty na szóstej stronie. Artykuł o okrutnym i zagadkowym mordzie na handlarzu dziełami sztuki, Auguście R., umieszczony tuż obok zapowiedzi monodramu w wykonaniu Carla Kliewera, nie dawał spokoju referentowi Osowskiemu.

W południe miało dojść do spotkania z Rookiem. Zamiast tego, gdy tylko w komisariacie rozpoczęto pracę, nadszedł telegram: „Żałuję, nie będę mógł spotkać się z panami dziś i w najbliższym czasie. Wyjeżdżam. Po powrocie dam znać. G. R.”.

Dyrektor Noskowski, wbrew swoim zwyczajom, krzyczał i wychodził ze skóry, żeby dociec przyczyny takiego obrotu sprawy. Najchętniej kazałby Osowskiemu biegać po całym Gdańsku i szukać po wszystkich mieszkaniach, sklepach, biurach i fabrykach. Na uwagę, że Rook może rzeczywiście wyjechał i tego rodzaju poszukiwania nie mają sensu, uspokoił się nieco. Natomiast nie ustawała wściekłość Szalewskiego.

- Wam kury szczać prowadzać, jak mawiał Marszałek, a nie w odzyskiwanie skarbów się bawić! - krzyczał. - Trzeba było gagatka przycisnąć i z rąk nie wypuszczać, ot co!

- Przecież sam pan w tym uczestniczył, majorze - nie wytrzymał Noskowski.

Wojskowy zaperzył się i postanowił milczeć. Jednak długo nie wytrwał w swoim postanowieniu i co chwila rzucał jakąś niemiłą uwagę

pod adresem współpracowników.

Gazeta jeszcze raz powędrowała z rąk do rąk. Noskowski przeczytał notkę po raz trzeci i czwarty.

- Nie mamy żadnych dojsć do gdańskiej policji - pokiwał smętnie głową. - Jeszcze parę lat temu dałoby się coś zrobić, ale teraz? NSDAP wszystkim trzęsie i nie dopuści nas do żadnych informacji. Gdyby Rook, czy jak mu tam naprawdę, był w jakiś sposób powiązany z nami, no, może wtedy dałoby się ich jakoś przekonać, ale tak?

- A pan, panie majorze? Poprzez zaprzyjaźnione zagraniczne komórki... - delikatnie zasugerował Osowski.

Major zrobił bardzo tajemniczą minę. Zapalił papierosa i pozwolił, żeby urzędnicy komisariatu dłuższą chwilę wpatrywali się weń z nadzieją.

- Jednakowoż nie macie pojęcia, jacy to nieużyty ludzie! Wypić nie wypiją, traktują nas, jakbyśmy byli przedstawicielami jakiejś kolonii w Afryce, i raczej sami są ciekawi wszystkiego.

- Z całym szacunkiem - Osowski nie wytrzymał - co w takim razie robił pan przez te wszystkie lata pracy w Gdańsku? Przecież musi pan mieć jakieś nieoficjalne kontakty, cokolwiek!

Pod adresem referenta padło niewiele słów, jednak dosadnych. Dotyczyły one wtrącania się gówniarzy w sprawy dorosłych.

Trzaśnięcie drzwiami. Po Osowskim pozostał w gabinecie tylko mocny zapach „4711”, jego ulubionej wody kolońskiej.

- No pięknie - załamał ręce dyrektor. - Potrzebna wam ta kłótnia, w dodatku teraz, gdy każdy może się przydać? Osowski to porządny człowiek. Sam prezes Lenzion pochwalił go w zeszłym tygodniu.

- Nie ja zacząłem! - krzyknął Szalewski. - Mam nadzieję, że wyciągnie pan konsekwencje wobec tego lalusia, co to nawet nigdy

prochu nie powąchał.

- A za co? - zdumiał się Noskowski.

- Nu za samowolne opuszczenie gabinetu przełożonego - ryknął major. - Inaczej jesteś pan niewart dziesięciu groszy jako dyrektor.

Noskowski po raz drugi, może trzeci w życiu zachował się tak, jak z kolei nigdy nie postąpiłby w domu. Ryknął jak lew. Zwymyślał majora od pozerów i amatorów. Zagroził, że jeszcze tego samego dnia wyśle szyfrogram do zarządu „dwójki” z dokładnym opisem sytuacji. Im, pracownikom komisariatu, nie grożą żadne konsekwencje, są bowiem oficjalnie oddelegowani do innych zadań, a to na majorze spoczywa obowiązek pilotowania spraw w rodzaju „depozytu”.

Milczenie Szalewskiego osobiwie uzupełniał wyraz jego twarzy. Bezmierne zdumienie połączone ze skruchą. Przez długie lata przez wzgląd na jego, prawdopodobnie wyolbrzymianą w opowieściach, przyjaźń z generałem Wieniawą-Długoszowskim nikt nie odważył się na takie zuchwalstwo. A ten dyrektorek się odważył!

A, w takim razie rzecz ma się następująco: jeśli krzyczy, znaczy, że ma prawo.

Wychowany w zaborze rosyjskim Karol Szalewski nauczył się tej prostej prawdy już w najmłodszych latach. I zawsze pozostał jej wierny - jako kat i jako ofiara.

- Co pan proponuje? - zapytał cicho.

- Ja? - Noskowskiemu widać spodobała się nowa rola. - Ja mam proponować? A od czego pan tu jesteś?

- Nu...

- Najpierw pójdziesz pan do pokoju referenta Osowskiego, czy gdzie on tam teraz jest, i przeprosisz go pan za gówniarza. Spotykamy się o czternastej, przedtem mam jeszcze umówioną rozmowę z panem

Pilarczykiem z Księgarni Polskiej. Ma się rozumieć, widzimy się w MOIM gabinecie.

- Ma się rozumieć - Szalewski omal nie szurnął obcasami i skierował się ku drzwiom.

- Panie majorze! - dodał na koniec dyrektor Noskowski. - Wolałbym, żeby na przyszłość nie palił pan tutaj. Strasznie dokuczliwy ten dym tytoniowy. Oczywiście to tylko prośba, jednak...

- Ma się rozumieć - powtórzył wojskowy.

- Czy ty wiesz, co się tutaj wyprawia? - Stasia nie mogła wyjść z podziwu. - Najpierw wybiega Władek z zagniewaną twarzą, nawet się nie uśmiechnie. Potem Szalewski wymyka się jak myszka. Oni się pozamieniali charakterami? Niesłychane!

Wanda spojrzała na koleżankę spod okularów z grubymi szklami. Zdawała się nie dostrzegać niczego, co wykraczało poza jej obowiązki.

- Czy sądzisz, Stasiu, że powinniśmy zajmować się nastrojami naszego pryncypała i osób, które odwiedzają jego gabinet? Może się mylę, jednak mamy tyle pracy...

- Wandeczko, czy ty naprawdę jesteś taka niewzruszona?

Stasia zdawała sobie sprawę, że tego dnia były zajęte jak rzadko. Nie pojmowała jednak, jak można było nie spojrzeć na wychodzących mężczyzn. Jak w ogóle można było nie patrzeć na mężczyzn!

- A gdyby, dajmy na to, major Szalewski wyszedł z gabinetu dyrektora z nożem w plecach? Też byś nie zauważyła?

- Moja droga - odparła Wanda mentorskim tonem - mam gwarancję, że szybko byś mnie o tym poinformowała.

Roześmiały się obie, choć każda po swojemu. Stasia spontanicznie, Wanda na sposób angielski.

- Ale czy nie uważasz, że zachowywali się dziwnie? Bo uwierz, trafnie opisałam ci sytuację.

- Zrozum, oni mają swoje sprawy. Inną odpowiedzialność niż w naszym przypadku, inne problemy...

- I ty tak spokojnie o tym mówisz? Przecież to ciekawe!

Wanda demonstracyjnie otworzyła segregator i wyjęła z niego plik kilku kartek związanych spinaczem. Z pewną wyższością spojrzała na przyjaciółkę.

- A buty? Kiedy je założysz? - tamta nie dawała za wygraną, jakby kusiło ją jakieś uparte lichy.

- Stasiu!

- Mogą cisnąć. Może już ci się nie podobają...

- Nie rozumiem, dlaczego miałyby mi się nie podobać. Przecież je wybrałam. I nie cisną. Przymierałam je, o ile sobie przypominasz.

Teraz Stasia udała, że zabiera się do pracy. Miała wielce obrażoną minę.

- Nie gniewaj się - szepnęła sekretarka. - Powiedz lepiej, jak twój Niemiec?

Panna Królikowska poczuła się znacznie lepiej.

- Sądziłam, że mężczyźni cię nie interesują?

- Interesują tyle, ile trzeba. Ale teraz interesujesz mnie ty, jako przyjaciółka - okulary powędrowały na biurko.

Albert Ruthe... Tak, najwdzięczniejszym tematem rozmów był właśnie Albert Ruthe.

Stasię zdziwiło wprawdzie, że odwołał wczorajsze spotkanie, w dodatku tak nagle. Tłumaczył się niespodziewaną wizytą w banku przedstawiciela hamburskiego oddziału. Z początku była dotknięta tak niesłychanym afrontem, potem jednak wytłumaczyła sobie, że zaistniała sytuacja świadczy jedynie o istotnej roli, jaką Ruthe odgrywa w swojej branży. I od razu zrobiło jej się lżej na duszy. Zwłaszcza że do odłożonego spotkania miało dojść już dzisiaj.

- Rzeczywiście, twój żal był zrozumiały - oświadczyła Wanda.

Stasia spochmurniała.

- Niemniej widać od razu, że jest poważnym człowiekiem - dodała Wanda. - Masz rację. I odpowiedzialnym. Może myliłam się co do jego osoby.

Stasia poweselała.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Tak.

- Cudownie, że mam w tobie wsparcie. Gdybym ja mogła się tobie na coś przydać...

- Ależ jesteś mi potrzebna - odparła Wanda nieco mniej oficjalnym tonem. - I wiesz, może ja rzeczywiście za mało pochylałam się nad tym, co mnie otacza? Może powinnam interesować się bardziej, co się wokół mnie dzieje... Przecież jeśli dyrektor i jego ludzie mają jakiś kłopot, powinniśmy dać im odczuć, że jesteśmy przy nich. Oczywiście na tyle, na ile możemy.

Doceniona Stasia wyprężyła się dumnie.

- Wiesz, wczoraj dyrektor poprosił mnie o szybkie napisanie dokumentu. Dyktował mi i...

- I?

- Staram się zawsze, żeby nie myśleć o treści. Rozumiesz, wtedy pisanie idzie szybciej. Ale tym razem!

Zakłopotana Wanda schyliła głowę.

- Myślę, że nie wolno mi słuchać takich rzeczy. Zaraz jednak przysunęła się bliżej przyjaciółki.

Wyjęła z kieszonki garsonki cukierka karmelowego i włożyła go w otwartą dłoń Stasi.

- Wandziu, przecież ja sama niewiele zrozumiałam. A zresztą, rozmawiamy tylko we dwie. Przecież dzielę się z tobą często różnymi rzeczami. Nikomu innemu...

- Tak mówisz - uśmiechnęła się panna Szulc - a potem pojawi się mężczyzna. Czy raczej: już się pojawił. I coraz częściej jemu będziesz opowiadała o rozmaitych zdarzeniach.

Stasia gwałtownie zaprzeczyła. Przecież Wanda nie wmówi jej, że będzie opowiadała Albertowi o szyfrogramach dyrektora Noskowskiego?!

Panna Szulc znów się uśmiechnęła.

- Taka jest naturalna kolej rzeczy...

Albert Ruthe kończył prasowanie koszuli. Nucił wcale poprawnie Preludium do III aktu *Lohengrina*.

Po chwili podszedł do szafy i otworzył ją. Spojrzał na okazałą kolekcję krawatów i przebiegł wzrokiem z lewa na prawo, a później z powrotem.

Sięgnął po nowe opakowanie proszku do mycia zębów „Denthal” i poszedł z nim do łazienki.

Zmył już z siebie brud ostatnich dni.

Godzinę wcześniej załatwiał z kobietą pewną sprawę. Trzy godziny wcześniej pocałował inną. Czy to też były brudy? Oba spotkania? Tak - skinął głową do lustra. Brud jest oczywistym składnikiem życia, tak samo jak czystość. Pojęcie, które jesteśmy w stanie nazwać i rozpoznać jako abstrakcyjne, jest poza moralnymi ocenami w odniesieniu do naszego używania abstraktu pojęcia i jego ukonkretyzowania w naszym wymiarze. Możemy więc być poza moralnością, bo jesteśmy na tyle wielcy, że wyróżniamy abstrakt i konkret, co wynika z doskonałości umysłowej, usprawiedliwiającej nas. Stary Hegel miał rację!

Młody człowiek przypomniał sobie raz jeszcze tych parę sytuacji. Po czym beztrósco uśmiechnął się do lustra.

Władysław Osowski śmiałyby się sam do siebie po wizycie majora, gdyby nie przeświadczenie, że oto, choć nie z własnej winy, stracił okazję do

przysłużenia się krajowi i przeżycia przygody, jaka zdarza się tylko raz. W dodatku Anna Waldberg odwołała spotkanie z przyczyn, które określiła jako „konsularne”. Gdy usłyszało się coś takiego, nie wypadało zadawać kolejnych pytań.

Tak, zależało mu na Szwedce. A teraz? Nie ma ochoty na samotne czytanie książki.

Lepiej już wychylić butelkę goldwassera z referentem Murzynkiem Pod Łososiem. Po alkoholu żal zmienia się w pogodną obojętność, a na tym zależało mu najbardziej.

Karol Szalewski tym razem nie planował wyjścia do kabaretu. Skończyły się papierosy, a choć nie było jeszcze późno, nie chciało mu się wyjść do sklepu starego Katschmarka. Wypił jopenbier z domieszką czystej wódki i stwierdził z żalem, że nie ma ochoty się upić.

Odrzucił gruby kraciasty pled i wstał z kanapy. Podeszedł do regału, gdzie z trudem zgromadził kilkanaście książek. Wodził palcem po ich grzbietach. Wreszcie jego dłoń zatrzymała się na biografii Clausewitza pióra Josepha Ferdinanda Schielego.

Zygmunt Noskowski rozsuptał pasek bonżurki i przewiązał ją jeszcze raz, dokładniej niż przedtem. Z salonu dochodziły odgłosy ożywionej dyskusji. Zofia podejmowała panią dyrektorową Popławską, której mąż kierował gdańską placówką PKP. Panie rozmawiały o nowej modystce w salonie Jägera na ulicy Lektykarskiej. Noskowski uśmiechnął się sarkastycznie. Że też takie tematy mogły je pasjonować... Podeszedł do kredensu, możliwie najciszej wyjął karafkę z rubinową nalewką i wychylił dwa kieliszki za pomyślność Ojczyzny i własną.

Georg Rook nie mógł poruszyć ręką ani nogą. Nie mógł się w ogóle poruszyć. Jego zeszywniałe ciało leżało w Zakładzie Medycyny Sądowej gdańskiej Akademii Medycyny Praktycznej.

Odwiedzili go już przedstawiciele policji. Lekarz i jego asystent zadbali, żeby ciało było należycie przygotowane do jutrzejszej przeprowadzki na cmentarz. Mężczyzna nie miał rodziny ani znajomych, ale dzięki ubezpieczeniu pogrzeb mógł się odbyć jak należy - skromnie, lecz godnie, przy udziale pastora.

Maria Walter szła niespiesznym krokiem ulicą Mariacką. Mijała wystawy sklepów złotniczych i bursztyniarskich ulokowanych tuż przy starych kamiennych przedprożach. Nie przeszkadzała jej ciasnota i mijani przechodnie. Jej kontakty z ludźmi były na tyle rzadkie i okazjonalne, nie licząc środowiska szkolnego, że dobrze czuła się w ulicznym zgiełku, stwarzającym iluzję przebywania w określonego rodzaju wspólnocie.

Ilekcioń tędy chodzą, przypominała sobie ulice Krakowa czy Lwowa, tak inne, a zarazem podobne. Przechodzenie się między przechodniami wszędzie było w gruncie rzeczy takie samo.

Wreszcie poczuła się znużona. Weszła do malutkiej kawiarenki ulokowanej na przedprożu, pośrodku ulicy. Z początku chciała usiąść przy stoliku na zewnątrz, ale wszystkie były zajęte. Nieunikniony urok lata...

W środku panował półmrok i chłód, zupełnie jakby zeszła do piwnicy. Lubiła takie wnętrza. Kilka stolików było wolnych, mogła więc wybrać sobie taki, który mieścił się w najdalszym kącie. Kelner szybko przyjął zamówienie na kawę ze śmietanką i szarlotkę. Po kilku minutach pojawił się przed Marią z tacą i zaraz dyskretnie się ulotnił.

Zatopiła się w rozmyślaniach, nie zwracając uwagi na wystrój sali i sąsiedztwo.

Powrócił obraz Georga Rooka, kiedy to wręczył jej kilka kartek zawierających wypunktowane zdania. Gdy opuścił jej mieszkanie, nieskończoną ilość razy wracała do tekstu. Biedny Kolekcjoner - pomyślała. A potem cofnęła się myślami do czasów dzieciństwa.

Dobrze pamiętała, kiedy ojciec, niemal na łożu śmierci, przywołał ją i poprosił, aby zamknęła drzwi i usiadła na brzegu łóżka. Opowieść była długa...

Stasia Królikowska po pracy weszła do drogerii Karla Rocha przy Św. Ducha. I nie wyszła stamtąd z pustymi rękami.

Raz jeszcze spojrzała w lustro. Wyglądała, co tu kryć, bardzo zalotnie. On na pewno jeszcze bardziej doceni jej urodę, podkreśloną subtelnym makijażem i elegancką garsonką kupioną okazji miesiąc wcześniej, kiedy jeszcze nie myślała, że pierwszy raz założy ją na spotkanie z takim mężczyzną.

Gertruda Labenz kończyła ścieranie kurzu w pokoju stołowym. Lubiła patrzeć, jak mieszkanie staje się czystsze za sprawą jej starań. Latem jest zdecydowanie więcej kurzu, ale też człowiek nie nudzi się, ma zawsze ręce pełne roboty.

Była kobietą szczęśliwą. Nie, żeby niczego nie brakowało - chętnie podniosłaby czynsz tej Królikowskiej albo wręcz przyjęła jakąś miłą, zwyczajną Niemkę, która bardziej by się szanowała. Ale - frau Labenz była pewna - mogło być gorzej, gdyby tak nagle ciężko zachorowała albo

gdyby Stasia chciała ją zamordować. Mało to w niespokojnych czasach słyszy się podobnych historii?

Westchnęła i poprawiła chustkę uwieńczoną kokardą. Zanuciła psalm trzydziesty szósty i przystąpiła do ostatecznej rozprawy z resztkami kurzu.

Wilhelmina i Jaan Clijsowie siedzieli naprzeciw siebie, każde w rozłożystym, obitym wzorzystą tkaniną fotelu. Ona czytała „Die Modenwelt”, on przeglądał księgę przychodów przyniesioną z salonu. Trzymał w dłoni ołówek, którego co chwila używał.

Oboje myśleli o tym samym, choć sprawiali wrażenie zajętych lekturą. Wreszcie spojrzeli na siebie równocześnie. Po sekundzie niepewności uśmiechnęli się do siebie z odrobiną melancholii, choć zawierała ona też w sobie okrucuch nadziei i miłość.

Zadzwonił telefon. Jaan nerwowo poderwał się i podniósł słuchawkę.

- A, witam panie dyrektorze.

- Tak, dużo lepiej, dużo.

- Owszem.

- Słucham?!

- Jak to?!

- Skąd pan wie, że to on?! Notka w prasie? No tak, ten telegram...

- A ja mówiłem, na molo, pamięta pan... Że trzeba się spieszyć...

- Mój Boże! To naprawdę on?

Wanda Szulc stała nad czajnikiem z gotującą się wodą. Przenikliwy dźwięk, poprzedzony parą, oznajmił kobiecie, że czas zalać kawę.

Lubiła napić się kawy z dużego, fajansowego kubka. Oczywiście, w kawiarni, gościnie lub nawet w miejscu pracy było to nierealne, natomiast w domu była panią własnych upodobań. Wątpiła, czy ktokolwiek by ją zrozumiał. Nie szkodzi. Ona tak lubi, i już.

Na stole leżała otwarta teczka. Stosunkowo gruba. Wystawały z niej na różne strony nierówno ułożone kartki. Obok kilkanaście dużych kart zapisanych ręcznie, starannie kaligrafowanymi literami. Język niemiecki, głównie, ale też polski i nieco łaciny.

Kawa jeszcze za gorąca. Wanda uśmiechnęła się na wspomnienie rozmowy ze Stasią.

Przypomniała sobie coś jeszcze. Coś, co usłyszała dwa dni wcześniej.

„Wiesz, ona ma ciebie za kompletną idiotkę. Zdziwaczałą idiotkę. Wyobrażasz sobie coś równie komicznego?!” Nie, nie wyobrażała sobie, choć może zawsze miała kłopoty z wyobraźnią. Pochyliła się teraz w duchu nad Stasią z odrobiną politowania, ale równocześnie coś zakłuło ją w okolicy serca. Dlaczego nie potrafi, tak jak tamta, umawiać się z mężczyznami, posyłać im sygnałów, korzystać z drobnych życiowych przyjemności? Tylko praca i praca. Tak, jest zbyt inteligentna na takie sztuczki - i w konsekwencji radości - ale i ona czasem chciałaby czegoś najprostszego, najbardziej oczywistego, czego nawet nie trzeba nazywać. Też ma pragnienia.

Wyprostowała się z dumą. Istotnie, też ma zwykłe pragnienia, ale Stasia ogranicza się wyłącznie do takich. Tymczasem ona...

Anna Waldberg siedziała przy szerokim, błyszczącym stole ozdobionym paprocią i kremową saską porcelaną, pozbawioną zbędnych pseudorokokowych detali. Po lewej i po prawej stronie miała dyplomatów. Obaj byli Skandynawami. Ten po lewej, tymczasowo pełniący obowiązki

konsula, Magnus Ingmarsson, wolno i dostojnie tłumaczył swojemu duńskiemu gościowi zawłości realiów gdańskiego systemu celnego, zależnego w olbrzymim stopniu od dobrych lub napiętych stosunków z państwem polskim. Peter Larssen, próbujący współpracować z rządem szwedzkim w sektorze stalowym, nie mógł się nadziwić owym komplikacjom. Co chwila cmokał i kręcił głową. Zachowanie właściwe oseskom osobliwie kłóciło się z jowialną postacią otyłego, zwalistego człowieka o ogorzałej twarzy.

Anna była tłumaczem. Larssen, mimo że znał nieco szwedzki, nie rozmawiałby o kwestii tak ważnej jak handel bez dostatecznej świadomości, że rozumie dokładnie i jest tak samo rozumiany. Kobieta przekazywała usłyszane treści bez zastanowienia, niemal odruchowo, lecz płynnymi zdaniem, z dyplomatycznym uśmiechem, którego uczą na wakacyjnych kursach dla przyszłych pracowników Ministerstwa Spraw Zagranicznych nieopodal Uppsali. Co pewien czas bacznie przyglądała się obydwu mężczyznom; interesowało ją, czy są zadowoleni z jej tłumaczenia. Sprawiali wrażenie, jakby nie dostrzegali jej urody; patrzyli tylko na usta przekazujące słowa. Bardzo dobrze. Tak postępuje profesjonalny tłumacz: otacza się zasłoną bezpłciowości, staje się bezosobowy, a przekazuje maksimum treści.

Gdy jej tymczasowy przełożony zajął się przeglądaniem kolejnego dokumentu, podanego mu przez Duńczyka, a dotyczącego banku Kwilecki, Potocki i Spółka, Anna powędrowała krótką myślą ku Osowskiemu. Nie wiązała z nim jakichś szczególnych nadziei.

Dzieliło ich tak wiele - narodowość, wyznanie, przynależność do korpusów konsularnych różnych państw. To ostatnie chyba najgorsze, ponieważ narodowość i religia w sferach, do których należała, były rzeczą jeśli nie drugorzędną, to przynajmniej nie najważniejszą.

Wprawdzie zawsze można odejść ze służby, ale nie miała ochoty na taki krok. Od dwóch lat pracuje w dyplomacji - prawda, że nie na jakichś strategicznych posadach, ale jako kobieta i tak zaszła dość wysoko. Poświęcać swoją pasję dla porywu serca? Może kiedyś, za kilka lat, ale jeszcze nie teraz.

Z drugiej strony, już dawno nie czuła się tak dobrze podczas czegoś na kształt rendezvous. Tyle różnic... A jednak mieli wiele wspólnego. Posiadanie herbu, tradycji rodzinnej sięgającej dziesięciu pokoleń i posiadłości ziemskich - czy to mało?

Było coś jeszcze. Właśnie: „coś”.

- Panno Waldberg, kontynuujemy - pełniący obowiązki konsula Magnus Ingmarsson uśmiechnął się do Anny niezwykle dyplomatycznie.

Po upływie ośmiu dni nastrój dyrektora Noskowskiego był jeszcze bardziej minorowy.

Oczywiście, urzędnik przychodził codziennie do pracy, spotykał się z interesantami, załatwiał bieżące i zaległe, mniej i bardziej ważne sprawy, spoglądał z tęsknotą na ukryte pod urzędniczymi garsonkami, bluzkami i pończochami wdzięki panny Stasi, pił niemałe ilości ulubionej kawy i jadał z apetytem, a w domu spełniał posłusznie wszelkie polecenia i zachcianki żony, ale cały czas gdzieś w tyle głowy majaczyły mu dwa słowa: Georg Rook.

Kontakty operacyjne zdezaktualizowały się. Szalewski, mimo starań, nie potrafił w ciągu kilku dni nadrobić zaległości sięgających lat. Nie pomogło nawet odstawienie ulubionych likierów. Osowski przyjął przeprosiny majora i robił, co mógł, aby odnaleźć żywego lub martwego Rooka, ale brakowało mu szczęścia. Znaleźć człowieka w dżungli takiej jak Wolne Miasto Gdańsk, ze wszystkimi jego zaułkami, tajemnicami, meandrami... Gdyby choć nie wiedział, co znajdowało się wśród precjozów! Niepowodzenie łatwiej można by strawić...

Zastanawiali się wielokrotnie, co spowodowało aktualny stan. Jeśli Rook nie żył, a wskazywało na to wiele poszlak, z informacjami uzyskanymi podczas pogrzebu i wcześniej włącznie, musiał narazić się komuś coraz lepszymi kontaktami ze stroną polską. Tak twierdził pułkownik Burza-Podolski, z którym dyrektor rozmawiał poprzez

kodowaną sieć telefoniczną, najnowsze osiągnięcie sprowadzone prosto z Warszawy. Jeśli jednak żył, jeśli on był autorem telegramu, to czy uciekł wystraszony i zaprzestał działalności, czy też zmienił zamiary co do kupca? I wreszcie, gdzie jest depozyt?!

Dawniej nie wiedział, co to migrena, i dziwił się eleganckim damulkom posiadającym ustosunkowanych mężów, że decydowały się na chorobę tak utrudniającą codzienne życie.

Teraz sam obserwował u siebie początki migreny.

Odczuwał potrzebę udania się na krótki spacer. Zaczerpnienia świeżego, porannego powietrza i rozruszania stawów... Poinformował panny biuralistki o swoim wyjściu. Już na korytarzu dopadł go zdyszany Osowski.

- Panie dyrektorze, panie dyrektorze!

- A, witam referenta - zdziwiony Noskowski obrzucił Osowskiego badawczym spojrzeniem.

- On się odezwał!

- Kto? A tak, mówiłem panu, że Schütz nie zrezygnuje z kontraktu i jego fochy są dobre do teatru, a nie poważnej instytucji. Musiał przyjść, za bardzo potrzebuje naszej umowy.

Wyraz twarzy Osowskiego świadczył, że nie chodzi o wymienionego przez pryncypała dostawcę środków sanitarnych. Miał wielką ochotę szarpnąć Nosowskiego za rękaw, ale powstrzymał się w ostatnim odruchu urzędniczej solidności.

- Rook... - wyszeptał.

- Drogi chłopcze - zaczął dyrektor, ale nagle uświadomił sobie, że nie ma przed sobą referenta Murzynka, któremu zdarzało się nieraz ubarwić to i owo. Osowski był człowiekiem poważnym i nie robiłby sobie żartów ze sprawy służbowej. Zwłaszcza TAKIEJ sprawy.

- Drogi chłopcze - kontynuował już innym tonem - co ty opowiadasz?!

- Mam list. Znalazłem go dzisiaj w skrzynce. W domowej skrzynce, wrzucony przez listonosza, z najzwyczajszym znaczkiem Poczty Polskiej. Wysłany z kraju, z Gdyni, przez moją ciotkę, Helenę Kurzanowską. Ale ciocia nie przyjechałaby do Gdyni, jest leciwa i schorowana. Skąd on wiedział o jej istnieniu?! A jednak ma głowę do konspiracji, takiego listu nie sprawdzi żaden podejrzany typ!

Noskowski chciał zadać pytanie, ale nie zdążył. Poczł leciutkie ukłucie w wierzch dłoni. Róg koperty.

Szanowny panie Władysławie!

Najmocniej przepraszam za zamieszanie, którego w ostatnich dniach byłem sprawcą.

Zdaję sobie sprawę, że moje postępowanie mogło wzbudzić obawy co do osobistej poczytalności lub - raczej - mojego osobistego bezpieczeństwa. Bogu dzięki, rozum funkcjonuje, jak należy, natomiast co do bezpieczeństwa, cóż, nie najlepiej.

Wszystko, o czym pisałem i o czym mówiliśmy, jest warte rozmaitych starań rozmaitych stron, wie Pan najlepiej, o czym mówię.

Przebywam teraz poza Gdańskiem. Cóż, w kraju, który jest Pańską ojczyzną, jestem bezpieczniejszy. Tak, tak, stara dobra Polska, gdzie niefrasobliwie traktuje się wszystkich, którzy mają jakieś tajemnice.

Widzi Pan, nadal jestem zainteresowany porozumieniem. W dodatku depozyt wydaje się bezpieczny. Spyta pan, dlaczego kontaktuję się nadal z Panem i za Pańskim pośrednictwem z dyr.

Noskowskim, skoro jestem już w kraju, któremu zamierzałem zaoferować depozyt? Otóż zakładam, że mają Panowie kontakt z odpowiednimi czynnikami, ścieżki są, jak mówicie w Polsce, wydeptane i tak dalej, i tak dalej. Gdybym zaczął teraz, jako człowiek z zewnątrz, powtarzać wszystko, co opowiedziałem Panom, i biegać po gabinetach ludzi, którzy panicznie boją się podejmowania decyzji, a na rozkazy czekaliby tygodniami, wyłusiałbym do reszty ze zgryzoty, a ci wszyscy panowie razem ze mną. Poza tym nie mamy zbyt wiele czasu. Bezpieczeństwo, pojmuje Pan wybornie...

Proponuję panom kolejne spotkanie. Tym razem nie może ono odbyć się w Gdańsku - z przyczyn, które właśnie opisałem. Gdynia byłaby najwygodniejsza, ale też do Gdyni najłatwiej dotrzeć tym, którym nie podobałoby się, że strona polska może stać się posiadaczem depozytu. W dodatku pewna część przedmiotów znajduje się... poza Gdańskiem.

Potem okaże się gdzie.

- Panie Władysławie, toż to Rook! - ucieszył się Noskowski. - Jak nic, on żyje! Żyje!

- Oczywiście.

- Czytaj pan dalej!

Uroczę są te wasze miasteczka. A jeśli jeszcze wybrać takie, które kiedyś było pod władzą pruską, czegoż chcieć więcej. Proponuję spotkanie w najbliższą środę w Wejherowie.

Połączenie będą mieli panowie wygodne, miasteczko jest stosunkowo niedaleko. Tak się składa, że w tamtejszej Sali Prusińskiego odbędzie się przedstawienie „Dziadów”, z którym

przyjeżdża amatorskie koło teatralne Gimnazjum Polskiego Macierzy Szkolnej. Dużo Polaków, tłum, w który łatwo się wtopić. Będę na panów oczekiwał przed przedstawieniem, trochę przed siedemnastą.

*Z należnym szacunkiem,
Georg Rook*

- I co pan zamierza, dyrektorze?

- Też mi pytanie! Zaraz dzwonię do Szalewskiego. Dasz pan wiarę, że on nie pije i mówi ciszej niż przedtem?

Osowski uśmiechnął się kwaśno.

- Zdumiewająca przemiana - odparł. - Szkoda, że od początku nie mógł zachowywać się w sposób godny.

- W istocie - dyrektor zacytował referenta.

Był poniedziałek. Akurat tyle czasu, żeby powiadomić majora, zakupić bilety na pociąg i pozałatwiać wszystkie pilne sprawy przewidziane na początek tygodnia. Stroną organizacyjną miał się zająć Osowski. Referent z energią i entuzjazmem zabrał się do dzieła.

Czuł, że wróciło mu życie. Wypił kilka kaw, omówił z Murzynkiem kwestię ewentualnych zastępstw na najbliższą przyszłość, wreszcie skontaktował się z dyrektorem gimnazjum, aby dołączył trzy osoby do szkolnej delegacji teatralnej. Tym sposobem dyrektor Noskowski, major Szalewski i on sam mieli się znaleźć wśród opiekunów amatorskiego teatru. Wiele takich grup przekraczało granicę Wolnego Miasta Gdańska z Polską, więc celnicy nie powinni dopatrzeć się niczego szczególnego w ich wyjeździe do Polski. Gdyby jechali sami, gdańszczanie z pewnością

odnotowaliby pojawienie się na granicy urzędników komisariatu i mogliby posłać swoim zwyczajem w ślad za Polakami „ogon”.

Osowski wyszedł z pracy późno, około osiemnastej. Nie zdążył już wpaść do domu, aby założyć bardziej wizytowe ubranie. Machnął ręką na konwenanse - jeśli Anna była nim zainteresowana, a miał pewne podstawy, żeby tak uważać, wybaczy mu drobne uchybienie.

Spotkali się po dziewiętnastej w drodze z sopockiego dworca do Opery Leśnej.

Jaan van Clijs wszedł do mieszkania lekkim krokiem. Po telefonie od Osowskiego uznał wprawdzie, że przygoda zacznie się od nowa, choć Polak nie zdradził niczego konkretnego. Prosił jedynie, aby Holender był przygotowany na ciąg dalszy niezwyklej historii. Natomiast dobry humor van Clijsa wynikał z zupełnie czego innego. Od paru dni nie poznawał Wilhelminy. Żona witała go w taki sposób, jakby byli miesiąc po ślubie.

Szczebiotała, podawała mu bonżurkę do obiadu, czytała anegdoty prasowe, aż skończył jeść deser, przed snem tuliła się do niego. A poprzedniego dnia w BHL „London” kupiła mu trzy nowe jedwabne krawaty.

„Może jednak ma coś na sumieniu? Jeśli nawet, korzystam na tym, bez dwóch zdań” - powtarzał w myślach.

Wieczorem, kiedy siedział przed aparatem radiowym obok Wilhelminy i słuchali razem transmisji koncertu pieśni Schuberta nadawanej przez Radio Berlin, zadzwonił telefon.

Jaan był przekonany, że to któryś z kontrahentów, choć pora była wysoce niestosowna.

Podniósł słuchawkę. Głucha cisza. Wrócił do żony. Po chwili znów telefon. Ta sama sytuacja. Za czwartym razem ciężkie sapanie.

- Kto tak wydzwania, kochanie?

- Nic takiego, jakaś pomyłka - powiedział lekkim tonem i zapadł się w fotelu.

Sytuacja powtórzyła się jeszcze kilka razy.

Tej nocy Wilhelmina nie mogła zasnąć. Jej mąż również. Ona nie wiedziała, co myśleć o głuchych telefonach.

W pamięci miała niedawne uprowadzenie, przed oczami jak żywi stawali Alfred i Otto. Jaan zasnął szybciej, ale i on był pełen obaw.

Pożałował, że kilka lat wcześniej nie skorzystał z możliwości przeniesienia firmy do Amsterdamu. Tak bliski był wtedy decyzji... Gdzie jak gdzie, ale w Holandii jest tak spokojnie! Tam nigdy nie dadzą znać o sobie konflikty polityczne i narodowe. Miał w Amsterdamie rodzinę, znał realia i język, bez trudu uzyskałby dla żony i siebie obywatelstwo.

Może nie jest jeszcze za późno? Przecież wciąż są młodzi i zdrowi. Gdy ta sprawa z polskim komisariatem się zakończy, będzie trzeba poważnie rozmówić się z Wilhelminą.

Albert Ruthe już po raz czwarty spotkał się z panną Królikowską. Pół godziny wcześniej rendezvous się zakończyło. Stał teraz na dworcu i oglądał rozkład jazdy.

Zamierzał dotrzeć do Oliwy, gdzie mieszkał, przed dwudziestą drugą. Mógł wprawdzie wrócić tramwajem, co nawet lubił, ale chciał jeszcze kupić w kasie bilet do Gdyni. Przed samym odjazdem, następnego dnia, ryzyko było zbyt duże, ponieważ pora, która go interesowała, charakteryzowała się wzmożonym ruchem pasażerskim, co miało proste przełożenie na tłok przed kasami. Ryzykowałby, że nie zdąży na pociąg, poza tym bardzo nie lubił tłoku. Miał w sobie coś z arystokraty i możliwość bycia potrącanym przez zaaferowany tłum napawała go obrzydzeniem.

Co innego teraz. Dworzec pusty, kasjerka uśmiechnięta i skoncentrowana na jak najsprawniejszym obsłudze młodego, przystojnego człowieka.

Wnet wsiadł do pociągu. Usiadł przy oknie i przez moment wpatrywał się w skrawek zachodzącego słońca widoczny przez szybę. W przedziale było niemal pusto. Dołączyło jedynie starsze małżeństwo, na dwa metry pachnące mennonitami, w dodatku nie gdańskimi, a tymi bardziej egzotycznymi, z Żuław.

On w czarnym, niemodnym garniturze bez krawata, z koszulą zapiętą pod samą szyję.

Broda przyprószona siwizną i rozwidlona u dołu, raczej bez starania właściciela. Ona w czarnej sukni do kostek, z białym czepkiem szczelnie zasłaniającym włosy oraz w okularach z bardzo grubymi szklami. Między kobietą a mężczyzną usadowił się wygodnie wiklinowy kosz zakryty białą płócienną chustką.

„Dlaczego jadą w tę stronę, a nie gdzieś na Południe, przecież na pewno tam mieszkają?” Zresztą, uśmiechnął się w myślach Ruthe, co go obchodzi jacyś mennonici?

Mogą sobie jechać chociażby do Ziemi Świętej albo do diabła, według uznania.

Niemniej ucieszył się, że jego podróż będzie trwała jedynie jakieś piętnaście minut, w przeciwnym razie nie ominęłaby go rozmowa o cenach zboża, cieleniu się rogacizny albo, co gorsza, o Królestwie Bożym. Tego ostatniego bał się najbardziej.

Położył saszetkę na siedzeniu obok siebie, przy prawym udzie. Uśmiechnął się grzecznościowo do mennonitów i rozpostarł „Der Vorposten”, kupioną w dworcowym kiosku. Zaraz też zatrzymał się wzrokiem na wstępniku pióra redaktora naczelnego, Wilhelma Zarskego, który właśnie udowadniał, że wszyscy przeciwnicy ruchu narodowo-socjalistycznego, obecni jeszcze, niestety, na terenie Wolnego Miasta Gdańska, są głupi lub źli, a w ogóle opanowani zoologiczną nienawiścią do niemczyzny i jej odradzającego się ducha.

„Wrogowie narodowego socjalizmu działają z najniższych pobudek: zawiści, głupoty i nieudacznictwa - dowodził Zarske. - Tymczasem narodowy socjalizm to ruch inteligencji, oświecający niższe warstwy i kierujący nimi ku powszechnemu podniesieniu świadomości narodowej”.

Ruthe odruchowo sięgnął do papierośnicy, ale przypomniał sobie, że mennonici są wrogami wszelkich używek. Był w dobrym nastroju i

pomyślał sobie, że te dziesięć minut jakoś wytrzyma.

- Najmocniej przepraszam - usłyszał naraz. - Czy pan często czytuje „Der Vorposten”?

- Słucham? - odparł Albert, zdziwiony, że starszy człowiek zwrócił się do niego akurat w tej kwestii.

Mennonita grzecznie powtórzył pytanie.

- A z czego wynika pańska ciekawość? - odparł Ruthe sucho. Sądził, że przeczyta cały artykuł, zanim pociąg dotrze do Oliwy.

- Taki młody, wykształcony, ideowy człowiek, miło popatrzeć. Naprawdę miło.

Ruthe spojrzał ciekawie na mężczyznę; nie wiedział, czy ma do czynienia z pochwałą, czy też z ironią.

- Proszę sobie nie przeszkadzać - życzliwie uśmiechnął się mennonita.

Gazeta znów powędrowała wyżej, blisko oczu Alberta.

- Popatrz, Elsi, z jaką uwagą ten pan czyta - zaczął znowu współpasażer i oparł dłoń o przedramię swojej towarzyszki.

Albert spojrzał szybko na kobietę i dostrzegł wlepiony w siebie spod grubych szkieł wzrok. Zaraz przeniósł oczy na mężczyznę. Chciał wyrazić spojrzeniem lekceważącą irytację, ale nagle zrozumiał: mennonici raczej nie znaleźli się w jego przedziale przypadkiem.

Skulił się i wrócił do lektury, przynajmniej udawał, że czyta. Nastąpiła cisza, przerywana jedynie miarowym stukotem kół pociągu.

Dojeżdżali do stacji w Oliwie.

Chwilę wcześniej skierował się do korytarza. Ze wszystkich sił powstrzymał się, żeby nie spojrzeć za siebie. Przed nim wysiadało jeszcze kilka osób.

Gdy wyszedł z tunelu, odważył się wreszcie i odwrócił głowę. W tym samym momencie usłyszał tuż za sobą pytanie.

- Gdyby był pan tak miły i powiedział nam, jak dojść w okolice kuźni wodnej...

Para mennonitów uśmiechała się do niego szeroko.

- Idą państwo w dobrym kierunku - musiał się wysilić, żeby jego głos brzmiał spokojnie. Wytłumaczył dokładnie, jakby wierzył, że kobieta i mężczyzna rzeczywiście chcą dotrzeć tam, gdzie, według ich słów, zamierzali.

- Dziękujemy pokornie. Niech pana Bóg błogosławi - odparła kobieta i uśmiechnęła się szeroko, pokazując garnitur całkiem zadbanych zębów.

- Dziękuję. Do widzenia - powiedział z naciskiem i gwałtownie przyspieszył kroku.

Zmierzch zapadałby później i wolniej, gdyby nie nagłe zachmurzenie. Wokoło umykali przed nieuchronnym deszczem nieliczni przechodnie. Ruthe przechodził obok ceglanych domków otoczonych uroczymi ogródkami pełnymi kwiatów, jednak o tej porze wszystko to zlewało się w szarą masę tonącą w ogarniającym świat mroku. Zdawało mu się, że słyszy za sobą miarowe kroki, ciągle w takim samym natężeniu, a więc i w takiej samej odległości. Obejrzał się kilka razy za siebie, ale nikogo nie dostrzegł. Może tylko mu się zdawało? Może rzeczywiście tamci byli poczciwymi, choć dokuczliwymi mennonitami? Ale tamto spojrzenie przenikliwych, szyderych, groźnych oczu...

Minął Marien-Drogerie na Nowym Rynku, skąd wychodził właśnie znany mu właściciel. Przeszedł wzdłuż parku. Skręcił w prawo. Przed nim pojawiło się rozwidlenie drogi. Na wprost wznosiły się masywy potężnych morenowych wzgórz, niewidoczne w ciemnościach. Zaczęło się śnieżyć. Pożałował, że nie wziął ze sobą parasola. Taki ładny garnitur!

Jeśli już pojawiła się myśl, że zmoknie, nie jest źle. Ani śladu mennonitów, niepotrzebnie się obawiał.

Skręcił w prawo. Lunął deszcz. Ciepły, letni deszcz. I wtedy usłyszał szybkie kroki.

Nerwowy ruch głową w tył.

Para młodych ludzi wyprzedziła go. Trzymali się za ręce. Chichotali, było im dobrze w tym deszczu. Upajali się możliwością zmoknięcia, parującym powietrzem, ciemnością.

„Najchętniej zdarliby z siebie mokre ubrania i...” - pomyślał. Zrobiło mu się wesoło.

Znów cisza, tylko te ciężkie krople spadające na drzewa, chodnik i jasny garnitur.

Zwolnił kroku. I tak był zmoczony do suchej nitki. Kiedy przyjdzie do domu, weźmie szybką kąpiel i wychyli ze dwa kieliszeczki czegoś mocniejszego. Letnie deszcze bywają takie zdradliwe...

Znowu kroki. Nie zamierzał już oglądać się za siebie. Śmiał się w duchu, że jak grzeczna panienka przestraszył się czyjś spojrzenia. On, Albert Ruthe!

- Przepraszam najmocniej, gdzie ta kuźnia wodna? Jednak się odwrócił. Nie miał wyboru.

- Miałem wrażenie, że dokładnie pan wytłumaczył, tymczasem chodzimy i chodzimy, a tu nic.

O metr od niego stała para mennonitów zaopatrzonych w duże parasole.

Gdyby miał czyste sumienie... Gdyby był urzędnikiem bankowym i jedyną troską byłoby dbanie o interesy firmy, a główną przyjemnością oczekiwanie na miłe rendezvous, na przykład z panną Stasią...

Rzucił się do przodu. Paniczna ucieczka przed parą starszych dziwaków.

Zawsze sądził, że potrafi szybko biegać. Mimo deszczu, a dzięki strachowi, zaczął pędzić co sił w nogach.

Byle prędzej, byle znaleźć się w domu, przecież nie sforsują drzwi!

Pościg trwał. Mennonici, gdy tylko zaczął uciekać, pognali za nim. Zdążył się zdziwić, że starsi ludzie cały czas są kilka metrów za nim. Zaczął wątpić, czy im umknie.

Jeszcze kilkadziesiąt metrów...

Krótką alejką wysadzaną z obu stron drzewami. Wokół żywego ducha.

Nogi jak z ołowiu. Strach powinien dodawać sił, tymczasem...

Poczuł uderzenie w plecy. Zwolnił. Podcięte nogi straciły rytm, szybkość i odmówiły posłuszeństwa. Upadł.

Z wysokości płyt chodnikowych podniósł wzrok na dwie czarne bryły stojące nad nim.

- Nieładnie, żadnej kuźni nie widać! - zaśmiał się mężczyzna.

- I nieładnie uciekać, kiedy ktoś chce tylko zapytać o drogę - nadspodziewanie młody głos mennonitki wtórował towarzyszowi.

- A zdawałoby się, że ktoś, kto czyta „Der Vorposten”, zachowuje się poważniej!

Spojrzał na nich z nienawiścią i strachem.

- Panie Ruthe, z przyjemnością poprosiłbym, żeby pan wstał, ale zaraz zacznie pan uciekać...

Albert, na przekór prześladowcy, spróbował się podnieść, ale but mężczyzny przygniół jego pierś.

- Leżeć! - zabrzmiała sucha komenda.

Skulił się, cały czas wpatrując się w czarne bryły.

- Mamy do ciebie jeszcze kilka pytań. A kuźnię wodną na razie sobie podarujemy -

oznajmiła kobieta. Nagle uświadomił sobie, że stoi nad nim dość młoda osoba. Czepek i te przeklęte okulary nie potrafiły już zamaskować wieku.

- Po co była akcja z Georgiem Rookiem?

- Chciał grać dla siebie.

- Chciał, wiemy. A ty nie chciałeś? Sprzedałbyś niemiecką ojczyznę, bydlaku!

- Ale ja myślałem o przetargu. Takim fikcyjnym. Żeby nasi dali więcej. Przecież i tak Niemcy uzyskaliby, co chcieli. A ja tylko zarobiłbym trochę. Uwierzcie, nie sprzedałbym Polakom ani jednej z tych rzeczy.

Mennonici spojrzeli po sobie i zaśmiali się złowrogo.

- Tymczasem działałeś planowo, z premedytacją. Wkradłeś się w łaski tej idiotki z komisariatu polskiego. Co, tak bezinteresownie? Z przychylnym uczuciem?

- Znajomość z nią nie ma tu nic do rzeczy! - jęknął.

- A ta holenderska krowa? Też miłość? Skąd wiedziałeś, że jej mąż...?

- Nie wiedziałem, przysięgam! Chciałem się tylko zabawić... Może w końcu przesadziłem...

Spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Jak mógł sądzić, że doświadczeni oficerowie Abwehry uwierzą w takie bajeczki?

- Zabawić to ty się lubisz, ale raczej z młodymi chłopcami - pogardliwie wysyczał mężczyzna.

- Jak to?! Skąd...?!

- Ty cholerna cioto! Jeszcze trochę i niemiecka ojczyzna zrobi z takimi jak ty porządek. W Rzeszy pederasti gniją w obozach, a tutaj... Jeszcze trochę i Gdańsk wróci do Niemiec. Gdybyś był uczciwy, już dzisiaj grzałbyś sobie rozepchaną dupę na jakiejś plaży w Argentynie. Zarobić chciałeś, durniu! Za wszystkie grzechy trzeba zapłacić, tak już jest na świecie.

Ruthe poczuł potworny ból. Kopnięcie w splot słoneczny.

- Ty i ta twoja znajoma! Dobrana para, chociaż dla niej musisz być wart mniej niż szczur. Pederasta czytający „Der Vorposten” i marzący o tym, jak zdradzić własny kraj!

Nawet ona nie może mieć do ciebie szacunku i przekonasz się o tym szybciej, niż sądzisz.

- Czego chcecie? Mam ją unieszkodliwić?

- Kobietę byś zabił, zbrojeńcu? - teraz okularnica kopnęła Alberta. Dokładnie tam, gdzie wcześniej jej towarzysz.

Ofiara na moment straciła przytomność.

- A zabiłbyś Ottona? - syk w samo ucho, gdy tylko się ocknął.

- Ottona? - jęknął Ruthe z przerażeniem. - Nie wiem... Tak! - krzyknął czym prędzej, naprawiając błąd.

- Nie musisz. Za parę dni wyłowią go z Motławy. Dawniej byłyby kłopoty z identyfikacją. Wiadomo, człowiek bez głowy... Ale jego odciski palców są w kartotece. To środowisko jest takie odrażające!

Jęk ofiary wyraźnie usatysfakcjonował prześladowców.

- Więc co mam zrobić? - głos Ruthego był słabszy niż dotąd.

- Wybierasz się jutro do Wejherowa?

- Po co pytacie, skoro wiecie? Znów kopnięcie.

- Grzeczniej! Tak nie będziemy rozmawiali! Bilet chyba ci nie zamókł, co? A więc rzeczywiście pojedziesz do Wejherowa.

Wszystko to działo się niedaleko Doliny Radości, ścielącej się wzdłuż potoku oliwskiego. Nie było w pobliżu nazwy bardziej adekwatnej do okoliczności.

Chwilę po rozstaniu z Ruthem dobrana para wrócić miała do centrum miasta.

Pod Łososiem czekał na nich stolik. Mieli spotkać się tam z konsulem generalnym Włoch. „Znacznie przyjemniejszy sposób na spędzenie wieczoru niż zabawa z tym tu...” - pomyślał „mennonita”.

Do siedemnastej brakowało jeszcze pół godziny. Na ulicy Sobieskiego, reprezentacyjnej i skupiającej najbogatsze secesyjne kamienice Wejherowa, przed Salą Prusińskiego tłoczyli się wszyscy, którzy zapragnęli obejrzyć przedstawienie. Niektórzy nie mieli jeszcze biletów i spiesznym krokiem wchodzili do środka, aby znaleźć się przy kasie.

Grupki liczące po dwoje, troje lub więcej osób roztrząsały rozmaite tematy. Raz na jakiś czas ktoś bardziej skrupulatny spoglądał na zegarek.

Zygmunt Noskowski, Karol Szalewski i Władysław Osowski, jako osoby opiekujące się zespołem teatralnym, przybyli wraz z nim godzinę wcześniej.

Na granicy przed Kolibkami nie było żadnych komplikacji. Celnicy niemieccy nie szczędzili wprawdzie Polakom drwiących uśmieszków, jeden nawet życzył jak najdłuższego pobytu w Polsce, ale w porównaniu z tym, co niekiedy spotykało indywidualnych pasażerów, członkowie zespołu nie mieli prawa narzekać. Polscy celnicy przywitali rodaków znacznie serdeczniej, ale z kolei bardzo dokładnie obejrzeliby wszystkie paszporty i w dwóch przypadkach zainteresowali się podręcznym bagażem, zawierającym rekwizyty teatralne.

- Wiecie, kochani, o czym marzę? - westchnął Jan Wiewiórski, opiekun artystyczny. - Żeby kiedyś jechać na tej trasie bez przekraczania granicy.

Wielu przytaknęło, ale jeden z aktorów, o bardzo fatalistycznym usposobieniu, wyszeptał ni to do siebie, ni to do dyrektora: - Niemcy też o tym marzą.

Noskowski i jego współpracownicy niezbyt dobrze czuli się w towarzystwie aktorów, nieustannie dopracowujących ostatnie kwestie dotyczące przedstawienia. Różnica wieku też była nie bez znaczenia. Podróż jednak nie trwała zbyt długo, wszystkiego ponad dwie godziny, razem z odprawą celną.

Gdy pociąg mijał centrum Gdyni, wszyscy rzucili się na prawą stronę wagonu i z twarzami przy oknach patrzyli na wylot ulicy 10 Lutego z widocznym Bankiem Polskim, budynkiem Zakładu Ubezpieczeń Społecznych i innymi modernistycznymi kamienicami. W oddali, na końcu ulicy, zamajaczyło lazurem morze, którego w samym centrum Gdańska nie było, o czym pomyśleli z żalem wszyscy wielbicieli spacerów i kąpieli.

- Ech, pobawiłoby się w Riwierze, jak Bóg na niebie... - szepnął do dyrektora Noskowskiego rozmarzony Szalewski.

- Ciszej, tu jest młodzież - odszepnął Noskowski. I dodał znacząco: - Pan, majorze, już się chyba w życiu wystarczająco nabawił?

- Zdarzyło się, i owszem - uśmiechnął się wojskowy. - Ale niech sam pan powie, czy można się wyszaleć na zapas?

Trzech mężczyzn nadal stało przed wejherowską salą. Czekali nie wiadomo na co.

Przecież nie przyjechali na Dziady. Przyjechali, aby spotkać się z Georgiem Rookiem.

Wpatrywali się w coraz to nowe osoby pojawiające się przed lokalem Prusińskiego, ale żadna z nich nie była Kolekcjonerem.

Czyżby coś się zmieniło? Czy zaszło coś, co pokrzyżowało plany Rooka? Wystraszył się? Czy też może wystawił ich do wiatru?

Jakiś mężczyzna przed samym wejściem do budynku potrącił kobietę. Wywiązała się sprzeczka z krewkim mężem poszkodowanej. Wszyscy odwróceny byli w stronę kamienicy.

- Przepraszam, czy dyrektor Zygmunt Noskowski? Usłyszawszy swoje nazwisko za plecami, Noskowski niemal się wystraszył. Obrócił się, w ślad za nim to samo uczynili Osowski i Szalewski.

Stanęli twarzą w twarz z kobietą. Major powiedziała by nawet, w innych okolicznościach, że z piękną kobietą.

Przed nimi stała brunetka między trzydziestym a czterdziestym rokiem życia, ubrana w elegancką szarobeżową garsonkę. Przy talii trzymała niewielką torebkę, głowę jej zdobił skromny, ale kupiony, widać to było na pierwszy rzut oka, u dobrej modystki kapelusik z cieniutką woalką.

Czarne gęste włosy i oliwkowa cera nadawały twarzy wyrazistości, a podniesione lekko brwi i zdecydowane spojrzenie budziły respekt.

- Tak, Zygmunt Noskowski - dyrektor powtórzył swoje nazwisko i pytającym wzrokiem spojrzał na nieznaną.

- Moje nazwisko nic panu nie powie. Przybyłam tu w imieniu pana Georga Rooka, który bardzo chciał stawić się osobiście, ale z pewnych względów stało się to niemożliwe.

Rozumiem, że panowie Szalewski i Osowski... - zawiesiła głos, czekając na potwierdzenie.

Major stuknął obcasami i wyprężył się jeszcze bardziej. Referent skłonił się nieznacznie, cały czas wpatrując się w twarz nieznaną. Miał nieodparte wrażenie, że już kiedyś ją widział.

- Czy... - podjął Noskowski - czy panu Rookowi nic się nie stało?

- Jest teraz w pewnego rodzaju ukryciu i nikt nie zrobi mu niczego złego, jestem o tym całkowicie przekonana - ostatnie słowa kobieta wypowiedziała z naciskiem.

- I pani ma od niego plenipotencje do rozmów z nami, czy dobrze rozumiem?

- Jak najzupełniej.

- Czy w takim razie - Noskowski zawahał się, ale zaraz dokończył - mógłbym prosić panią o zaszczyt wyjawienia chociaż swojego imienia, aby zrzęcniej nam było zwracać się do pani?

Nieznajoma uśmiechnęła się nieznacznie.

- Mogą panowie nazywać mnie Martą. Lub Magdaleną. Jak wygodniej...

- W takim razie zostaniemy przy Marcie, dobrze? - major Szalewski zdecydował w imieniu pozostałych, którzy po słowach Marty Magdaleny nie mieli najmądrzejszego wyrazu twarzy.

- Oczywiście - jaśniejszy niż dotąd uśmiech spodobał się wszystkim trzem mężczyznom.

Dyrektor spojrział na zegarek.

- Proszę wybaczyć, my dostosujemy się do pani propozycji, chcielibyśmy jednak wiedzieć... Jesteśmy bardzo ograniczeni czasem. Przedstawienie potrwa z górą półtorej godziny, potem będą kwiaty i przemówienia, jakieś skromne przyjęcie i po dwudziestej pierwszej mamy pociąg do Gdańska. Rozumiem, że w czasie, gdy trwa spektakl, będziemy rozmawiali z panią? Czy też może jednak zaprowadzi nas pani do pana Rooka?

Marta zapewniła raz jeszcze, że ma wszelkie pełnomocnictwa, poza tym rozmowa z Georgiem Rookiem byłaby tego dnia raczej niemożliwa. Przedstawienie oczywiście ich ominie, co, jako ludzie kulturalni, będą

musieli jakoś znieść, natomiast równocześnie, jako osoby odpowiedzialne za powierzone im zadanie, z wielkim zainteresowaniem wysłuchają, co ma im do powiedzenia i pokazania.

- Panowie pozwolą, oddalimy się dyskretnie, po drodze wyjaśnię wszystko. Prawie wszystko - poprawiła się z ujmującym uśmiechem.

Bez pośpiechu, jakby od niechcienia, poszli w kierunku wejherowskiego Rynku.

Tymczasem przed kamienicą mieszczącą Salę Prusińskiego uciszyło się nagle. Od kilku minut atmosfera zagęszczała się, ponieważ dwaj mężczyźni, sprawca zamieszania i mąż potrąconej kobiety, mieli sobie coraz więcej do powiedzenia, a wśród zgromadzonych znajdowali się ich krewni i znajomi. Dopiero gdy u samego wejścia stanął szczupły, wyglądający jak „studencik” człowiek, emocje opadły. „Burmistrz, burmistrz będzie mówił” - szeptano.

- Drodzy wejherowianie - cichym, ale zdecydowanym głosem odezwał się Teodor Bolduan - dzisiaj dla naszego miasta wielkie święto. W skupieniu i z radością obejrzymy spektakl, z jakim przybyli do nas bracia rodacy z prapolskiego Gdańska. Zapraszam!

Wystarczyły dwa zdania. Oklaski zakończyły całe zamieszanie. Zgromadzeni posłusznie zaczęli znikać za drzwiami prowadzącymi do sali.

Marta poprowadziła przybyszów z Gdańska przez Rynek, a potem niezbyt długą, spokojną uliczką. Po lewej stronie minęli ciemnoczerwoną bryłę kościoła, dalej budynki szkolne, a po prawej ciąg niewysokich, złączonych kamieniczek.

- Przed nami pałac należący do Keyserlingków - po dłuższej przerwie powiedziała przewodniczka. - Niemcy. Są tu zasiedzali od ponad stu lat,

choć oczywiście przedtem tereny należały do polskich właścicieli.

- Chwalebnie, że pani zna historię Wejherowa, ale jaki ma to związek, daruje pani, z naszą sprawą? - Noskowski nerwowo spojrział na zegarek.

Nieznaczny uśmiech rozjaśnił twarz kobiety.

- Zapewniam pana i panów - skłoniła się lekko na boki, jak królowa rozdzielająca swe łaski wiernym dworzanom - że jestem osobą konkretną i niczego nie mówię ani nie robię przypadkiem. Z panem Rookiem mamy cechę wspólną: dokładność. Oboje lubimy wiele wiedzieć i przedstawić rozmówcy podłoże oraz okoliczności interesującego nas tematu. Sami panowie wiedzą, jak imponujące były pod tym względem listy naszego znajomego...

- Owszem, owszem... Widzę, że zna pani ich treść... Oczom przybyszów coraz dokładniej rysowała się bryła pałacu. Przed nim gazon z kwiatami, dookoła klombu droga w tę i z powrotem. Solidne ogrodzenie, dobra kowalska robota.

- Na teren posiadłości oczywiście nie wejdziemy, zresztą nie jest nam to w tej chwili potrzebne.

- Co znaczy: w tej chwili?! - zainteresował się major Szalewski. - I dlaczego w ogóle mielibyśmy tam wchodzić?

Marta dała delikatny znak ręką, żeby się zatrzymali.

- Widzą panowie, przyczyny mogliście się od paru chwil domyślać: depozyt znajduje się na terenie pałacu...

Słowa wypowiedziane lekkim tonem zrobiły na mężczyznach wrażenie większe, niż gdyby usłyszeli je wzbogacone dramatyzmem i aurą tajemniczości.

- Więc wszystko, a więc i TO, znajduje się marne sto metrów od nas?
- dyrektor Noskowski sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kraciatą chusteczkę, którą zaraz przytknął do zroszonego potem czoła.

- Tak - odparła krótko.

- I państwo, pani i Rook, nie macie dostępu do depozytu? Jakże tak?! Rook nie powiedział nam tego, przedstawił całą sprawę, jakby był w posiadaniu całości i rzecz polegać miała jedynie na sprzedaży. Teraz pojawiła się nowa okoliczność! - naciskał Noskowski -

Jestem skonfundowany!

- Ja również - nieśmiało dodał Osowski, a major tylko przytaknął.

Rozbawienie na twarzy Marty jeszcze bardziej zirytowało mężczyzn.

- Nie, niech panowie nie obawiają się; nie jest tak, że pałac jest jakąś twierdzą, gdzie depozytu strzegą uzbrojone hordy Prusaków.

- Ale mają, ci Keyser-jakoś tam, pieczę nad depozytem? Nie zaprzeczy pani?

- Nie zaprzeczę.

- I nie wiedzą nic o panu Rooku, prawda? I o tym, że mają państwo ochotę zrobić z nami interes?! - naindyczył się Szalewski. - Łaskawa pani...?!

Teraz kobieta poczuła się urażona.

- Jak pan może? Pan jest niegrzeczny!

Dyrektor Noskowski, choć niejednokrotnie miał majorowi za złe porywczosć, tym razem rozumiał jego wzburzenie. Wyciągnął dłoń do papierośnicy, która pojawiła się w ręku wojskowego.

- Pani nie mówi jasno. Pan major miał prawo się zdenerwować...

- Może - przytaknęła Marta. - Ale mógł wykazać się odrobiną cierpliwości. I jeszcze jedno: skoro zaufał mi Georg Rook, z którym panowie życzyli sobie dalszych kontaktów, więc i ja mam z kolei prawo oczekiwać minimum zaufania od panów. Proszę mi wierzyć...

- Dobrze już, dobrze - Noskowski obawiał się, że kobieta zacznie za bardzo podniecać się własnymi słowami i z całej sprawy będą nici. - Proszę tylko powiedzieć, na czym stoimy.

- Oczywiście - kobieta uśmiechnęła się ni to przyjacielsko, ni to zagadkowo.

Pod nimi miasto łagodnie różowiło się zachodzącym słońcem. Stali we czwórce przy kaplicy Trzech Krzyży, skąd mogli obserwować całe Wejherowo.

- Prawda, że tu pięknie?

- Pani Marto! - Noskowski po raz kolejny spojrział na zegarek.

- Proszę się nie martwić, zdążymy - cicho, jakby uspokajająco powiedziała kobieta. -

Od pałacu szliśmy tu ledwie piętnaście minut, w dodatku pod górę. Panie dyrektorze, panowie - znów skłoniła się jak monarchini i tym razem, jak obiecała, przeszła do konkretów.

Stali jak w zaklętym kręgu. Na początku z każdej z czterech stron świata spoglądała przed siebie para oczu, badając tych, co z boku i tego z naprzeciwka. Po chwili, w miarę jak trwała opowieść Marty, zaczynali powracać wzrokiem do różowo-pomarańczowej panoramy miasteczka, tu szarego, tam ceglanego, o gęstej, planowej zabudowie.

Jedynie Osowski przypatrywał się kobiecie. Od początku, gdy tylko ujrzał ją przed Salą Prusińskiego, zastanawiał się, skąd ją zna. Nie, nie znał jej, ale widział ją już kiedyś, tego był pewien, co najmniej raz, choć raczej z daleka. I jeszcze jedno: to było w Gdańsku.

Podobała mu się. Inaczej niż Anna Waldberg. Anna była kobietą, co do której nie miałby żadnych wątpliwości. Widział już oczami wyobraźni, jak biorą ślub, jak kupują niewielki domek w Konstancinie, jak jeżdżą do

Sztokholmu, do jej rodziców, albo jeszcze bardziej na północ, gdzie znajduje się rodowa siedziba Waldbergów, szara i posepna, nad głębokim jeziorem. Pod Kołomyją, pod niebem pełnym brzęczących pszczół i zapachu jaśminu rodzą się ich dzieci. I wspomnienia z Nicei, z Marsylii, z San Remo...

Z Martą było inaczej. Jak wiatr, jak niespodziewany widok za zakrętem, jak drzenie, czy puszczona w ruch kulka zatrzyma się na czerwonym polu.

Czy miała na imię Marta? A czy Georg Rook nazywa się Georg Rook? Więc jak ma na imię? Nagle bardzo zapragnął, aby ją o to zapytać. Z pewnością zrozumieliby go Noskowski i Szalewski, ale gdyby przyznał się, że jego motywy są nie tylko merytoryczne, byłiby zdziwieni. Chociaż major...

Poczuł nagłą niechęć do wojskowego, aż sam siebie musiał sprowadzić do rzeczywistości i skupić się na słowach kobiety.

Mówiła cicho. Delikatny wiatr głaskał woalkę i co chwila odsłaniał oliwkowe policzki.

- Tak więc, o czym informował panów Georg Rook, z rąk rosyjskich depozyt przejęły oddziały z pewnością niemieckie, lecz nie do końca definiowalne.

- Ładnie powiedziane - zauważył Noskowski.

- Dziękuję, ma pan rację - przyznała Marta. - Sytuacja w Rzeszy, a raczej już w rodzącej się republice, była labilna...

- Jaka? - Szalewski był zdezorientowany.

- Panie majorze... - syknął dyrektor i podkreślił opadającego wąsa.

- Niepewna. Niestabilna. Trudna - uśmiech kobiety był dość jadowity.

- Depozyt kilka razy zmieniał „właścicieli”, ale nigdy żaden z nich nie miał prawnego mandatu do jego posiadania.

Jak już mówiłam, lubię być dokładna, ale w tym przypadku nie zachodzi taka potrzeba.

Opisywanie podejrzanych handlarzy, watażków rodem z jakiegoś pitawalu i upadłych cesarskich urzędników nie ma sensu, zwłaszcza że panowie się spieszą.

Znaczące spojrzenie na Noskowskiego, który odetchnął z ulgą i sięgnął po papierosa podanego sobie przez majora.

- W każdym razie od bez mała dziesięciu lat depozyt leży sobie spokojnie w pałacu hrabiego Keyserlingka w Wejherowie, a panowie mają wielkie szczęście, że spotkali na swojej drodze właśnie mnie.

Osowski byłby skłonny zgodzić się z ostatnim, jakże skromnym stwierdzeniem.

Niestety, pozostałych przybyszów z Gdańska nie mogło ono zadowolić, czemu dali, choć niezbyt agresywnie, wyraz.

- Ale w takim razie, skąd pan Rook miał tak obfitą i wiarygodną dokumentację, skoro brak dostępu do depozytu? - major wspinał się na wyżyny dedukcji wywiadowczej.

- Czy panowie dadzą mi dokończyć? Dziękuję. Otóż hrabia miał dobrego znajomego jeszcze z czasów młodości. Za cesarstwa praworządny obywatel, wzorowy Prusak, nieźle urodzony, z koligacjami. Wojna zmienia ludzi, albo odkrywa ich prawdziwe oblicze, jak kto woli. Otóż znajomy hrabiego, zdemobilizowany oficer, miał do dyspozycji kilku byłych podkomendnych, wiernych mu i tak jak on - bez pomysłu na życie.

Byli zdemoralizowani brakiem perspektyw, co nie znaczy, że pozbawieni sprytu i zaradności specyficznej dla czasów przełomu. Nieważne już, jak

weszli w posiadanie depozytu, w każdym razie, jak zaznaczyła kobieta, historia ta nie nadawałaby się, aby opowiadać ją dzieciom przed snem.

Sytuacja, mimo wszystko, stabilizowała się. Policja niemiecka zaczynała deptać po piętach znajomemu hrabiemu i jego ludziom. Niemcy są skuteczni i gdy się za coś zabiorą, z reguły kończą dzieło. Tego bał się były oficer. Należało przeszmygnać depozyt na polską stronę granicy, gdzie skuteczność organów ścigania jest mniejsza. Lasów dużo, od strony Nadola i w ogóle Jeziora Żarnowieckiego przemyca się niewiarygodne ilości towarów, o ludziach nie wspominając. Depozyt wędrował w kilku partiach, w końcu trafił tutaj. Hrabia miał pewien dług wdzięczności, postanowił więc przechować TO u siebie.

- I nikt się nie dowiedział? - nie mógł się nadziwić Noskowski.

- Skoro depozyt do tej pory znajduje się w pałacu...

- No tak. Ale tyle lat! Długo! A znajomy nie dopomina się o zwrot? Jak nie, to niech mnie diabli porwą - Szalewski zrobił nieokreślony, choć wyrazisty gest ręką w powietrzu.

- Słuch o nim zaginął - uśmiechnęła się kobieta.

- Rozumieją panowie, przy takim trybie życia...

- I hrabia jest unieruchomiony, że tak się wyrażę? - upewnił się dyrektor.

- W rzeczy samej. Jest przy tym osobnikiem praworządnym i ciężko mu pogodzić się z faktem, że pod jego dachem znajduje się coś, co pochodzi - on jest tego świadom - z rabunku lub szabru. Ale przyjaciel, rozumieją panowie, kwestia honorowa. A nuż żyje i odezwie się w końcu? Okaże się wtedy, że Keyserlingk oddał depozyt państwu. A jeśli tak, to któremu? Ważne pytanie, nie sądzą panowie? Więc czeka...

Osowski patrzył jak zahipnotyzowany. Marta opowiadała całą tę historię jak treść filmu, który właśnie obejrzała na jakimś

popołudniowym seansie. Żadnych emocji, żadnej tajemnicy, żadnych wątpliwości co do tego, że mówi prawdę, nawet w odniesieniu do wątków będących już historią. Może właśnie dlatego nie do końca jej ufał? Ta beztroska, niemal wesołość...

- A skąd pani wie o wszystkim? - zapytał niemal zaczepnie. - Przecież cała sprawa musi być utrzymywana w absolutnej tajemnicy, zwłaszcza że tyle lat, według pani, depozyt chroniony jest przez hrabiego.

- Pan Rook ma swoje kontakty - odparła Marta.

- Mało pocieszające, ale w każdym środowisku znajdzie się ktoś, kto będzie chciał wygrać coś dla siebie kosztem innych. Nie inaczej jest tutaj.

- Kto to jest? - pytanie Osowskiego nie brzmiało zbyt grzecznie.

- Młody administrator majątku, który przypadkiem odkrył zapiski hrabiego i sprawdził potem co nieco.

Szalewski zapalił papierosa i wkroczył do gry: - A nie dałoby się, ot, po prostu, mocą państwa przejąć? Pani jest kobietą, dyrektor na stanowisku, a ja prosty żołnierz, tom sobie pomyślał po żołniersku.

- A jak z prawem własności? Niemcy się dowiedzą, że zarekwirowano depozyt osobie narodowości niemieckiej. Siłą w dodatku! A czyj, z państwowego punktu widzenia, jest depozyt? Wspominałam, że sprawa jest skomplikowana. Ale jeśli Polska KUPI, nikt nawet nie dowie się od kogo. A że przedtem depozyt zginie z pałacu? Hrabia nie może przyznać się, że miał TO u siebie.

Nastąpiła konsternacja. Pracownicy komisariatu patrzyli na siebie, to znów na przewodniczkę po zawitych losach depozytu.

- Pani, jeśli dobrze rozumiem - oburzył się wreszcie dyrektor Noskowski - namawia urzędników państwa polskiego, żeby wespół z jakimś zdradzieckim typem wykradli skarb z prywatnej posesji i jeszcze zapłacili prowizję pani i Rookowi za informację?!

- Niezupełnie - przecząco pokiwała głową kobieta.

- To oznacza? - zapytał, nie mniej oburzony, major odrodzonego Wojska Polskiego.

- Nie użyłam słowa „prowizja”. Prowizja to ochłap. Ja myślę o należności.

Dostrzegają panowie różnicę, prawda?

- Jakaż szczerść! Przecież nie mamy żadnej gwarancji, że się uda.

- Żadnej - zgodziła się kobieta.

- I moglibyśmy wpaść! Horrendum...

- Mogliby panowie - Marta zgodziła się równie chętnie. - A mimo to nie mają panowie żadnego wyboru.

Po ostatnich słowach rozesłała mężczyznom nieco przeproszające uśmiechy. Osowski, którym targaly emocje gorętsze niż pozostałymi, odparł niemal gniewnie: - Co znaczy: nie mamy? Pani sądzi, że nie mamy innych zmartwień ani obowiązków?

- Tak, mają panowie - kobieta starannie ważyła słowa. - Ale, panie Władysławie...

Mogę tak do pana mówić?

Osowski przytaknął.

- Dziękuję. Otóż, panie Władysławie, departament w ministerstwie oraz pewne służby na pewno nie byłyby zadowolone, gdyby nagle, samowolną decyzją panów, pozbyto się takiej szansy. A nie bądźmy dziećmi, nie takie sposoby stosuje się w pewnych środowiskach wszystkich państw, gdy chodzi o słuszną sprawę. Chyba że się mylę?

Noskowskiemu opadł wąż. Cyniczna Marta miała rację, choć jej zuchwałość budziła jego irytację. Szalewski najchętniej udusiłby ją, a Osowski sam już nie wiedział, co myśleć o kobiecie.

- Mam dobrą wolę i myślę konkretnie - spod woalki rozległ się tym razem spokojny, rzeczowy głos, Marta bowiem zorientowała się, że ze strony mężczyzny uzyskała milczącą zgodę. - Dlatego też - spojrzała na zegarek - za kilka minut przedstawię panom młodego człowieka, o którym już wspomniałam, a który zna pałac i wie co nieco na wiadomy temat.

- Ten zdrajca tu przyjdzie?! - wykrzyknął dyrektor, ale zaraz pochylił się w kierunku kobiety, jak słoń morski na widok ryby wesoło pływającej pod powierzchnią wody.

Minęło nieco czasu, zanim na wzgórzu pojawił się młody mężczyzna. Mimo wieku, stawiał dość ciężkie kroki. Gdy stanął przed kobietą i trzema nieznanymi, zrobił usprawiedliwiający gest, przytykając dłoń do czoła opatrzonego szerokim plastrem.

- Panowie wybaczą, wczoraj spadłem z konia. Fatalne zdarzenie, fatalne. Adalbert Rothenberg, administrator ekonomiczny, bardzo mi miło.

Wyciągnął rękę do dyrektora Noskowskiego, jednak pozostała ona w zawieszaniu. Nie próbował więcej.

- Ile panowie mają jeszcze czasu? - beznamiętnie zapytała Marta. - Musimy omówić kilka ważnych kwestii, wykorzystując obecność pana Rothenberga.

Frau Labenz wyszła właśnie z kościoła św. Katarzyny. Nie była to wprawdzie jej parafia, ale lubiła tę świątynię najbardziej ze wszystkich w całym Gdańsku. Na Stare Miasto nie było znowu aż tak daleko, a jako kobieta czynu, musiała w niedzielę przejść się z braku innych zajęć.

Pastor był taki, jak należy. Starszy, ale nie za bardzo. Wiedziała, że ma żonę imponujących rozmiarów i dwie córki, które dobrze wyszły za mąż. Jedna została pastorową w Kiezmarku, druga żoną prokuratora zatrudnionego w gdańskim sądzie. Duchowny cieszył się już pięcioma wnukami, a z pewnością nie było to jeszcze jego ostatnie słowo.

Rozmyślając nad usłyszonym solidnym, uczciwie przygotowanym kazaniem, frau Labenz ruszyła spiesznym krokiem (inaczej chodzić nie potrafiła) w kierunku Głównego Miasta.

Gdy minęła halę targową, zetknęła się z grupą ludzi wychodzących z kościoła św.

Mikołaja. Jej ojciec mawiał niekiedy, że katolicy, jako czciciele szatana, niegodni są, aby mijać ich na ulicy, ona jednak, mimo braku zrozumienia dla papistów, nie żywiła podobnych uprzedzeń. Odkłoniła się nawet znajomej, poznanej kiedyś na stoisku warzywnym, o której wiedziała, że ma syna w pelplińskim seminarium.

Już miała skierować wzrok w przeciwną stronę, gdzie na wystawie sklepowej stały dwie nowiutkie maszyny do szycia, a tymi bardzo się

interesowała, gdy nagle dostrzegła lokatorkę. Stasia Królikowska stała przed opustoszałym już placikiem prowadzącym do kościoła. Główne drzwi stały otworem, ale ona jakby wahała się, czy ma wejść.

Frau Labenz miała intuicję. Na kilometr wyczułaby pismo nosem. Stasię coś męczyło.

Niewiele się namyślając, podeszła do lokatorki.

- Dzień dobry, moje dziecko.

- Frau Labenz? - Stasia wyglądała na zakłopotaną.

- A ja. Nie jest panna zadowolona, żeśmy się spotkały?

- Nie, nie, dlaczego? Tylko nie spodziewałam się pani w takim miejscu - dziewczyna odwróciła głowę, jakby wskazywała na kościół.

- Co to, to nie - roześmiała się kobieta, aż zatrzęsł się jej monsturalnych rozmiarów biust. - Żyjemy w dziwnych czasach, ale żebym szła na katolicką mszę? Nie, moje dziecko, tak daleko moja miłość bliźniego nie sięga. Wracam właśnie od św. Katarzyny z bardzo porządnego nabożeństwa - zakończyła z naciskiem.

- No tak, oczywiście.

- Lubię św. Katarzynę. Pamiętam, jak w 1905 roku zapaliła się jej wieża. Co się wtedy w mieście działo! Takich rzeczy nigdy się nie zapomina... A tyś, moja panno, coś markotna.

Co się stało? Starej gospodyni możesz powiedzieć.

Stasia nie patrzyła w oczy frau Labenz. Usiłowała uśmiechnąć się beztrudnie, ale nie bardzo jej się udało.

- Nie wiem, o czym pani mówi. Naprawdę źle wyglądam?

- Eee, źle nigdy nie wyglądasz - nieco ironicznie odparła gospodyni. - No, powiedz.

Ile w zachowaniu frau Labenz było troski, a ile ciekawości, trudno byłoby zmierzyć.

Stały naprzeciwko siebie, jedna pękata, otyła, w jesieni życia, druga drobna, choć nieco wyższa, ubrana skromnie, lecz gustownie. Jedna pełna życia i wiary w każdy następny dzień, druga przygarbiona, z zaczerwienionymi oczami. Młodsza miała przed sobą całe życie, ale wydawała się w tamtej chwili starsza od swej rozmówczynie.

- Frau Labenz, przepraszam, mnie może pomóc chyba tylko ksiądz. Ale sama nie wiem, czy mam tam wejść - dłonią wskazała odrzwia kościoła.

- Zgrzeszyłaś bardzo? Z mężczyzną? - kobieta chciwie wyciągnęła szyję w stronę dziewczyny.

Do duszy Stasi od razu wróciło życie.

- Co też pani?! Jak tak można?!

- Dobrze już, dobrze - gospodyni wystraszyła się, że nie dowie się niczego. - A co ja miałam sobie pomyśleć, kiedy młoda i ładna dziewczyna prawie płacze i myśli o spowiedzi?

Czy ja od dzisiaj żyję na świecie?

- Ale czy ja kiedyś dałam pani powód...

- Wie panienka, kino, wieczorne seanse! I ten elegancki pan, co to dwa razy pannę odprowadzał, a nie wyglądał na polskiego urzędnika, z całym szacunkiem!

- Polski urzędnik nie może być elegancki? - Stasia uroniła łzę i pomyślała, w odruchu patriotyzmu, o Władku Osowskim.

- Nie, ja tam nic nie mówię, przecież wierzę w panny uczciwość, być odprowadzaną to nie grzech. Powie mi panienka? Lżej będzie na sercu.

Stasia zaprzeczyła ruchem głowy.

- Proszę się nie gniewać, frau Labenz. Ja muszę iść na mszę. Niedługo się zacznie.

Mszy i tak chciałam wysłuchać. I tylko teraz jest msza po polsku.

- Dobrze już, dobrze - gospodyni mocno się starała, żeby ukryć poczucie zawodu.

Wyprostowała się i z godnością, pożegnawszy Stasię, ruszyła w kierunku Zbrojowni.

Zamierzała skupić się na bliskiej perspektywie spotkania z wdową Wiedefeld na niedzielnej drożdżówce, ale myśli jakoś uparcie krążyły wokół Stasi.

„Ależ ta dziewczyna musiała nabroić” - myślała raz po raz.

Wnętrze kościoła św. Mikołaja nie było jeszcze zapełnione nawet w połowie.

Przeważały trzypokoleniowe rodziny wielodzietne i starsi odmawiający różaniec. Powoli zaczynali gromadzić się samotni młodzi ludzie płci obojga, pracownicy rozmaitych urzędów i agencji polskich, rządowych i prywatnych, będący w Gdańsku na kontraktach albo zgoła odwiedzający jedynie miasto w celu załatwienia jakiejś konkretnej sprawy.

Stasia przeżegnała się wodą święconą i usiadła w jednej z tylnych ławek. Rozejrzała się kątem oka po konfesjonałach. Były puste, choć z wolna zaczynali ustawiać się przed nimi ludzie. Nie miała ochoty na podziwianie barokowego wystroju kościoła, nie miała ochoty na nic. Chciała tylko porozmawiać z duchownym, zrzucić z siebie ciężar duszący ją od poprzedniego wieczoru.

Wreszcie, na dziesięć minut przed rozpoczęciem mszy, w stronę konfesjonałów zaczęli kierować się dwaj księża, którzy wyszli przez wąskie drzwiczki po lewej stronie od ołtarza.

Starszy, zwalisty i otyły kapłan o twarzy wyrażającej pewność siebie, kroczący zamaszystym krokiem, nie wzbudził zaufania Stasi. A może tylko wystraszyła się, że nie zrozumie, że wyśmieję, że zbagatelizuje? Znała takich jak on.

Drugi, płynący w ślad za pierwszym, młody księżyk, wysoki, chudy jak śmierć na przednówku, w okrągłych drucianych okularach, był taki, jakiego szukała. Na pewno pozwoli jej zacząć i dokończyć.

Była druga z kolei. Przed nią uklękła przed konfesjonałem starsza kobieta. Stasia w zwyczajnych okolicznościach zauważyłaby, że penitentka ma bardzo drogie i eleganckie buty i w ogóle jest niezwykle starannie ubrana.

Spowiedź nie trwała długo. Raptem ze trzy minuty. Delikatne stuknięcia w ściankę konfesjonału. Tamta podnosi się i odchodzi. Stasia już się jej nie przyjrzała. Bezwiednie zajęła zwolnione miejsce.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

- Na wieki wieków, amen.

Chwila ciszy. Zbyt długa, jak na spowiedź.

- Córko?

- Proszę księdza...

- Córko, śmiało. Pan Bóg jest miłosierdziem. Śmiało.

- Proszę księdza, niech ksiądz wybaczy, ja... Ja nie chcę się spowiadać.

Młody kapłan zwalczył w sobie pokusę, aby skrócić w lewo długą chudą szyję i ujrzeć kobietę.

- Nie rozumiem. Teraz spowiadam. Jesteś w jakimś kłopotcie? Mógłbym ci pomóc... akoś inaczej? Widzisz, za tobą pewnie są chętni do spowiedzi. A msza święta rozpocznie się lada chwila.

- Są. Ale, proszę księdza, ja muszę powiedzieć, poradzić się. A wolę, żeby to zostało w konfesjonale. Tak będzie lepiej. Dla księdza również.

„Ksiądz Bolesław pewnie już po pierwszych słowach wyrzuciłby ją z konfesjonau” - szybka myśl przemknęła przez głowę kapłana. Wyprostował się, westchnął do Ducha Świętego i szepnął:

- Czy... to coś niebezpiecznego?

- Tak! - Stasia bez wahania potwierdziła nieco zbyt głośno.

- Mów więc, tylko powściągnij emocje. Pan Bóg usłyszy twój szept, nie musisz krzyczeć.

- Dziękuję... - Stasia niemal się uśmiechnęła, zrzucając z siebie cząstkę osobliwego ciężaru.

- A więc, co cię trapi?

- Jakiś czas temu poznałam mężczyznę...

- Więc jednak chcesz się wypowiedzieć? - bez zastanowienia podpowiedział ksiądz i zaraz pożałował pochopnych słów, ale dziewczyna nie zwróciła uwagi na niezręczność.

- Nie, nie dziś. Nie żyłam z tym mężczyzną.

- Przepraszam.

- Proszę księdza, poznałam go nie tak dawno temu. Wydawał mi się rozsądnym, poważnym młodym człowiekiem. Jest w połowie Niemcem, ale mówi dobrze po polsku, jego matka jest Polką. Mówił, że ma doskonałą posadę w banku. Zachowywał się wobec mnie bardzo uczciwie. I zapraszał do kina, i do kawiarni, i na spacer.

Ksiądz z wolna zaczynał wątpić, czy chodzi o coś rzeczywiście nietypowego, z czym przychodzi się do osoby obcej, gdy jest naprawdę źle i gdy ta osoba jest duchownym.

Tymczasem zabrzmiała pieśń na wejście. Zahuczały organy, ściany kościoła zatrzęsły się od polskiego śpiewu.

- I ja nawet zaczynałam wiązać z tym człowiekiem jakieś nadzieje - kontynuowała Stasia. - Tymczasem wczoraj zauważyłam coś, co mnie zastanowiło. Nie, źle mówię, przeraziło mnie tak bardzo, że nie spałam całą noc. I... myślałam, że tylko u kapłana będę mogła znaleźć jakąś radę.

- Mów... - szepnął ksiądz. Jego głos Stasia ledwie usłyszała pośród dźwięków odprawianej mszy.

- Zaprosił mnie na spacer. Byliśmy w cukierni. Popołudnie było bardzo miłe i nie zrobił nic, co można by uznać za niestosowne. Ksiądz rozumie, co mam na myśli?

- Rozumiem - westchnął kapłan.

- Rozstaliśmy się pod domem, w którym mieszkam. Wszystko było niby tak, jak należy. Ale miał plaster na czole i sprawiał wrażenie obolałego, jakby ktoś go uderzył.

Zapytałam nawet o to, ale wymigał się od odpowiedzi. Uśmiechnął się przy tym beztrosko, ale ja nie dałam się zwieść. A kiedy mnie odprowadzał, nerwowo spoglądał na zegarek. Tak jakby zaraz miał się z kimś spotkać. Nie podobało mi się to. Ksiądz rozumie, bałam się o niego, ale też myślałam, że mnie oszukuje.

Nie chciał powiedzieć mi prawdy. Trochę mi na nim zależy, więc nie mogłam tak tej sprawy zostawić.

Poszła za nim. Lękała się, że ją zauważy, była prawie pewna, że w pewnym momencie się obejrzy. A wtedy... Nie wiedziała, co wtedy, ale ciekawość była silniejsza.

Mniej więcej tam, gdzie idzie się od ratusza głównomiejskiego w stronę ulicy Ogarnej, skręcił. Już przy wejściu na Ogarną czekała na niego kobieta. Stasia przytuliła się do przedproża. Było dość późno i ulica świeciła pustkami, inaczej z pewnością ktoś zauważyłby jej dziwne zachowanie. Tamci przystanęli zaraz za „jej” przedprożem. Nie mówili głośno, ale znajdowała się zaledwie półtora metra od nich.

Zapytał, czy dokładnie zapamiętała, co ma mówić. Ona na to, że nie jest taka głupia jak on i że z jej strony nie było dotąd żadnej pomyłki, więc wie, co ma mówić. Ucieszył się, ale zaraz zapytał, co teraz będzie, bo tamci gotowi są go zabić. Podejrzewają, że w najlepszym razie gra na własną rękę, ale jest pewien, że biorą pod uwagę jego bliższe kontakty ze stroną polską. Kobieta roześmiała się, a był to śmiech zaprawiony okrucieństwem - tak się Stasi wydawało.

- A ta mała niczego nie podejrzewa? Przecież musiała zauważyć, że dopytywałeś się...

- Wszystko jest w najlepszym porządku. A w razie czego, jestem przygotowany na każdą okoliczność.

- Nie bądź idiotą, Albercie. Jeden trup starczy.

- Dobrze. A więc, do jutra.

- Do jutra.

- Rozumie ksiądz teraz? Przecież nie mogłam z tym iść na posterunek policji. Jacyś Niemcy podejrzewają, że on działa na korzyść Polaków. Mam

mówić o tym Niemcom? A tam, gdzie pracuję, w polskiej instytucji, na pewno od razu odesłaliby mnie do kraju. Nie chciałabym w takiej chwili opuszczać Gdańska.

Nastąpiła chwila ciszy. Wreszcie ksiądz westchnął jeszcze głębiej niż przedtem.

- Moje dziecko, przyjdź do mnie po mszy. Wiesz, od której strony jest zakrystia? Tak? Dobrze. Poprosisz o rozmowę z księdzem Stanisławem.

Wanda Szulc pchnęła drzwi budynku, w którym mieściła się siedziba Chorągwi Gdańskiej Związku Harcerstwa Polskiego. Po szerokich schodach weszła na drugie piętro, mijając po drodze gwarny korytarz pierwszego piętra, wypełniony dziewczętami i chłopcami ubranymi w oliwkoszare mundury. Dwie harcerki, pyzate, piegowate i podobne do siebie jak dwie krople wody, zauważyły przechodzącą kobietę i pozdrowiły ją głośnym „Czuwaj!”.

Uśmiechnęła się do nich i odpowiedziała na przywitanie.

Chciały o coś zapytać, ale przeprasząc rozłożyła ręce.

- Komendant u siebie?

- Raczej tak, przed pół godziną odwiedził naszą grupę i zaraz poszedł do pokoju.

Mówił, że ma kilka spraw.

Wanda skinęła po przyjacielsku i skierowała się do pokoju zajmowanego przez komendanta Liczmańskiego.

Zapukała. Wstał, kiedy weszła. Na powitanie serdecznie uściśnął jej dłoń.

- Cieszę się, że jesteś, Wandeczko. Czekałem na ciebie, ale rozumiem, że praca u dyrektora Noskowskiego bywa absorbująca, i obawiałem się, że ugrzęźniesz w papierach.

- Przecież obiecałam, że przyjdę - uśmiechnęła się. - Mogę usiąść?

- Oczywiście, proszę! - Odsunął krzesło od biurka i zczekał, aż zajmie miejsce naprzeciwko starego fotela, w którym zasiadał jako komendant.

Alf Liczmański, mimo swoich trzydziestu czterech lat, nadal sprawiał wrażenie harcerza. Długa, bujna grzywa opadała nieustannie na wysokie czoło i nie dawała się okiełznać. Szczupła sylwetka i sportowy strój dopełniały wrażenia młodości.

Wanda, która była młodsza od niego o dziesięć lat, wyglądała przy Alfie co najmniej na jego równolatkę.

Urzędowa garsonka, okulary z grubymi szklami w rogowej oprawie i poważny wyraz twarzy dodawały młodej kobiecie powagi właściwej niemal wiekowi średniemu.

- Co cię do mnie sprowadza? Domyślam się, znając twoją energię, że nie chcesz wspominać kolejnych sprawności sprzed paru ładnych lat?

- Alf - pokręciła głową Wanda - rzeczywiście dobrze mnie znasz. Choć, przyznasz chyba, dobrze byłoby usiąść kiedyś bez pośpiechu i pogadać o tych obozach. Pamiętasz lasy pod Kościerzyną?

- Więc jednak wspominamy? - roześmiał się Liczmański i nalał kobiecie wody z karafki stojącej na biurku do kryształowej szklanki.

- Nie, nie, rzeczywiście, innym razem... Wiesz, pomyślałam sobie niedawno, że dobrze byłoby zorganizować spotkanie twoich instruktorów u nas w komisariacie. Nie spytasz dlaczego? Departament Noskowskiego, co prawda, zajmuje się czymś innym, ale rozmawiałam z dyrektorem Grudzińskim, że dobrze byłoby wznowić współpracę z chorągwią. Mają, jak się okazało, pewne rezerwy finansowe na edukację młodzieży i pomyśleliśmy z dyrektorem, że harcerze są na tyle patriotyczną i wypróbowaną grupą, że można śmiało obdarzyć ich zaufaniem.

- Można, cokolwiek miałyby to być! I dyrektor Grudziński naprawdę wyraził ochotę?

Nie znałem go od tej strony - pokiwał głową Liczmański.

- Śpiewam w „Lutni” z jego żoną - Wanda podniosła dumnie głowę.

- Oj, Wandeczko, Wandeczko...

- Widzisz, Alf, mamy kobiece sposoby! Ale do rzeczy. Przechodzę często Starym Miastem i na polskich ulicach słyszę dzieci rozmawiające tylko po niemiecku! Dobrze, że są nasi harcerze, ale potrzeba działać szerzej, także z dziećmi o zaburzonym poczuciu narodowości. Rodzice boją się nawet sąsiadów i tłumaczą dzieciom, że w miejscach publicznych należy mówić po niemiecku. A władze tylko na to czekają! Jeśli się poddamy, za kilka lat te dzieci będą Niemcami. A samym tłumaczeniem i akademiami nic nie wskóramy.

Trzeba organizować obozy dla takich dzieciaków. Gdzieś niedaleko, w Polsce. Trzeba dać im jakąś bazę, jakieś atrakcje, żeby pokazać, że ojczyzna nie jest czymś wstydliwym. Że takie obozy to podchody, sprawności, ale i atrakcje, zabytki, lasy i jeziora. I dyrektora w tym głowa, żeby uruchomił fundusze, a nie tylko ciągle chóry i teatryki. Co myślisz?

Liczmański wyciągnął szyję w stronę kobiety.

- Wandeczko, myślisz że nie męczyło mnie to, o czym mówisz? Ale sama wiesz, z komisariatem jak grochem o ścianę. Jeżeli tylko mogłabyś...

- Właśnie o tym mówiłam - Wanda uśmiechnęła się delikatnie, lecz bez fałszywej skromności.

- Byłabyś cudotwórczynią!

Wyprostowała się. Stwierdził ze zdziwieniem, że zza maski urzędniczki patrzy na niego całkiem interesująca kobieta.

- Jestem nią.

- Chyba tak - szepnął.

- I widzisz, Alfeczku - kontynuowała - za półtora tygodnia mam odbyć już dość oficjalną rozmowę z dyrektorem Grudzińskim. Dobrze byłoby, gdybym się należycie przygotowała. Myślę, że powinieneś sporządzić oficjalne pismo do dyrektora. I najlepiej, gdy ja doręczę je osobiście.

- Naprawdę? Mogłabyś? - Liczmański tym razem nalał wody do swojej szklanki i wypił zawartość duszkiem.

- Mogłabym. I wiesz, wypadaloby, żeby takie pismo miało konkretny podkład.

Sporządziłbyś... Wanda przerwała w pół słowa. Sekundę wcześniej rozległo się pukanie. Liczmański donośnie powiedział „proszę!”, równocześnie wykonując w kierunku gościa przepaszający gest, odwzajemniony grzecznościowym uśmiechem.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich zadyszany kilkunastoletni chłopak.

- Panie komendancie!

- Mam gościa... Czy to coś ważnego?

- Księgowy bardzo prosi na moment, panie komendancie. Za godzinę musi znaleźć się w pociągu do Gdyni i bardzo zależy mu na tych podpisach. Pan komendant pamięta...

Liczmański energicznie skinął głową.

- Przepraszam, Wandeczko, za chwilę do ciebie wrócę.

- Oczywiście!

Kiedy Wanda została sama, podeszła do drzwi, otworzyła je i wychyliła na zewnątrz głowę. Upewniwszy się, że korytarz jest pusty, szybko wróciła na swoje miejsce, tyle że nie siadła na krześle. Rozejrzała się po całym gabinecie. Podeszła do starego fotela i otworzyła szufladę Alfa.

Wnętrze zawałone było przyborami papierniczymi. Spinacze, ołówki, jakieś stare wieczne pióro i bloczek czystych kartek. Pod tym wszystkim zapisane drukiem maszynowym i kaligrafowane dokumenty raczej podrzędnego znaczenia. Przejrzała je szybko, odłożyła ponownie na dno szuflady i zamknęła ją. Znow rozejrzała się po gabinecie.

Szafa po prawej stronie. W drzwiczkach klucz. Wystarczył jeden ruch dłoni i szafa stała otworem.

Segregatory. Teczki. Napisy. Chaotycznie sięgnęła po jedną, potem drugą, ale zaraz schowała teczki na miejsce, bo w korytarzu rozległy się rytmiczne kroki. Odskoczyła na swoje krzesło. Wzięła do ręki zaproszenie z Towarzystwa Kolonialnego.

Nie minęło kilka sekund, a w drzwiach pojawił się Alf.

- Przepraszam raz jeszcze, to była absolutna konieczność. Wiesz, jesteśmy silnie powiązani z gdyńską chorągwią. Alf Dyduch prosił mnie bardzo o pewne dokumenty...

- Z imiennikiem trzeba dobrze żyć, jasna sprawa - roześmiała się Wanda.

- Mówiłaś coś o sporządzeniu czegoś? - Liczmański ponownie nappełnił wodą szklaneczkę gościa.

- A tak. Pomyślałam, że dobrze by było, gdyby pismo zawierało wykaz harcmistrzów i drużynowych, i w ogóle bardziej doświadczonych ludzi z chorągwi, którzy byliby pewniakami, jeśli chodzi o zdolności organizacyjne i ideowość w kontekście udziału w obozach. Deklaracje na

piśmie nie są potrzebne, na razie jest na to za wcześnie, ale gdybyś mógł porozmawiać z nimi w przeciągu tygodnia i dać mi listę z nazwiskami, no i adresy byłyby mile widziane. Na konkrety zawsze patrzy się przychylniej niż na dopiero co narodzone pomysły.

Alf zamyślił się. Spojrzał w sufit, potem na Wandę.

- Da się zrobić. W najbliższą sobotę mamy zebranie chorągwi. Będą wszyscy, którzy coś znaczą. I najbardziej ideowi.

- Znakomicie!

- Tak. Mamy już na całe lato zaplanowane obozy, chyba rozumiesz, ale na wrzesień i październik dałoby się jeszcze coś zaplanować, jakieś jednodniowe wypady. Jeśli są fundusze... A i pomyśleć już o wiośnie przyszłego roku warto. Czasu jest dosyć.

- Dziękuję - Wanda uśmiechnęła się promiennie.

- Ty? - zdziwił się Liczmański. - Co w takim razie ja mam powiedzieć?

- Nic. Przecież obojgu nam zależy na harcerstwie i ojczyźnie.

Wstała, spoglądając prosto w oczy Alfa.

- W takim razie... Czy mogę przyjść równo za tydzień, o tej samej porze?

Komendant spojrział w kalendarz biurowy stojący przy niewielkiej lampce. Zaraz też sięgnął po ołówek i zapełnił jedno z pól imieniem znajomej i godziną spotkania.

Wanda wyszła ze sklepu optycznego Victora Lietzaua. Westchnęła i nabrała w płuca świeżego powietrza. Tego dnia nie miała już nic do zrobienia. Wyjęła z torebki okrągłą puderniczkę. Spojrzała w lusterko i wacikiem przybieliła nos. Potrzebowała spaceru. Czuła się zmęczona i chciała

powłóczyć się bez celu, zanim wróci do pustego mieszkania. Kupiła proszek na ból głowy w aptece „Pod Angielskim Herbem” Teofila Kapczyńskiego. To całe sprawunki tego dnia.

Dawno już nie była na Długim Targu. Oczywiście, przecinała go, idąc od strony kościoła mariackiego na przykład na Ogarną, zdarzało jej się trafić w jakieś konkretne miejsce, jednak wtedy interesował ją wybrany adres i sprawa.

Zawsze się spieszyła. Nawet gdy miała czas, nie potrafiła chodzić wolno.

Weszła na Długi Targ od Zielonej Bramy i zaraz spojrzała w stronę Ratusza. Przed sobą miała mrowie ludzkie spacerujące po najelegantszym gdańskim deptaku. Przekrój wszystkich klas społecznych, demokracja uwidoczniająca się w najoczywistszy i najjaskrawszy sposób.

Bogaci przedstawiciele wolnych zawodów ubrani z niewymuszoną elegancją i ich zadbane kobiety oglądające inne kobiety niczym zwierzęta w menażerii.

Młode, beztrudne pary, zdawać się mogło - nieinteresujące się niczym oprócz siebie i własnych uczuć.

Sklepikarze trzymający pod rękę żony, zazwyczaj otyłe i wystrojone cokolwiek zbyt szykownie.

Robotnicy, jakby trochę onieśmieleni, ale na przekór wszystkiemu dumnie podnoszący głowy, ilekroć napotykali pogardliwe spojrzenie kogoś, komu bardziej się w życiu poszczęściło. Ich towarzyszki ukrywały spracowane ręce pod materia niezbyt drogich rękawiczek i wcześniej, przed wyjściem na spacer, zakładały stare broszki odziedziczone po matce.

Trzech jegomości o imponującej tuszy wyszło z Ratsweinkellerei. Byli w doskonałych humorach.

Najpewniej pośród starych, manierystycznych kamieniczek czuli się mężczyźni, z reguły samotni lub spacerujący po dwóch i trzech, ubrani w brunatne uniformy. Spojrzeniami kierowanymi w stronę innych wyrażali dezaprobatę, że tamci nie noszą takich samych uniformów i nie pozdrawiają się podniesioną ręką. Wiedzieli jednak, tak - byli pewni, że kiedy nadejdzie GODZINA, ten tłum cywilów, beztroskich gdańszczan stanie jak jeden mąż pod ukochanym sztandarem. I nie będzie to czerwona flaga z herbem miasta.

Wanda tak samo spojrzała na tłum. Miała świadomość, że pod sztafą zainteresowania codziennymi sprawami, ale też modą, kinem i plotkami na temat znajomych, pod całą tą codziennością kryje się wielkie oczekiwanie. Oczekiwanie na nieuniknione.

Wiedziała, że nic nie zatrzyma tego nieuniknionego. Ani dyrektor Noskowski, ani major Szalewski, ani minister Beck, ani nawet marszałek Rydz.

Kupiła od pyzatego chłopca stojącego pod Żółtą Kamieniczką batonik „Sarotti” i szybko rozerwała opakowanie.

Po drugiej stronie Motławy zatrzymał się świat. Ulice Jagłana, Wspornikowa, Owsiana... Spichlerze - „Mała Mysz”, „Czerwona Mysz”... Jednak ten świat szykował się do wiecznego snu.

Dyrektor Noskowski miał nie lada orzech do zgryzienia. Po wejherowskim epizodzie wrócił następnego dnia do komisariatu i jako wzorowy urzędnik Odrodzonej Rzeczypospolitej zaczął od rana wykonywać czynności przewidziane zakresem obowiązków.

Zaanonsował się telefonicznie u prezydenta Senatu Wolnego Miasta Gdańska, Arthura Greisera, przyjął przedstawicieli Polonii z powiatu Gdańsk Wyżyny, a także sporządził odręcznie poufne pismo do posła do Volkstagu z listy polskiej, Bronisława Budzyńskiego.

Wypił dwie mocne kawy, zjadł kilka kruchych ciasteczek i zwrócił uwagę pannie Królikowskiej, że powinna przychodzić do pracy bardziej powściągliwie ubrana. Uważał, że urząd to nie rewia mody i piastowanie funkcji maszynistki w biurze jednego z dyrektorów polskiego komisariatu jednak do czegoś zobowiązuje.

Kiedy już wyraził swoje życzenie pod adresem Stasi, sprężystym krokiem podążył do swojego gabinetu. Zamknął drzwi i nagle przybyło mu z dziesięć lat.

Taka historia! Mógł pomyśleć wcześniej, że ma do czynienia z przestępcami. A przynajmniej z osobami, które za nic mają prawo własności i poszanowanie czyjegoś domu.

Przecież oni chcą handlować dobrami kultury narodowej, nie mając do nich żadnego prawa.

Takich zamknąłby najchętniej w więzieniu!

Z drugiej strony... Za miesiąc, dwa, nikt nie spyta Polaków, skąd mają (bał się nawet w myślach wymienić nazwę) TO i wiele innych rzeczy. Różne precjoza wypływają na powierzchnię, europejskie kraje mają swoje sposoby zdobywania skarbów, a inni siedzą w momencie ich ujawnienia cicho, bo robią tak samo.

Dyrektor, w odróżnieniu od wielu urzędników państwowych, których znał, i tych, o których słyszał, nie miał przesadnych ambicji i bez żalu podchodził do konieczności pozostania w cieniu po odzyskaniu depozytu. Zofia, być może, miałaby w tej kwestii inne zdanie, ale akurat tutaj nie należało brać jej skłonności pod uwagę. On zaczynał już powoli marzyć o ciepłej emeryturze, oczywiście w Krakowie. Chodziłby sobie co rano z pieskiem na planty i czytał popołudniami „Gazetę Polską”, a raz do roku zabierałby żonę do Iwonicza, gdzie spędziliby miłe chwile w małym gronie dobranych znajomych.

Zanim te szczęśliwe chwile miały nastąpić, należało jeszcze rok lub dwa wytrwać w Gdańsku. I przeprowadzić nielegalną, a właściwie przestępczą akcję. Westchnął głęboko, pozwolił sobie na zapalenie papierosa i wyszedł do sekretariatu, aby poprosić Wandę o telefon do Karola Szalewskiego, pilnie wzywający go na spotkanie.

Po godzinie w drzwiach gabinetu stanął major. Odświeżony, pachnący na kilometr cierpkim zapachem, bez śladu niedawnych worków pod oczami.

- Panie dyrektorze - skłonił się wojskowy.

- Proszę, majorze, proszę - Noskowski uściśnął dłoń gościa i niemal opiekuńczo posadził go na wygodnym krześle.

Zapalili. Pierwsze obłoczki błękitnego dymu uniosły się w kierunku otwartego okna.

Gospodarz spojrzał na Szalewskiego z zakłopotaniem.

- Panie majorze, pan jest wojskowym...

- Ponad wszelką wątpliwość - major, mimo że siedział, wypiął dumnie tors i już chciał podkręcić wąsa, ale przypomniał sobie, że parę dni temu przysrzygł go zbyt mocno.

- Właśnie. Z pewnością nieobce jest panu pojęcie honoru.

- Się wie!

- Ale polski oficer wie też, że musi patrzeć na życie przez pryzmat obowiązku wobec ojczyzny. Odrodzonej ojczyzny - ostatnie słowa wypowiedziane zostały dobitnie, jakby kończyły przemówienie na gdyńskim Świątce Morza.

Major podniósł zaszklone oczy w stronę portretu marszałka Piłsudskiego, wiszącego metr nad głową gospodarza, obok godła państwowego.

- Prosiłem pana jeszcze w drodze z Wejherowa, żeby w samotności, w ciszy i skupieniu, przemyślał pan jak najszybciej sprawę... - Noskowski ściszył głos - sprawę pewnego pałacu. I wedle sumienia odpowiedział mi, czy można, w imię dobra Odrodzonej, a z pominięciem pewnych imponderabiliów, pokusić się o czyn niemały i pożyteczny...

- Taż rybeńko! - coś pomiędzy krzykiem a szeptem wydarło się z żołnierskiej piersi. -

Ja czekał na takie pytanie cacane!

Szalewski, ilekroć zaczynały rządzić nim emocje, przechodził na wymowę wileńską.

Zaraz, co prawda, powracał do neutralnej polszczyzny, ale pierwszy odruch był nad wyraz żywiołowy.

- Czyli? - wołał upewnić się gospodarz.

- Ma pan moją rękę - major uroczyście wstał i żelaznym uściskiem dłoni przypieczętował deklarację. - Od pierwszej chwili wiedziałem, co

mam myśleć i robić. Ja nie chciałem więcej mówić przy innych o takiej sprawie, nie byłem pewien pańskiego zdania, ale czekałem na ten telefon. Dyrektorze, czy pan już coś przemyślał, postanowił? Czasu mało, do kata, mało!

Uśmiech ulgi rozjaśnił twarz Noskowskiego. Dyrektor właśnie rozłożył odpowiedzialność przed własnym sumieniem również na drugiego człowieka i na skutek braku wszelkich wątpliwości ze strony gościa uspokoił się znacznie.

- Chyba raczej pan, majorze, powinien zająć się sprawą od strony logistycznej?

- I owszem, i owszem. - Szalewski na moment się zamyślił. - Jeszcze dziś...

- Jedna uwaga - przerwał Noskowski. - Proszę uwzględnić udział referenta Osowskiego. Wie pan, majorze, najmłodszy, energiczny, silny...

- Oczywiście - oficer „dwójki” nie dał po sobie poznać, że nie jest zbyt zadowolony.

Jeszcze dziś zacznę działać.

- Ile czasu pan potrzebuje?

- Cztery dni - z niejaką dumą odparł Karol Szalewski.

Późnym popołudniem mężczyzna w sile wieku stanął przed starym spichrzem „Pod Jeleniem” przy ulicy Grodzkiej. Po chwili wszedł w bramę zaniedbanej kamieniczki stojącej po lewej stronie spichrza.

Obskurne podwórko, zamknięte ze wszystkich stron ścianami z odlatującym tynkiem, nie zdziwiło przybysza. Od jego ostatniej wizyty, mniej więcej przed pół rokiem, nie zmieniło się wcale. Trzy okna, z trzech stron podwórka, ozdobione były od wewnątrz szarymi od brudu i starości firankami oraz rachitycznymi roślinami doniczkowymi.

Pośrodku, obok rozlatującej się ławeczki, bawiło się drewnianym składzikiem kolejowym kilkuletnie dziecko o jasnej główce. Było tak zaabsorbowane zajęciem, że nie zauważyło intruza. Dopiero gdy ten stanął obok lokomotywy, podniosło na niego wielkie oczy.

- Antoś? Prawda, że masz na imię Antoś? - odezwał się mężczyzna.

- Tak. A kim pan jest?

- Nie pamiętasz mnie? No tak, nie pamiętasz. Byłem kiedyś u twojego tatusia. Tatuś jest w domu?

- Jest.

- Możesz zawołać tatusia?

- Mógłbym, proszę pana, ale nie mam czasu. Muszę kierować lokomotywą - malec rozłożył ręce.

- Oczywiście. W takim razie poszukam twojego tatusia sam, dobrze?

- Dobrze - Antoś uznał rozmowę za zakończoną, nieco teatralnym gestem obtarł nos dłonią i powrócił do ekspediowania składu kolejowego do miejsca przeznaczenia.

Mężczyzna skierował się do półotwartych drzwi, które od podwórka oddzielał rząd wielobarwnych tasiemek. Odsunął ręką tasiemki i zaraz skrzywił się, miał bowiem wrażenie, że lepią się od brudu, tymczasem z uwagi na upał panujący od kilku dni nie założył rękawiczek.

Drewniane, skrzypiące schody poprowadziły go na piętro. Drzwi na lewo pozostały niewzruszone, mimo pukania. Przez pospiesznie wyjętą chusteczkę nacisnął obłuzowaną klamkę i wszedł do ciemnego korytarza.

Uderzył go ordynarny, choć powodujący drażnienie w pustym żołądku zapach smażonej cebuli. Wiedział już, gdzie szukać gospodarza.

Kuchnia była nieco jaśniejsza od przedpokoju za sprawą niewielkiego okienka. Na kuchence skwierczało zajmujące całą dużą patelnię spécialité de la maison gospodarza. On sam siedział na zydelku przy stole i

szerokim nożem rzeźnickim kroił grube pajdy chleba. Na ceracie leżało pudełko z margaryną „Dida” i nienapoczęta konserwa Kuhnego.

- Wicuś! - tubalny głos przybysza wystraszył siedzącego.

- Pan major, jak pragnę zdrowia! - jeszcze głośniej wykrzyknął Wicuś i poderwał się z miejsca.

- Siedź, siedź! - machnął ręką Karol Szalewski.

- Powiedziałbym „kopę lat”, ale byłem u ciebie, zdaje się, zimą.

- Był pan major, był - ucieszył się Wicuś. - I dobrze pamiętam, pan major okazał się bardzo hojny.

- Tu cię mam - gość zaśmiał się z odrobiną sarkazmu. - Kiedy mnie widzisz, wiesz dobry interes, co? Jak wtedy, kiedy pracowałem nad sprawą w Radzie Portu i Dróg Wodnych? Państwo dało ci zarobić, oj, dało!

- Panie majorze, dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach. Serce się raduje, gdy się widzi rodaka, i tyle!

Chytre oczka gospodarza na moment skierowały się w stronę saszetki majora. Wicuś odsunął stojący pod stołem taboret, przetaił go ścierką i gestem kelnera wskazał gościowi miejsce.

- Postoję, bez tam takich ceregieli.

- Ale cebulki pan major posmakuje? - Wicuś sięgnął po dodatkowy talerz i wyprężył się dumnie. - Świeżutka. I sam usmażyłem!

- Może innym razem - Szalewski energicznie pokręcił głową. - Jadłem właśnie przed chwileńką.

- Jak pan major sobie życzy - Wicuś nie przejął się odmową, ale sam też nie usiadł i powstrzymał się od nałożenia cebuli na swój talerz. Jego zwalista postać zgarbiła się w oczekiwaniu na słowa gościa. Krótki podkoszulek, odsłaniający brzuch i owłosione ramiona, poruszał się rytmicznie pod wpływem ciężkiego oddechu.

- Jest robota - oznajmił Szalewski.

- Jaka robota? - Wicuś przetarł dłonią wilgotny nos. Było jasne, od kogo Antoś nauczył się wykwintnego gestu.

- Kochasz ojczyznę? Nu?

- Jak pragnę zdrowia, panie majorze...

- I dobrze. Widzisz, jest pałacyk w Polsce. Są tam drzwi z zamkami. Nu i można wpaść, a wtedy nie ma zmiłuj, ja o niczym nie wiem, rybeńko.

- Wyszedłem z branży, sam pan major wie - głos Wicusia wyrażał niemal oburzenie.

- Ale dla ojczyzny...?

- Ojczyzna potrzebuje takiej roboty? Eee, nie dla mnie takie powroty do ojczyzny - gospodarz przystąpił do ostentacyjnego nakładania przyrumienionej cebuli na duży talerz. -

Mała kontrabanda, jak ostatnio, i owszem, ale takie coś?

Szalewski rzucił rozmówcy chytre spojrzenie. Nachylił się nad Wicusiem i niespiesznie, z namysłem powiedział:

- A chciałbyś pewnie, rybeńko, żeby już nigdy żadne władze nie przypomniały sobie, ot, choćby o tej małej kontrabandzie?

- Panie majorze... - jęknął Wicuś, jakby kazano mu wypić pół butelki tranu.

- Tak i dogadaliśmy się. A teraz zostaw tę cebulę i usiądź wygodnie. Musisz mnie uważnie wysłuchać.

Wilhelmina van Clijs nadal żyła w napięciu, choć, co przyznawała sama przed sobą z zadowoleniem, jej dusza powoli wylizywała się, wraz z ciałem, z ran zadanych przez niedoszłego kochanka i jego obłęsnego pomocnika.

Z początku każdego ranka drżała na myśl, co przyniesie dzień. Spodziewała się włamania lub przynajmniej jakiegoś potajemnego, subtelnego myszgowania w domu pod męża i jej nieobecność. Raz nawet miała wrażenie, kiedy wrócili z Jaanem z przedstawienia Tristana i Izoldy w Operze Leśnej, że jedna z szuflad jest niedomknięta, a sukienki w szafie wiszą nie w tej kolejności co dotychczas, ale następnego dnia Irma pochwaliła się generalnymi porządkami. Wilhelmina podniesionym głosem odpowiedziała, że bardzo cieszy się z efektów pracy służącej, ale wołałaby, żeby na przyszłość Irma informowała ją wcześniej, gdy zaplanuje prace przewracające dom do góry nogami. Służąca skłoniła się i odeszła urażona. Niemniej pani domu odetchnęła z ulgą.

Mąż, co prawda, nadal miewał przed nią jakieś tajemnice, ale intuicja podpowiadała jej, że ma to związek ze zwyczajową poufnością transakcji opiewających na niemałe sumy.

Jaan okazywał jej zainteresowanie, spełniał zachcianki (te torebki ze skóry aligatora, miała do nich wielką słabość...) i całował przed snem w usta. „Jak tak dalej pójdzie, może za miesiąc lub dwa będę mogła spokojnie zasypiać i patrzeć sobie w oczy co rano w lustrze!” - pomyślała

wreszcie. Myśl była zresztą figurą retoryczną, ponieważ codziennie spędzała przed lustrem około godziny. Spokój jednak niepostrzeżenie powracał. Wolno, lecz uparcie narastała w Wilhelminie chęć do życia.

Poranek nad Gdańskiem nie był szczególnie słoneczny, choć przytłumione promienie starały się przebić przez jednolite, jasnoszare niebo.

Irma zdjęła lekki płaszczyk, wypakowała zakupione wiktuały i poszła spytać panią, czy czegoś jej nie trzeba. Wilhelmina, nie ruszając się z sofy, w pozie półleżącej, zwróciła głowę ozdobioną różowymi papilotami w kierunku służącej.

- Czy dzień dziś ciepły?

- Tak, proszę pani. Czy zamierza pani wyjść do południa?

- Może - padła leniwa odpowiedź.

- A warto, warto. Deszczu nie będzie, gwarantuję pani. Mój wuj, którego spotkałam na Targu Rybnym, a który, co to pani wie, mieszka w Jelitkowie, powiedział, że taka pogoda, znaczy się bez deszczu, będzie przez kilka dni. A on jest rybakiem, na kutrze pływa, więc się zna. Pani wyjdzie i się przewietrzy, obiad będzie lepiej smakował.

- Brałam taką możliwość pod uwagę - odparła Wilhelmina na tyle znacząco, żeby służąca broń Boże nie pomyślała, że pomysł wyszedł od niej.

Po upływie półtorej godziny (trzeba było zdjąć papiloty, zrobić toaletę i wybrać strój stosowny do okoliczności) pani van Clijs objawiła się miastu w całej swej okazałości.

Długie Pobrzeże! Od niego stanowczo należało zacząć przechadzkę. Na nim można było spotkać osoby z towarzystwa, o tej porze rzadko

kiedy wahał się ktoś o niskiej kondycji społecznej. Ot, jakiś czeladnik kupiecki czy panna służebna, ale oni przemykali bokami i spieszyli się, chcąc jak najszybciej dotrzeć do miejsca przeznaczenia.

Wilhelmina już rano postanowiła, że nie będzie się nigdzie spieszyła. Jaan miał wrócić późno. Nie miała tego dnia żadnych planów. Od pewnego już czasu cieszyła się, że będzie mogła spacerować dla samej przyjemności. Przedtem tak lubiła niespieszne wędrówki po starówce!

Po Długim Pobrzeżu chodziła jakieś dwa kwadranse. Z wolna wyzbywała się wrażenia, że ktoś za nią chodzi, i było jej lekko. Jakby narodziła się na nowo.

Skręciła w Mariacką. Ulicę zamykała brunatno-rdzawa bryła największego gdańskiego kościoła. Po chwili znalazła się w wąskim zaułku przed kamieniczką Ferberów, ozdobioną herbem z trzema świńskimi łbami.

Zamierzała znaleźć się na Szewskiej i już, już miała przed sobą prześwit, za którym znajdowała się ulica, gdy nagle stanęła jak wryta.

Kilka metrów przed nią szedł sprężystym krokiem mężczyzna.

Młody jasnowłosy mężczyzna.

Ubrany w letni płaszcz koloru kawy z mlekiem. Widziała go przedtem tylko raz, ale zapamiętała dobrze tę postać do końca życia. Obiecała to sobie. Obiecała tamtego wieczoru i tamtej nocy.

Później chciała zapomnieć, ale nagle żądza zemsty zagotowała jej krew.

Nigdy nie podejrzewała siebie, że będzie tak zdeterminowana. Teraz odkryła w sobie pragnienie walki, pragnienie walki o utraconą godność.

Wyczytała kiedyś w przygodowym romansie, że ktoś, kogo się śledzi, kogo uporczywie ściga się rozpalonym wzrokiem, czuje na plecach niewidzialny oddech spojrzenia i prędzej niż później odwróci się, aby

rozpoznać niebezpieczeństwo. Tak było w przygodowym romansie, ale nie tutaj i teraz.

Alfred Moss szedł lekkim krokiem i nie przyszło mu do głowy, aby się obejrzeć.

Gdyby tak zrobił, nie dostrzegłby nobliwej damy, eleganckiej, lecz nieco ociężalej. Ujrzałby walec zdeterminowany, aby rozjechać go bez litości.

Nie miała zarumienionych policzków ani rozwichrzonej fryzury. Nie miała obłędu w oczach. Cała była uosobieniem zimnej determinacji i bezwzględności.

I tylko łomotało jej serce. A równocześnie Wilhelmina myślała trzeźwo.

Wiedziała już, że będzie śledzić Mossa aż do skutku. Aż drań wejdzie dokądś. Aż ona odkryje punkt zaczepienia. Może wyjdzie stamtąd szybko, może będzie musiała poczekać dłużej, nieważne. Ona zaczeka, ma czas.

A potem?

Potem porozmawia z Aloisem, młodym czeladnikiem męża. Alois będzie milczał jak kamień i zrobi dla niej wszystko, tego była najzupełniej pewna.

Moss skierował się w stronę hali targowej. Kiedy minął kościół św. Mikołaja, była już niemal pewna, że czeka ją wspólny z porywaczem pobyt pod dachem hali.

Wszedł do środka. Przemknęła tuż za nim. Czuł się pewnie i raczej zamierzał załatwić jakieś najzwyczajniejsze sprawunki, pomyślała Wilhelmina, ponieważ ani razu nie obejrzał się za siebie. Inaczej zrobiłby to, przecież musiałby nastąpić taki odruch.

Od wejścia uderzyła ją orgia zapachów, zawsze taka sama w tym miejscu. Mieszanina gryzącego odorku ryb, kwaśnego zapachu warzyw, aromatu mielonej kawy i niewidzialnego obłoku unoszącego się nad stoiskami ze świeżym chlebem.

Mężczyzna bez wahania skierował się do półzamkniętej, oszklonej trafiki. Musiała zostać na zewnątrz. Szybko zsunęła z kapelusika woalkę, która zasłoniła jej górną część twarzy.

Wyjął z saszetki fajkę, pokazał ją sprzedawcy. Tamten wziął fajkę w dłoń, obejrzał uważnie. Wysłuchał klienta i odkręcił cybuch, po czym odłożył reklamowaną część do szuflady, w zamian wręczając Mossowi kwitek.

Jeszcze tylko paczka ciemnych, jakościowo dobrych papierosów i klient wyszedł z trafiki.

Stoisko z wędlinami Schredera sąsiadowało z punktem sprzedaży chemii kosmetycznej. Moss w takiej właśnie kolejności przystawał przed uśmiechniętymi na jego widok sprzedawczyniami. Najpierw kupił pół kilo kabanosów, potem jakiś produkt Nivei.

Wilhelmina nie była pewna, co to było, ale charakterystyczny wygląd opakowania firmy zidentyfikowała bez wahania.

I jeszcze stoisko ze spirytualiami. Moss nie namyślał się długo. Nabył spłaszczoną, prostokątną butelkę ballantinesa. Wilhelmina była prawie oburzona: taką samą whisky pijał jej mąż...

Moss wyszedł z hali lekkim krokiem i skierował się prosto na Targ Węglowy. Stał na przystanku tramwajowym, gdzie spojrzął na zegarek, a potem na blaszaną tabliczkę z rozkładem jazdy. Przystanek stanowił dla Wilhelminy nie lada wyzwanie. Duża kobieta, elegancko ubrana - tak łatwo było ją zauważyć, a przestrzeń wokół przystanku była odsłonięta... Gdyby była katoliczką, jak pewna jej znajoma, pomodliłaby się do św.

Tadeusza Judy, patrona spraw niemożliwych, ale cóż począć, protestantyzm miała głęboko zaszczepiony od wielu pokoleń.

Podobno znajomej pomagały takie akty strzeliste, Wilhelminie po prostu dopisało szczęście. Nie zdążyła dokładniej zastanowić się nad pożytkami płynącymi z papistowskich przesądów ani nad kłopotliwą sytuacją, a już podjechał tramwaj. Dwuwagonowy.

„Znak. To musi być znak. Teraz już mi nie ucieknie!” - pomyślała i wsiadła do tylnego wagonu, widząc że Moss wskoczył do przedniego.

Dwójka jeździła do Oliwy. Ostatni raz jechała w tamtym kierunku owego feralnego dnia, kiedy dała się zaprosić na schadzke w parku. Wspomnienie nie spowodowało u niej poczucia bólu. Wzmogło determinację.

Ważne, żeby nie stracić go z oczu. Ale nie, okoliczności pomagały jej, wszystko szło jak z płatka. Mężczyzna siadł z tyłu, na ostatnim krzesełku. Wystarczyło, żeby ona usadowiła się na drugim od przodu w swoim wagonie, żeby nie tracić Mossa z oczu.

Skład jechał dość szybko; przed południem na przystankach czekała umiarkowana liczba chętnych, także pasażerów wysiadających nie było wielu, więc postoje trwały krótko.

Wyjechali z centrum. Na wysokości Akademii Medycyny Praktycznej postoje stały się jeszcze krótsze. Dopiero we Wrzeszczu dosiadło nieco więcej chętnych, ale punkt, który obserwowała, był niezagrożony. Za Mossem była już tylko czysta szyba.

W Oliwie, na wysokości parku, wstał z siedzenia. Nie patrzyła już, czy kieruje się do wyjścia. Ona również opuściła swoje krzesełko.

Ujrzała go zaraz potem.

Tym swoim sprężystym, chłopięcym krokiem podązał w stronę parku.

Wilhelmina nie miała czasu, żeby zastanawiać się, czy wraca do domu, czy też ma coś jeszcze do załatwienia. Szła za nim w stałej odległości. Raz rozejrzał się, gdy przechodził przez ulicę. Wszedł na teren parku. Dopiero teraz, wbrew swojej woli, Wilhelmina straciła na moment zimną krew, przypominając sobie, z jakim drżeniem serca szła wtedy na wieczorne spotkanie z Mossem. I przed oczami stanęły jej jak żywe obrazy wszystkiego, co stało się potem.

Dość uzalania się nad sobą! Jest pewną siebie, zdecydowaną na wszystko skrzywdzoną kobietą, która musi udowodnić, że do niej należy ostatnie słowo.

Nad Mossem, a więc i nad nią, rozpościerał się liściasty dach. Po lewej, w podłużnym stawie, pełno było leniwych ryb i pływających bez celu kaczek, ale oboje nie spojrzeli w ich stronę ani razu. Po prawej, na rozwidleniu, szklaną ścianą pyszniła się oranżeria. Dalej budynek sąsiadujący z pałacem biskupim, wreszcie sam pałac. Katedra, długa i oddzielona od ścieżki otynkowanym murem. I Moss, idący bez pośpiechu, ale też nieprzystający ani razu. W oddali wzgórze, majestatyczne i gęsto zalesione. Wąskie uliczki z willową zabudową i domami jednolub dwupiętrowymi.

Alfred Moss skierował się w jedną z takich uliczek. Po kilku minutach zatrzymał się przed kilkurodzinnym domem ze spadzistym dachem pokrytym świeżo położoną pomarańczową dachówką. Otworzył furtkę i już po chwili zniknął za drzwiami.

Kilkanaście metrów od domu stała Wilhelmina. Odczekała jeszcze kilka minut i ruszyła przed siebie.

Furtka nie zaskrzypiała. Kobieta przeszła ścieżynką okoloną kwiatami. Ostrożnie otworzyła drzwi frontowe i znalazła się na schludnej klatce schodowej.

Parter. Wizytówki. Wszędzie są wizytówki. Uśmiechnęła się do siebie ze złośliwą satysfakcją. „Adolf i Irmina Arendtowie”. „Profesor Oskar Langfeld. Urolog”. „Hildegarda de Jolie. Dyplomowana chiromantka”.

Pierwsze piętro. „Mendel i Ruthe Isaaksohn”. „Pamela Bock”. „Albert Ruthe”.

Nagle otworzyły się środkowe drzwi. Starsza kobieta, która ukazała się Wilhelminie, obdarzyła obcą podejrzliwym spojrzeniem.

- A pani niby do kogo?

- Szukam mężczyzny, młodego mężczyzny. Chodzi w jasnym płaszczu, blondyn.

Wiem, że gdzieś tu mieszka, a nie znam nazwiska. Prowadzi z moim mężem poważne interesy. Chodzi o pewną prolongatę płatności...

- A, na pewno myśli pani o panu Ruthem. Szczęście, że akurat otworzyłam drzwi, to pani powiem. Przed chwilą wrócił do domu - odparła triumfalnie Pamela Bock.

Postała jeszcze chwilę, aby sprawdzić, czy Wilhelmina zadzwoni do drzwi jej sąsiada.

Ta jednak spojrzała przeciągle na wścibską sąsiadkę, która w końcu dała za wygraną i wycofała się.

Wilhelmina obróciła się na pięcie i lekkim krokiem zeszła po schodach.

Stasi dopiero po dwóch dniach udało się spotkać z księdzem Stanisławem. Po niedzielnej mszy nie do końca przewidziane obowiązki zatrzymały go u proboszcza, a w poniedziałek musiał być obecny przy wizytacji biskupa Spletta, który ledwie otrzymał nominację, jeszcze przed konsekracją postanowił bliżej przyjrzeć się kościołowi św. Mikołaja, w jego pojęciu wylęgarni polskiego nacjonalizmu.

Ksiądz Stanisław zostawił dla Stasi informację u gospodyni, że może go odwiedzić we wtorek około siedemnastej. Dla maszynistki były to całe wieki, jednak nie miała innego wyjścia. Dwa dni w pracy jakoś przetrzymała.

Punktualnie o siedemnastej nacisnęła przycisk w drzwiach przykościelnej plebanii.

Znalazła się sam na sam z księdzem. Dotychczas jej kontakty z kapłanami ograniczały się do mszy, nabożeństw maryjnych oraz pasyjnych, do kolędy i święconki. Ku swojemu zdziwieniu, nie patrzyła na młodego księdza jak na mężczyznę. Kto wie, gdyby ich spotkanie spowodowane było innymi okolicznościami...

Dwie ściany księżowskiego pokoju zastawione były regałami pełnymi książek.

Trzecią ścianę zajmowało duże trzyczęściowe okno; na czwartej, obok drzwi, wisiał dużych rozmiarów, poczerniały ze starości krzyż. Tuż

pod nim znajdowały się dwa, równych rozmiarów obrazy. Na jednym Matka Boska tuliła Dzieciątka, z drugiego przenikliwym spojrzeniem taksował gospodarza i Stasię Roman Dmowski.

Ksiądz przeprosił dziewczynę i za kilka minut wrócił z tacą, na której stały dwie parujące filiżanki z herbatą i niewielka cukiernica.

- Wybacz, drogie dziecko. Jak już ci napisałem, musiałem przygotować się do wizyty biskupa.

- Było groźnie? - nietaktownie spytała panna Królikowska.

Spojrzenie księdza skierowało się gdzieś w stronę grzbietów książek.

- Nasz pasterz z całą pewnością jest człowiekiem ideowym. Nie interesują go czcze rozmowy.

Stasia była na tyle rozumna, by zorientować się, że nie będą rozmawiali o charakterze biskupa Spletta.

- Przepraszam, nie chciałam...

- Nie szkodzi, drogie dziecko. Przejdźmy od razu do tego, co cię boli.

- Słusznie, proszę księdza, najpierw jednak chciałam wyrazić ogromną wdzięczność, że ksiądz zechciał mnie przyjąć. A ja zabieram księdzu czas... Ale też sprawa jest poważna.

Tak poważna, że bardziej już chyba nie może.

- Zgadza się - odparł kapłan i z wolna zaczął mieszać cukier w swojej filiżance.

Zamyślił się przy tym i mieszał o wiele dłużej, niż było potrzeba. - Jeśli pani dobrze usłyszała, nie mamy wątpliwości, że ci ludzie gotowi są do zbrodni. W dodatku nie pierwszej.

- Tak - Stasia spojrzała na księdza z sympatią.

- Jest coś, o czym od razu muszę powiedzieć. Widzi ksiądz, ja jestem maszynistką u dyrektora Noskowskiego, pracuję w komisariacie

generalnym polskiego rządu.

- Gdzie?!

- W komisariacie polskiego rządu - powtórzyła Stasia. - Nie dziwię się, że ksiądz jest zaskoczony. To może wszystko zmieniać, prawda?

Ksiądz Stanisław przygarbił się jeszcze bardziej, choć już wcześniej przez cały czas, gdy siedział, jego plecy wygięte były w pałąk. Poprawił spadające na nos druczane okulary i spojrzał na Stasię przenikliwie.

- To może wszystko WYJAŚNIAĆ.

- Właśnie...

- Czy nigdy przedtem nie przytrafiło ci się nic podobnego, drogie dziecko?

- Nie... Chyba nie... - Stasia skupiła się na odtwarzaniu przeszłości tak bardzo, że przestał drażnić ją zwrot „drogie dziecko”, wypowiedany przez człowieka starszego od niej najwyżej o dziesięć lat.

- Zdarzało mi się spotykać z mężczyznami, ale chyba nie ma w tym niczego złego?

- Nie - zamyślił się ksiądz. - Pod pewnymi warunkami, oczywiście.

- Oczywiście - potwierdziła Stasia. - I widzi ksiądz, spotkania ograniczały się do kawiarni czy kina. I czasem spacer po starówce, zwyczajne rzeczy. Żadnych niewłaściwych poufałości - dziewczyna dumnie się wyprężyła i spojrzała na księdza z całą szczerością, na jaką stać osobę niemal niewinną.

Uśmiech księdza nie zdradzał jego uczuć i myśli. Dopóki nie rozmawiają w konfesjonale, pannica może bezkarnie mówić, co jej się żywnie podoba. Był młodym księdzem, ale zdobył już nieco doświadczenia...

- Podczas żadnego z takich spotkań nie zauważyłam, że ktoś interesował się mną nie dla mnie samej.

- Ale pamiętaj, drogie dziecko - przerwał kapłan - że nie masz żadnych doświadczeń, gdy chodzi o świat szpiegostwa. Czy sądzisz, że taki ktoś powie ci wprost, że chciałby wyciągnąć jakieś ważne informacje?

- Widzi ksiądz, te kontakty były krótkotrwałe, ograniczały się do dwóch, trzech spotkań w każdym przypadku, potem ja kończyłam znajomość, a ci mężczyźni protestowali wprawdzie, chcieli nadal się ze mną spotykać - Stasia znów się wyprostowała - ale gdy kategorycznie odmawiałam, unosili się honorem. Musiałam się szanować, bo mężczyźni często myślą tylko o jednym. Jeden... jeden nawet chciał mnie zaprosić do hotelu Vanselow.

Czy ksiądz sobie wyobraża?

- I nie zauważyła pani żadnych oznak zainteresowania specyfiką pracy w komisariacie? - kapłan zignorował pytanie dotyczące wyobraźni.
- Proszę jeszcze raz poszukać w pamięci.

- Nie - dziewczyna zaprzeczyła z takim przekonaniem, że ksiądz musiał dać za wygraną.

Ścisnął splecione, chude i długie palce tak, że stawy zatrzeszczały odrobinę za mocno.

Wstał z krzesła i obrócił się twarzą w stronę portretu Dmowskiego, jakby szukał w przenikliwych oczach polityka natchnienia i siły.

Nagle gwałtownie się odwrócił.

- A ten... jakże mu tam... Albert...?

- Ruthe. Albert Ruthe.

- Właśnie. Czy Ruthe interesował się pani pracą? Ale nie, najpierw powiedz, drogie dziecko, czy masz dostęp do jakichś materiałów lub wiedzę, która mogłaby być atrakcyjna dla obcego wywiadu?

- Nie - potrząsnęła głową Stasia. - Zajmujemy się, znaczy nasz dział i dyrektor Noskowski, współpracą z polskimi instytucjami społecznymi. Jest to ważna rzecz, ale z kolei moja praca... Machinalnie przepisuję dokumenty. I, co najważniejsze, pisma naprawdę ważne to szyfrogramy, one przychodzą na biurko dyrektora i może otworzyć je wyłącznie on sam i oddelegowany oficer. A wszystko, co przechodzi przez moje ręce, i tak wędruje na koniec roku do izby skarbowej w Gdańsku, a także do podobnej w Gdyni.

Ksiądz powtórzył pytanie o Ruthego.

Nie, Stasia z początku była wprawdzie nieufna (mama tyle razy powtarzała, że nie należy zawierać przygodnych znajomości!), ale z czasem zaczęła przekonywać się do dobrze ubranego, dowcipnego młodzieńca o nienagannych manierach, który nie miał w sobie nic z uwodziciela. A tylu już takich poznała!

Poruszył raz czy drugi temat pracy, ale były to pytania najzwyklejsze w świecie. Ot, jaka jest atmosfera, jacy współpracownicy, czy dyrektor jest dla niej dobry. I zapytał o wszystkich po kolei, ale odniosła wrażenie, że interesował się nimi w trosce o nią. Nie powiedziała księdzu o sytuacji przy drabinie, ponieważ sama nie czuła się bez winy, ale ogólnie na Zygmunta Noskowskiego nie mogła narzekać. A że mu się podobała? I dobrze, tyle wysiłku wkładała w to, żeby się podobać... Zdradziła z kolei, że sympatią darzyła Władysława Osowskiego, ale że relacje między nimi były czyste, nie widziała powodu, żeby kapłan nie dowiedział się o jego istnieniu i licznych zaletach.

Już prędzej Wanda! Ostatnio stała się niemal wścibska. Nie to, żeby ingerowała w pracę. Bardziej interesowała się wszystkim, co dotyczyło Alberta. Stasia jednak kładła to na karb nadmiaru wolnego czasu przyjaciółki i braku jej życia uczuciowego. Wtedy ludzie zajmują się

innymi. Dziewczynę jednak uderzyła pasja, z jaką Wanda poruszała tę kwestię.

Ksiądz zamyślił się i znowu spojrzał na portret Dmowskiego.

- A ten Ruthe? Naprawdę o nic nie wypytywał?

- Chyba jednak nie - Stasia na siłę starała się przypomnieć sobie cokolwiek. -

Chwileczkę! - jej czoło zmarszczyło się. - Zapytał kiedyś, czy mówi mi coś nazwisko Georg Rook.

- Georg Rook?

- Tak. Odparłam wtedy, że raz czy drugi słyszałam takie nazwisko, ale nie wiem niczego konkretnego, a wymieniane było między dyrektorem a panem Osowskim. Ale wydawało mi się, że nie była to żadna tajemnica.

- O niczym konkretnym nie mówili przy tobie, drogie dziecko, w kontekście tego Rooka?

- Nie.

- Ciekawe. I pytał dalej?

- Nie, ale rzucił luźno, że Rook jest jakimś jego znajomym, i gdyby jakieś słówko padło, mogę mu powtórzyć. Ale wie ksiądz, nie sprawiał przy tym wrażenia za bardzo zaciekawionego.

- No tak. A pytał o Wandę? Bardziej niż o pozostałych?

- Bardziej nie, za to ze trzy razy. Ale to wtedy, kiedy powiedziałam mu, że jest ostatnio wścibska.

Ksiądz pokiwał głową. Wstał, przeszedł się nerwowo po pokoju i wrócił na miejsce.

Znów zacisnął dłonie. I znowu trzask stawów w palcach.

- Drogie dziecko, a czy dyrektor i inni sprawiali ostatnio wrażenie czymś zaaferowanych?

- Taaak - odparła Stasia z namysłem. - Pan Noskowski zamykał się w swoim gabinecie z panem Osowskim i majorem Szalewskim. Tamci wychodzili zamyśleni albo nawet przejęci. Albo opuszczali gabinet we trzech i wracali po godzinie. A major częściej niż zwykle był czerwony na twarzy. Chociaż ostatnio jakby bardziej uważał na zdrowie...

- Major Szalewski! - wykrzyknął kapłan. - No przecież on jest z „dwójki”, każdy to wie!

- Ma ksiądz rację.

- I pani nie wiąże faktów?!

Stasia spojrzała na księdza zdeorientowana.

- Jakich faktów?

- Ja oczywiście nic nie wiem. Mogę się tylko domyślać. Ale w pani wydziale dzieje się coś niezwykłego. Ten niebezpieczny człowiek z trupem i zagadkową współniczką.

- To co teraz będzie? - trwożliwie zapytała Stasia. Ksiądz Stanisław spojrzał na dziewczynę z mieszaniną troski i determinacji.

- Musi pani uważać, drogie dziecko!

Maria Walter spojrzała na rozmówcę z wyrzutem.

- Naprawdę nic nie wie?

- Przecież nie mogę tak po prostu pytać w nieskończoność.

Mam wrażenie, że tracimy czas na tę gąskę.

- Może masz rację, ale dobrze byłoby mieć u nich kontakt. A tak... Nasze rozmowy z komisariatem to jedno, plan jest dobry, ale widzisz: nigdy nie wiadomo, co mogą wymyślić.

Ruthe wzruszył ramionami.

- Połknęli przynętę, bez dwóch zdań. Nie zauważyłaś?

- A nie słyszałaś nigdy o podwójnej grze?

- Daj spokój. To banda idiotów. Kupią wszystko. Rozmawiałaś z nimi dłużej i chyba zauważyłaś, jak są zdeterminowani. Największy dureń to ten oficer. Jeśli dojdzie kiedyś do wojny, z takim wojskiem przegram ją w miesiąc.

- Strzeżonego pan Bóg strzeże.

Mijali właśnie stare, opuszczone doki Lastadii. Wokół nie było żywego ducha.

Zmierzchało. W nieodwołalnie niknącym słońcu fantazyjnie gasły kształty nabrzeża, tworząc blade, zamglone cienie. Kobieta wyjęła z torebki papierośnicę. Zapaliła cienkiego, brązowego papierosa i zaciągnęła się ze smakiem. Ruthe poszedł w ślady Marii.

Patrzyli na siebie bez odrobiny sympatii. Ona z lekceważeniem, on z irytacją.

- W co ty właściwie grasz? - zapytał młody mężczyzna.

- A ty?

- Ja pierwszy zapytałem.

- Masz rację - uśmiechnęła się po raz pierwszy, odkąd się dziś zobaczyli. - Ja po prostu bardzo chciałabym zobaczyć depozyt. Mam do niego stosunek... Sam wiesz jaki.

- Ale po co ci do tego Polacy?

- Wyjmą gorące kartofle z ogniska.

- Powiedziałaś im, że jest w pałacu Keyserlingka. Ale przecież...

- Nie wiesz wszystkiego - znów uśmiechnęła się Maria.

- Więc mi powiedz, do cholery! - Ruthe cisnął na bruk niedopalonego papierosa. -

Przecież wiesz, że siedzę w tym gównie po uszy. I nie wiem, czy przeżyję. Miałem dobrze zarobić. Wplątałaś mnie w to. Obracam się wśród ludzi, którzy nie żartują. Sama wiesz...

Zabili mi Ottona! Ostatni raz widziałem go w winiarni Denzera. Był taki uśmiechnięty... Cały Długi Targ należał do nas!

Głos mu drżał. Spojrzał na Marię z wyrzutem. Po raz pierwszy, odkąd go poznała, okazał jakąś ludzką cechę.

- Każdy kiedyś kogoś stracił, Albercie - odpowiedziała szeptem. - Żał mi cię. Przecież nie ja go zabiłam.

- No właśnie. Jest Abwehra. Oni są gorsi od Polaków.

- Ty, Niemiec, to mówisz?

- Mnie z kolei pobili. Grożą mi. Pomyśl o mnie!

- Wiedziałeś, na co się decydujesz. Jak sam zauważyłeś, w tych kręgach się nie żartuje.

- Mam złe przeczucia. I żadnych gwarancji...

- Żadnych - odparła Maria Walter.

- Ale odwrotu już nie ma... - nie wiadomo, czy Ruthe zapytał, czy też stwierdził fakt.

- Nie. I lepiej, żebyś przestał się bać. Ze strachu popełnia się najgłupsze błędy.

Pamiętaj, to już pojutrze. Masz ten plan?

- Przecież dałaś mi go przed chwilą, a ja przeczytałem i schowałem go do kieszeni - westchnął Albert.

- No tak. Jestem nauczycielką i muszę pytać po kilka razy, czy mnie zrozumiano...

Masz jakieś pytania?

- Nie.

- Naucz się tego na pamięć i kartkę spal.

- Rozumie się.

- A więc do widzenia. Naucz się. I odpocznij jutro. Wyśpij się, najedz. Do widzenia.

Nie zaczekała na odpowiedź. Obróciła się na pięcie i lekkim krokiem poszła w kierunku Ogarnej.

Albert Ruthe odprowadził ją wzrokiem.

Podziwiał tę kobietę. Miała w sobie tyle determinacji i zimnej krwi! Uświadomił sobie nagle, że jemu brakowało tych cech. Przyznał sam przed sobą, że w gruncie rzeczy był tchórzem. Chociaż... Potrafił zabić i dokonał tego bez specjalnych wahań, ale sam panicznie bał się bólu. Bał

się niepewności i zagrożenia. Gdyby Maria była zastraszana, był o tym przekonany, poradziłaby sobie z prześladowcami, nie uległaby im.

Ale nie, ona po prostu zatraciła instynkt samozachowawczy, konieczny do przeżycia.

Marnie skończy. Tyle że może i jego czeka ten sam los. Dał się wplątać w coś, co go przerasta. Z drugiej strony, miał całe życie być podrzędnym urzędnikiem bankowym?

Każdego ranka płaszczyć się przed przełożonymi i czekać na premię co dwa, trzy miesiące?

Nie, za bardzo cenił luksus. Zasmakował w nim w dzieciństwie, a potem... Śmierć rodziców, pobyt u wuja, który ubierał go w dziewczęce sukienki.

Wstrząsnął się na wspomnienie tamtych wydarzeń; one naznaczyły go piętnem.

Kiedy stracił z oczu Marię Walter, niespiesznym krokiem podążył w stronę Targu Rybnego. Doszedł na miejsce po kilkunastu minutach. Po prawej miał Motławę, po lewej ciąg starych wąskich kamieniczek.

Witryny sklepów umieszczonych na parterze oświetlone były tak, aby zachęcać potencjalnych klientów do odwiedzin następnego dnia, kiedy usłudźni sprzedawcy będą na posterunku. Konfekcja męska, jubiler, galanteria skórzana.

Zapukał trzy razy do drzwi składu kolonialnego. Zaczął się już niecierpliwić, lecz oto drzwi uchyliły się i stanął w nich mężczyzna około pięćdziesiątki.

- Jesteś wreszcie - burknął gospodarz i chwycił za rękaw Ruthego, wciągając go do środka

Znaleźli się na zapleczu, które jako żywo nie przypominało wnętrza sklepu z egzotycznymi artykułami. Puste słoiki, kartony, półki zavalone

księgami rachunkowymi.

Żadnych zapachów! A przecież w takim pomieszczeniu powinien unosić się aromat kawy, cygar, czekoladek, co tak pachnie w składzie kolonialnym.

Na krześle siedziała kobieta, skromnie ubrana, lecz wyprostowana jak struna i emanująca pewnością siebie.

- I znowu się spotykamy - rzuciła od niechcienia.

- Dobry wieczór - szepnął zalekniony Ruthe.

- Czyżbyś był optymistą? - roześmiał się mężczyzna.

- Już nie - padła śmiertelnie poważna odpowiedź.

- Słusznie, lepiej myśleć realistycznie - znów śmiech gospodarza. - I z czym przychodzisz? Może powiesz nam wreszcie, gdzie jest ta stara kuźnia wodna?

- Daj spokój, jeszcze biedaczek przypomni sobie, że ktoś go kiedyś napadł i skrzywdził. Przypomni sobie i będzie tak roztrzęsiony, że zapomni, z czym przyszedł.

- Więc mu przypomnę.

Ruthe spojrzał na niedawnego „mennonitę” błagalnie i zapewnił, że spisał się dobrze.

Wszystko zapamiętał i wszystko powie.

- Bardzo dobrze, oszczędzisz nam czasu. A sobie tej ślicznej buzi.

Jaan van Clijs siedział w swoim gabinecie. Chwilę wcześniej pocałował żonę na dobranoc. Patrzył z rozrzewnieniem, jak zdejmuje przezroczysty zielony peniuar i kładzie się do szerokiego łóżka, oddychając przy tym głęboko obfitą piersią. Przedtem obserwował

Wilhelminę rozczesującą przed toaletką długie, bujne włosy.

Obiecał jej, że w drugiej połowie lata zrobi sobie długie wakacje. Wybiorą się do Holandii, a stamtąd, kiedy już nacieszą się dawno niewidzianą rodziną, popłyną do Surinamu.

Wuj Willem ma tam plantację bananów. Ciepły klimat, żadnych Niemców, żadnych Polaków, tylko rum i żona w prowokującym peniuarze...

Podniósł wzrok znad rachunków. Nad biurkiem tykało ściennie cudeńko od Frederigue'a Constanta z Genewy. Manufaktura z reguły nie wytwarzała zegarów ściennych, ale był szczęściarzem. Seria kilkunastu, jakie powstały, była naprawdę unikatowa, a on, pan van Clijs, miał ten z numerem siódmym. Oszczędne, choć nieco ekstrawaganckie kształty zegara zawsze wprawiały go w doskonały nastrój.

Po upływie pół godziny odstawił księgę rachunkową. Miał radosne poczucie spełnienia codziennego obowiązku, tak ważne w jego branży.

Westchnął, raz jeszcze spojrzął na zegar. Była równo dwudziesta trzecia. Zegar cichutko wybił jedenaście uderzeń.

Podszedł do starej orzechowej komody. Kluczykiem wyjętym z obrazu przedstawiającego most w Haarlemie otworzył przedostatnią szufladę. W bocznej ścianie znajdowało się pięć okrągłych, malutkich intarsji. Nacisnął środkową. Dno szuflady, mimo ciężaru kartek i karteluszek o pomniejszonym znaczeniu, odskoczyło do góry.

Na górze leżała książeczka czekowa Danziger Raiffeisenbank z Targu Rakowego.

Sięgnął pod spód. Wyjął cienką zieloną teczkę. Nasunął mocniej okrągłe okulary i z powrotem wygodnie usiadł przy biurku.

Teczkę swego czasu otrzymał od dyrektora Noskowskiego.

Zawierała fotografie i katalog przedmiotów.

- Jeśli to prawda... - zamruczał. - Jeśli to prawda... I z pasją zaczął gładzić fotografie.

Powtarzał szeptem czytane słowa. Cieszył się ich brzmieniem.

Na koniec pomyślał, że suma, jaką zaoferowali mu Polacy, gdy zmusili go do roli rzeczoznawcy, była tysiąc razy niższa, niż wypadało.

Dochodziła szesnasta. Zofia Noskowska była poważnie zaniepokojona. Mąż nigdy wcześniej nie informował jej, że nie wróci na noc. Niewiarygodne! Przecież jest dyrektorem w poważnej instytucji, ma ustalone godziny pracy.

Oczywiście, postanowiła dokładnie wypytać go o przyczynę tak dziwnego postępowania. Czasy są niespokojne, służba państwowa, ona wszystko rozumie, ale kiedy odpowiedział, że musi wyjechać do Gdyni i na tym rozmowę zakończył, mało nie zemdląca.

Ona, która szczyliła się sama przed sobą, że kontrolowała nawet jego myśli, usłyszała, choć nie wprost, że to nie jej sprawa...

Na dole zabrzmiał głos Zygmunta. Zbiegła po schodach. Mąż oddawał pokojówce płaszcz i kapelusz.

- Jesteś!

- Jestem, kochana moja, obiecałem, że wrócę ciut wcześniej.

- Ładne mi pocieszenie! - dopowiedziała z wyrzutem, gdy zostali sami.

Gdy po kilkunastu minutach zasiedli nad dymiącą wazą i gdy pokojówka opuściła już jadalnię, Zofia wróciła do tematu.

- Przykro mi, moja duszko, ale powtarzam raz jeszcze: nie mogę powiedzieć nic więcej. Tajemnica państwowa.

- Jak uważasz - zrobiła nadąsaną minę. - Ale pamiętaj, jeżeli w grę wchodzi kobieta, wydrapię jej oczy. A ciebie...

- Przestań, proszę cię - twarz Noskowskiego przypominała facjatę smutnego baseta. -

Wiesz, że kocham cię nad życie. Jutro wrócę. Wszystko będzie dobrze.

- Mam nadzieję! Czy to aby takie ważne?

- A czy kiedykolwiek wcześniej musiałem wyjeżdżać na noc? I wiesz, duszko, chyba nie jestem zbyt głodny.

Władysław Osowski wysłał telegram do Anny Waldberg. Nie musiał, poprzedniego wieczoru spędził z nią urocze chwile w kinie Walkiria na premierowym pokazie Tarzana z Johnnym Weismüllerem i Szwedka wiedziała, że wyjeżdża do Polski. Pomyślał jednak, że drobny dowód przywiązania ucieszy piękną pannę.

Otworzył szafę i wyjął z niej plecak. Taki zwyczajny, stary plecak, który zdarzało mu się zabierać na piesze wędrówki jeszcze pod Kołomyją. Nie przypuszczał, że teraz będzie jak znalazł. Plecak był nie za duży i czarny. Czerń była najistotniejsza. Czerń, pamiętał jeszcze z harcerstwa, w dzień zdradza jego właściciela, natomiast w nocy...

Otworzył okno i wyszedł na balkon. Rozgrzane powietrze i słońce zawsze go rozleniwiły. Tym razem jednak było inaczej. Nic nie potrafiłoby go teraz rozleniwic. Żadne zmęczenie, żadne słońce, nic...

Spojrzał na zegarek z nieuchronnie poruszającym się sekundnikiem zakończonym czerwoną strzałką i westchnął głęboko.

Karol Szalewski stanowczo zabronił Wicusiowi przychodzić po niego do garsoniery, którą wynajmował na koszt skarbu państwa w zacisznej okolicy niedaleko Długich Ogrodów.

Jeszcze tego brakowało! Człowiek o twarzy zakapiora w takiej dzielnicy! Ostatecznie utrzymanie mieszkania kosztowało komisariat niemało, a wokół sami porządni lokatorzy, to zobowiązuje. Co pomyślałaby o nim frau Trudchen, uroczą wdowa, sąsiadująca drzwi w drzwi z wojskowym, gdyby przypadkiem ujrzała Wicusia... Miał wobec wdowy zamiary niezbyt może poważne, za to bardzo konkretne i był na najlepszej drodze do ich realizacji.

Wicus nie mógł mu przeszkodzić!

Zdziwił się, gdy usłyszał pukanie do drzwi. Nie planował przyjmowania żadnych gości w taki dzień, nie przewidywał też wizyt inkasenta ani innych podobnych osób.

Po chwili wahania otworzył, ujrzawszy w judaszu parę młodych ludzi. Byli spokojnymi sąsiadami z parteru.

- Dzień dobry, herr Szalewski - uśmiechnął się mężczyzna.

- Państwo Winterowie? - zapytał retorycznie. - Dzień dobry.

- Herr Szalewski - tym razem odezwała się kobieta, szczupła szatynka o ziemistej cerze, wyglądająca na głodzoną i notorycznie zastraszaną przez męża. - Na pewno nieraz zastanawiał się pan nad problemem wojen i niepokoju, tak ostatnio pustoszących nasze życie społeczne.

- Poniekąd...

- Otóż w Piśmie Świętym wszystko to zostało przepowiedziane. Jak najdokładniej.

Chciałby pan o tym porozmawiać? Mamy tutaj odpowiednie broszury.

Major musiał mieć bardzo niemądrą minę, bo sąsiad powtórzył słowo w słowo kwestię wypowiedzianą przez żonę

- Przepraszam, państwo są jehowitami?! - ostatnią rzeczą, o jaką ich podejrzewał, była przynależność do sekty.

- Jesteśmy wyznawcami Jehowy - potwierdziła uroczyście pani Winter.

Małe oczka wojskowego zwęziły się tak, że zastąpiły je dwie kreski.

- Niech państwo poczekać chwilę.

Po minucie wrócił i wręczył kobiecie niewielki, sztywny kartonik.

- A to jest Matka Boska Ostrobramska. Bardzo czczona w moim rodzinnym mieście, Wilnie. Może zechcą państwo przyjąć na pamiątkę naszego spotkania?

Twarze Winterów równocześnie pokrył cień. Podziękowali za rozmowę i zostawili gospodarza z obrazkiem w ręku.

- Nu, kochanieńkie, tak się robi z nieproszonymi gośćmi - powiedział sam do siebie - siedzieliby i siedzieli, a mnie w drogę zaraz trzeba!

W chwili gdy Szalewski otwierał szafę ze starymi i roboczymi ubraniami, państwo Winterowie byli już u siebie. Kobieta sięgała w kuchni po opakowanie kawy Hag. Herr Winter podszedł do telefonu i wykręcił numer.

- Halo... Tak, jest w domu, ale nie wpuścił nas do środka. Zdaje się, że się spieszył. Słucham? Tak, właśnie. Musi mieć ważny powód. Wszystko się zgadza. Dziękuję, tak, dziękuję, do usłyszenia.

Stare łachy były już skompletowane. Należało zapakować je do eleganckiej skórzanej torby i przebrać się na ostatnią chwilę, już na miejscu. Przecież nie będzie paradował po ulicach miasta i potem po terytorium odrodzonej Najjaśniejszej w drelichu!

Znowu pukanie do drzwi. Z irytacją cisnął na parkiet robotniczy kaszkiet i zaklął siarczyście. Podszedł jednak do drzwi, a nuż to ten kretyn, Wicuś? Będzie tak stał i stał, i w końcu ktoś go zauważy!

Judasz nie mógł kłamać. Za drzwiami stała frau Trudchen. Nie, nie potrafił jej zlekceważyć. Ale jakież to niesprawiedliwe! Akurat teraz, gdy każda minuta droga! Za półtorej godziny odjeżdża pociąg do Gdyni...

Nie zważając na swój strój (niezbyt wykwintny, choć też na szczęście nie taki, w jakim zamierzał wystąpić za kilka godzin), otworzył drzwi.

Sąsiadka uśmiechnęła się do niego promiennie, jednak nie bez wystudiowanego zakłopotania.

- Herr Szalewski, dzień dobry...

- Witam szanowną sąsiadkę - major stał niemal na baczność. - Jak miło panią zobaczyć!

- Mnie również jest miło. Ale czy uwierzy pan, co mi się przytrafiło?

- Wierzę we wszystko, co pani powie - wyszczerzone zęby wojskowego świadczyły o prawdziwości jego słów.

- Zepsuł się mój nowy młynek do kawy, który kupiłam za dziesięć guldenów u Meissensa! Teraz już pan chyba nie uwierzy! Ale mój świętej pamięci Wilhelm zawsze powtarzał: „Trudchen, nie ufaj niczemu, co działa w oparciu o prąd elektryczny. Prądu nie widać, rozumie się więc samo przez się...”. Mądry był ten mój Wilhelm, tak mądry jak pan major...

Szalewski uśmiechnął się z zadowoleniem i dopiero teraz uświadomił sobie, że stali w progu. Gestem iście radziwiłłowskim zaprosił kobietę do środka. Szczęściem, przygotowania do wyjazdu czynił w małym pokoiku sypialnianym, natomiast salonik był bez zarzutu i tam wprowadził frau Trudchen.

Szeroki, wygodny fotel przyjął miękko siadającą sąsiadkę.

Jego kawalerskie gospodarstwo nie mogło zaoferować zbyt wykwintnego poczęstunku; ze spiżarni wyjął konfitury, napełnił nimi małe miseczki i wrócił do pokoju.

Frau Trudchen mogła mieć niewiele ponad czterdzieści lat. Nie miała nadwagi, nie była też szczupła. Major powtarzał często w myślach, że była w sam raz. Staranna fryzura, strój niezbyt wyzywający, gestykulacja umiarkowana, choć niepozbawiona swoistego wdzięku. Wszystko w sam raz!

Jedyną wadą kobiety było zbyt częste wspomnianie świętej pamięci Wilhelma, ale Szalewski po którymś razie uznał, że taki jest obowiązek wdowy.

- Młynek ręczny oddałam na kiermasz dobroczynny organizowany przez księdza Ranischa, ale wie pan, stare urządzenia są niezawodne. Czy mógłby mnie pan poratować?

- Może kawy? Wyświadczy mi pani tę przyjemność i napije się ze mną kawy? - major jęknął w duszy, czas odjazdu zbliżał się nieubłaganie.

- Nie, dziękuję, nie chciałam sprawiać kłopotu, chciałam tylko pożyczyć młynek - ton głosu zdradzał, że frau Trudchen właśnie zamierzała „sprawić kłopot” gospodarzowi.

- Młynek oczywiście pożyczę pani z największą przyjemnością. Ale nie będzie pani przecież taka okrutna... Przyrzadzam znakomitą kawę, naprawdę. Jeszcze kiedy służyłem w II Brygadzie, to znaczy pod ogólnym dowództwem austro-węgierskim, a więc byłem niejako sojusznikiem armii, w której świętej pamięci pan Wilhelm... Tam służył pewien Węgier.

Nauczył mnie przyrządzać kawę w niezwykle interesujący sposób. Otóż...

Frau Trudchen najwyraźniej zainteresowała opowieść. Wsłuchiwała się uważnie, lecz w pewnym momencie przerwała i powiedziała, że major opowiada barwnie i uroczo. Szkoda, że nie dostrzegła tego wcześniej. Z

pewnością, jako człowiek doświadczony i bywały w świecie, miałby tyle do opowiedzenia! Już cieszy się na przyszłość...

- Więc chciałaby pani czasami posłuchać o moich przygodach na froncie i nie tylko! - ucieszył się gospodarz.

- Panie majorze, każda kobieta by chciała...

Znad kanapy pochylił się nad kobietą i pocałował jej dłoń. Nastąpiła chwila kłopotliwego milczenia.

Dyrektor Noskowski pewnie już wychodzi z domu, Osowski również. Wicuś, bez dwóch zdań, od dawna kręci się po dworcu, tymczasem on napawa się obecnością frau Trudchen i nie ma siły, aby zakończyć spotkanie.

Pukanie do drzwi. Oboje poderwali się, tak jakby mieli coś na sumieniu. Nie mieli czasu, żeby pożałować spłoszonej chwili. Szalewski uznał, że jakiś duch opamiętania zmaterializował się, aby przywołać przyszłego uczestnika nocnej akcji do porządku i równocześnie uratować go przed niegościnnością w stosunku do kobiety, którą był zainteresowany.

Otworzył.

- Uszanowanie panu majorowi!

W drzwiach stał Wicuś. Nawet porządnie ubrany, ale jednak Wicuś. Wyglądał jak jeden z bohaterów satyrycznych tekstów Fritza Jaenickego, jak jakiś przyszły emeryt Poguttke.

Szalewski musiał się bardzo starać, żeby nie wybuchnąć.

- Jak mogłeś tu przyjść - syknął. - Kategorycznie ci zabroniłem...

- Ale myślałem, że panu majorowi będzie różnie w moim towarzystwie na dworzec!

- Wicuś! - tym razem major podniósł głos.

W przedpokoju pojawiła się, zaniepokojona okrzykiem, frau Trudchen. Wicus mógł się ubrać jak człowiek, ale jego twarz...

- Panie majorze! Czy coś się stało? Tyle razy mówiłam Ernestowi, żeby zwracał uwagę, kto wchodzi do kamienicy!

- W porządku, proszę pani, jestem przyjacielem pana majora - Wicus w szczerym uśmiechu pokazał niepełne uzębienie.

Frau Trudchen najwyraźniej była poruszona.

- Nie, nie jest tak, jak... - jękał się major.

- No jak nie, pan major pił ze mną wódeczkę w trakcie obrony Lwowa! - oświadczył

Wicus. - Rękę bym dał sobie za niego uciąć. A głowę pan major ma mocną jak diabli. I dzisiaj przyszedłem, bo...

- Wicus! - powtórnie wrzasnął Szalewski.

Za późno. Frau Trudchen rzuciła gospodarzowi znaczące spojrzenie i wydała z siebie odgłos zbliżony do prychnięcia, po czym z podniesioną głową opuściła mieszkanie, odsuwając Wicusia na bok władczy gestem.

Wejherowo przywitało czterech mężczyzn ulewnym deszczem. Zaczęło padać ni stąd, ni zowąd. Chmurki, mizerne i nieśmiałe, przyprowadziły swoich większych braci z pomocą wiatru, który zjawił się równie niespodziewanie.

Wicus był zadowolony. Stwierdził, że to dobrze, brzydka pogoda wystraszy spóźnionych przechodniów, a im mniej ludzi ich zauważy, tym robota będzie łatwiejsza.

Atmosfera była nieszczególna. Szalewski jeszcze w Gdańsku urządził pomocnikowi dziką awanturę, po której ktoś o mniej pogodnym usposobieniu obraziłby się śmiertelnie, tymczasem Wicus należał do osób, które widziały i przeżyły już tyle, że byle opiernicz nie mógł wyprowadzić go z równowagi.

Osowski był świadkiem bury wzbogaconej słowami uważanymi za obelżywe. Nie cierpiał koszarowych manier i dotąd nie potrafił wzbudzić w sobie zaufania do majora Szalewskiego, więc tym bardziej uzbroił się w lekceważenie i wyniosłość. Major nawet nie zauważył jego zachowania, ponieważ jeszcze nie ochłonął i cały czas zastanawiał się, jakie konsekwencje za nieodpowiednie znajomości czekają go ze strony ponętnej wdówki.

Dyrektor Noskowski z kolei tak był zdenerwowany akcją, w której, acz pośrednio, miał wziąć udział, że nie był w stanie myśleć racjonalnie.

Co jakiś czas rzucał mało sensowne pytanie, na które uzyskiwał chaotyczną odpowiedź.

Mężczyźni znajdowali się na ulicy Dworcowej, na wysokości dawnego Urzędu Morskiego. Żaden z nich nie zabrał ze sobą parasola i sto metrów, jakie dzieliło ich od dworca, wystarczyło, żeby przemokli do suchej nitki.

Przed nimi, jak spod ziemi, wyrosła kobieca postać. Nie bawiła się w żadne powitalne ceregiele. Nie ta okazja.

Ruszyli w stronę centrum miasteczka.

Niebo było czarne. Czarniejsze, niż gdyby dzień zakończył się akcentem w postaci zachodzącego rdzawo słońca.

Zegarek dyrektora wskazywał dwudziestą trzecią czterdzieści.

- Godzina jest w sam raz - powiedziała Maria Walter, która również spojrzała na zegarek.

Poszli w kierunku pałacu. Przecięli ulicę Sobieskiego. Weszli w Hallera, potem w Strzelecką. Jeszcze jeden skręt, jeden łuk. Następne pięć minut i, mimo strug deszczu, ujrzeli charakterystyczny zarys pałacu Keyserlingków.

Dyrektor Noskowski nie poszedł dalej. Ustalili wcześniej, że osoba na jego stanowisku nie może brać bezpośredniego udziału w akcji o takim charakterze. Został więc w miejscu, które pozwalało widzieć pałac, a równocześnie trzymać się z daleka od bezpośredniego zagrożenia.

- Niech Bóg was prowadzi - szepnął dyrektor.

- Czy warto mieszać Boga w takie sprawy? - kąśliwie zauważyła Maria Walter.

- Pani też uczestniczy w akcji - odparł Osowski - mimo że sama pani dostrzega jej dwuznaczność.

- Gdyby nie panów zgoda, siedziałabym teraz w ciepłym mieszkaniu, pod dachem - udała niewiniątko wyprowadzone na manowce.

- I nie miałyby pani widoków na zysk - dopowiedział major.

- A mnie się to wszystko podoba - zauważył Wicuś - wreszcie coś się dzieje. Nie macie państwo pojęcia, jaki nudny jest fach szklarza.

- Chyba nie tylko tym się zajmujesz?! - Osowski wybuchnął nerwowym śmiechem.

- Ciszej, na Boga... - dyrektor Noskowski nie życzył sobie dalszych dywagacji.

Szli wolno w kierunku pałacu.

Ogrodzenie od frontu sprawiało solidne wrażenie. Mężczyźni spojrzeli po sobie zdezorientowani. W dodatku na parterze w jednym z okien paliło się światło. I dwa jasne punkciki na piętrze, nad głównym wejściem, do którego prowadziło kilka schodków.

- Nie, nie tędy - szepnęła kobieta. Musimy okrążyć pałac.

Posłusznie wykonali polecenie.

Deszcz zanikał, jednak ścieżka, którą szli, przyjmowała ich nogi jak gąbka, mocząc zimnem buty i stopy. Nie zwracali jednak uwagi na taki drobiazg. Minęli prawy bok pałacu.

- Cholerna majówka - syknął Szalewski trochę z niechęcią, trochę z podziwem dla własnej odwagi.

Wicuś uśmiechnął się łobuzersko. Dla niego nocna akcja nie była żadną nowością.

Major też z niejednego pieca jadł chleb, choć przez ostatnie lata utył, przyzwyczajony do wygodnego życia okraszonego zakrapianymi biesiadami. Osowski cały czas rozdarty był między wpajany mu od dzieciństwa zasadami a koniecznością wykonania dla ojczyzny rzeczy wielkiej, z tym że niezbyt chwalebnej.

Jedynie Maria Walter nie okazywała żadnych uczuć. Podziwiali ją za to w duchu, choć o sympatii nie mogło być mowy. Chociaż... Osowski najchętniej przełożyłby ją przez kolano i stłukł na kwaśne jabłko, jak niegrzeczne dziecko; zrobiłby to jednak z osobliwą przyjemnością, którą jakiś spóźniony uczeń Zygmunta Freuda mógłby tłumaczyć całkiem niejednoznacznie.

Nadchodził moment, kiedy wszystkie te uczucia i zachowania schodziły na dalszy plan. Odtąd musieli stać się sprawnymi maszynami, a ich zadanie miało być wykonane sprawnie, szybko i cicho.

- Pamiętaj panowie wszystko?

- Owszem - major odpowiedział za siebie i pozostałych.

- Świetnie. Adalbert Rothenberg będzie czekał w środku, tak jak mówiłam. Nie może nam otworzyć, bo jego dekonspiracja jest wykluczona, a stróż jest cały czas w okolicach korytarza.

- Wiemy. Przecież dlatego mamy Wicusia.

- Się wie! - ucieszył się szklarz i splunął w dłonie. W ogrodzie, dziesięć metrów od tylnego wejścia do pałacu, stała fontanna. Na noc ją wyłączano. Gdyby działała lub gdyby nadal padał deszcz, wszelkie szelesty zniknęłyby w szumie. „Trudno, trzeba jeszcze bardziej uważać” - pomyślał major i machinalnie uczynił znak krzyża.

- A ten płot? - odezwał się Wicus. - Nie mówiła pani, żeby wziąć z sobą jakieś większe narzędzia.

- Panie, nie ma wśród nas paralityków, jak mi się zdaje. Idziemy!

Ruszyli za nią. Kiedy znaleźli się pod ogrodzeniem, władcym tonem zażądała, żeby ją podsadzono. Rzeczywiście, przeszkoda miała nieco ponad półtora metra wysokości i w połowie była przedzielona prostopadłym prętem.

Po kilku minutach wszyscy intruzi, z wyjątkiem podsadzającego Wicusia, byli już na terenie posiadłości. Osowski i Szalewski spojrzeli niepewnie na szklarza, ale ten, przy odrobinie wysiłku, sam poradził sobie z przeszkodą.

Jeszcze kilkanaście metrów... Od tej strony pałac tonął w ciemnościach. Żadnego światła, żadnej oznaki życia.

Znaleźli się na kamiennych schodkach prowadzących z parku do wejścia.

Osowskiemu wydało się, że w drzwiach zobaczył zarys ludzkiej sylwetki. Nie mylił się. Gdy Maria Walter wyprzedziła ich o parę kroków i stanęła pod długim oknem, będącym równocześnie drzwiami, postać nabrała realniejszych kształtów, zaraz też usłyszeli cichutki odgłos wprawianej w ruch klamki.

Drzwi otworzyły się. Ujrzeni, również spowitego w czerni, Rothenberga.

Nie było żadnego powitania. Mężczyzna, gdy przeszli przez dużą salę, poprowadził ich ciemnym korytarzem w lewo. Stąpali w absolutnej ciszy, nie widząc wystroju korytarza.

Schody prowadzące w dół. Drewniane, lecz nie skrzypiały.

Kilka razy skręcili w zakamarki spowite mrokiem. Rothenberg stąpał pewnie, choć ostrożnie, tamci nie zostawali w tyle. Wreszcie stanęli przed drzwiami.

- Panie Wicuś, teraz pan - powiedziała kobieta. Wyjęty z kieszeni wytrych zatopił się w zamku. Wicuś skupił się, naprężył i drzwi stanęły otworem.

Mężczyzna spojrzął na zegarek. Piętnaście po dwunastej. Obok niego siedziały dwie kobiety, starsza i młodsza.

- Sądzę, że już czas - powiedziała starsza.

- A jeśli jeszcze nie? - odparła młodsza. - Jeżeli coś ich zatrzymało? Chociażby stójkowi? Albo któryś skręcił nogę? Różne rzeczy się zdarzają.

- Mieli pewnego przewodnika - zaśmiał się mężczyzna. - Zdeterminowanego, jak nikt na świecie. Z praktyką harcerską! Nic nie mogło się wydarzyć. A od stójkowych, w razie czego, jest ten szemrany pomocnik. Zresztą, polska policja...

Pogardliwy gest dłonią ostatecznie miał rozproszyć wątpliwości młodszej z kobiet.

- Zarządzam rozpoczęcie akcji - zdecydowała starsza.

Mężczyzna zgasił papierosa, zgniatając peta z siłą niewspółmierną do okoliczności.

Podszedł do telefonu i zaczął wykręcać numer. Jednak odłożył słuchawkę na widełki i jeszcze raz jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- A gdyby nawet było za wcześnie, złapią tego idiotę. I zaczekają razem.

Za drugim razem wykręcił cały numer.

- Halo, dobry wieczór, proszę o połączenie z Polską. Tak z Polską, Wejherowo w powiecie morskim. Numer? Już podaję, chodzi o...

Znaleźli się w niewielkim pomieszczeniu. Ciemności nie pozwalały na dokładne przyjrzenie się wnętrzu, ale nie ono było najważniejsze. Rothenberg podciągnął dywanik znajdujący się na środku. Wymacał wcięcie pozwalające otworzyć klapę zagradzającą otwór sięgający w głąb, poniżej poziomu parkietu.

- Kurde, taki brak zabezpieczeń - zdziwił się Wicus, kiedy klapa została, bez zbytniego wysiłku ze strony „gospodarza”, odsunięta na bok.

- Wydawało im się po prostu, że pałac jest bezpieczny. I ufali służbie - Osowski spojrzał w ciemnościach na kontur postaci Rothenberga.

- Można zejść - szepnął Niemiec.

Szalewski szturchnął Wicusia. Ten bez namysłu wymacał nogami płaskie schodki i zaraz znalazł się w piwniczce, zatęchłej i ciemnej. Tam już można było włączyć latarkę.

- O jasna ciasna, skrzynie... - zasyczał ku górze.

- Pięć skrzyń, jakieś metr na metr, i trzy mniejsze. Ale na czymś stoją, te większe.

Może jest tego więcej.

Nad łepetyną Wicusia pojawiły się głowy Osowskiego i Szalewskiego.

Maria Walter była zaskoczona decyzją Osowskiego. Jeszcze bardziej tym, że Szalewski zaakceptował ją bez wahania. Rothenberg protestował gwałtownie.

- Czy wyobrażacie sobie, do cholery, ile wysiłku wymagało ode mnie przygotowanie całej akcji? I ile ryzykuję?! Taka posada! A wy się bawicie w harcerzy? Podchody sobie urządzają! Albo dziś, albo nigdy!

- A jak pan sobie wyobrażasz, że sami przeniesiemy to wszystko?

- Nikt nie wiedział, ile jest skrzyń, ale nie można zrobić tak, jak chcecie. Dwie, trzy małe skrzynki? A co potem? Powtórzyć wszystko dla jasnie panów? - gorączkował się „gospodarz”.

- Potem się zobaczy - syknął major. - Wicuś, proszę otworzyć tę nieco większą z wierzchu. Ja tam zejść i rzucę okiem.

Szalewski wgramolił się w głąb piwniczki. Po dłuższej chwili wychylił głowę.

- Cholera - powiedział drżącym głosem do Wicusia.

- Bierz ją i wyjdź z pałacu.

Wicuś w odpowiedzi uśmiechnął się. Mina zrzędała mu jednak, gdy major poprosił go o zamknięcie skrzynki i oddanie wszystkich wytrychów.

Z pomocą dwóch mężczyzn wyniósł skrzynkę z piwnicy. Na chwilę postawił ją na podłodze, wreszcie splunął w dłonie, uniósł ciężar i zaraz zniknął w ciemnościach.

Jedna myśl opanowała wszystkich: czy Wicuś nie ulegnie pokusie...

- Nie, tacy mają swój honor - pokiwał głową Szalewski.

- A ja wam tego nie wybaczę - odezwała się Maria Walter. - Tyle przygotowań, takie niebezpieczeństwo i trzy skrzyneczki! Ja wszystko rozumiem, techniczna strona, ciężar, czterokrotne wydłużenie akcji, ale do trzeciej, czwartej nad ranem wszystko zostałoby wyniesione. Dopiero wtedy świta... O nie, następna oferta zostanie przedstawiona komuś innemu.

- My już wiemy, gdzie jest depozyt - triumfalnie obwieścił major.

- Ale w pałacu jest Adalbert, a on może spowodować zainteresowanie hrabiego kwestią lepszego zabezpieczenia depozytu. I kiedy wyjdzie na jaw, że czegoś brakuje, już nigdy nie znajdziecie reszty.

- Nie kłóćmy się już - zniecierpliwił się Osowski.

- Każda chwila droga. Majorze, pan i pan Rothenberg biorą po skrzynce, ja również.

Wicuś wziął najcięższą, my mamy trochę lżejsze. Damy radę.

- Ja mam dźwigać skrzynki? Pan sobie kpi! - obruszył się Rothenberg.

- Wychodzimy stąd, proszę pani?

Maria Walter stanęła przed współnikiem.

- Tak. Nic tu po nas.

Opuściła pomieszczenie bez słowa pożegnania. Osowski rozumiał ją, nie wiedział tylko, skąd u kobiety cynicznej i trzeźwo myślącej tak wielka determinacja, wykraczająca poza chęć wzbogacenia się. I ten zachłanny gniew... Przecież komisariat, z tajnych i rezerwowych środków, zapłaci jej niemałą sumę. Maria Walter dostanie ładnych parę złotych...

Nie było czasu do namysłu. Szalewski z Osowskim zostali tylko we dwóch. Obaj, jak na rozkaz, schylili się, aby podnieść skrzynki.

I nagle zobaczyli wszystko bardzo wyraźnie. Czarne stroje, szare ściany, własne dłonie wiszące nad zakurzonymi skrzynkami. W pierwszym momencie nie do końca zdawali sobie sprawę z tego, co zaszło.

A potem już wszystko potoczyło się bardzo szybko. W ślad za zapalonym światłem nadbiegły żywe istoty.

Ludzie w koszulach nocnych płci obojga, krzyczący wniebogłosy. Myśliwska broń gotowa do strzału. I wyrastający ponad wszystkich mężczyzna, który rozkazał służbie związać intruzów.

Dyrektor Noskowski trząśnięty jak galareta. Mimo okazałej tuszy, nie należał do osób zbyt wytrzymałych na zimno i deszcz. Noc była wilgotna, a samotne oczekiwanie w ciemnościach jeszcze spotęgowało odczucie przedłużającej się w nieskończoność niewygody.

Miał wielką ochotę usiąść na trawie, nogi odmawiały mu już posłuszeństwa, ale obawa przed nabawieniem się choroby była silniejsza.

W zwykłych okolicznościach chód Wicusia był bezszelestny, co w przypadku szklarza było umiejętnością niezwykle przydatną. Tym razem jednak pod wpływem dźwiganego ciężaru Wicusz zasygnalizował nieregularnym człapaniem fakt swojego nadejścia.

- Pan Wincenty! - Noskowski był uradowany, jakby nagle ujrzał dawno zmarłego ojca, zajadającego ze smakiem sznycla po wiedeńsku.

- A jak!

- A gdzie pozostali?

Przybysz z innego świata obrazowo, choć w krótkich słowach opowiedział dyrektorowi o przebiegu zdarzeń.

- I sądzisz pan, panie Wincenty, że tamci, ta kobieta i Niemiec, się odłączą? Że uciekną?

- Po mojemu, tak. I ambaras jest, tu mają rację. Akcję trzeba by powtórzyć. Tyle dobra... - oczy Wicusia błysnęły jak u wilka, jednak na szczęście dla niego wskutek ciemności Noskowski nie mógł dostrzec najprostszego przejawu drugiej natury poczciwego pomocnika.

- Tak więc czekamy na naszych? - upewnił się dyrektor.

- Mus to mus, kolegi w potrzebie się nie zostawi - pociągnął nosem Wicuś. - Tylko, panie Noskowski, uważasz pan, przejdźmy pod tamten dąb. Krzaki są zaraz. Jak ktoś zobaczy nas ze skrzynką w środku nocy... Jeszcze z godzinkę, nim zacnie świtać, na pewno zdążą do tego czasu.

- Oby Matuchna błogosławiła w zbożnym dziele - wyszeptał dyrektor i ruszył przed Wicusiem do rozłożystego dębu.

- Zaraz przyjdą policjanci, panie hrabio, proszę się nie denerwować, pana serce... - zażywna kobieta z głową ozdobioną papilotami persadowała Henrykowi von Keyserlingkowi, który, ze sztucerem w dłoniach, wahał się, czy zrobić użytek z broni. - Już nie uciekną!

- Tak, Gerda ma rację, poczekajmy! - wtórował niski, starszy mężczyzna.

Osowski i Szalewski leżeli na ziemi ze skrępowanymi dłońmi. Gdyby hrabia chciał ich zastrzelić, zrobiłby to z łatwością. Nad nimi stało dwóch osiłków w koszulach nocnych, nieco dalej chłopisko jeszcze potężniejsze od nich dzierżyło w dłoni szeroki nóż rzeźnicki.

- Zaszło nieporozumienie - charczał major. - Jestem oficerem Wojska Polskiego, a mój towarzysz...

- Zamknij się pan - syknął referent. - Dopiero by było, gdyby się dowiedzieli, kim jesteśmy. O wszystkim powiemy dopiero policji. Nie, policja też nie może nic wiedzieć.

Zażądamy widzenia z przedstawicielami komisariatu.

- I tak jest chryja - jęknął Szalewski. - Wszystko mi jedno.

Szarpnięcie się referenta, utemperowane kopniakiem jednego z osiłków, świadczyło o oburzeniu postawą towarzysza.

- Majorze - znów syknął - pan jesteś funkcjonariuszem państwa. Specjalnym funkcjonariuszem. Nie możemy dać się zastraszyć.

- Jesteśmy zgubieni, a ten się bawi w harcerza...

- Cicho tam! - wrzasnęła zażywna kobieta. - Jeżeli się nie zamkniecie, nie doczekacie nadejścia policji.

- My chcemy policji! - jęknął Szalewski.

Dyrektor Noskowski nerwowo spojrział na zegarek. Nie miał zbyt wielu problemów z dostrzeżeniem wskazówek na cyferblacie, ponieważ na wschodzie niebo zaczynało leciutko szarzeć.

- No i co, panie Wicuś, coś nie nadchodzi...

Pan Wicuś obtarł dłonią nos. Nic nie odpowiedział.

- I co my zrobimy? Ta skrzynia... A pociąg za pół godziny. Gdyby nie paszporty dyplomatyczne, przez tę skrzynię mielibyśmy na granicy okropne kłopoty. Ale nie możemy dłużej tu być. Dwaj obcy w mieście, z takim pakunkiem, teraz policja państwowa jest wyczulona na szpiegów i szmuglerów.

- Panie dyrektorze, mój paszport jest cudny. Świeży, ma ze trzy dni, z tym że na dyplomata za bardzo nie wyglądam. Ale co racja, to racja, tutaj zgarną nas w końcu.

Noskowski potarł wielkie wąsy i spojrział na Wicusia.

- Pan, panie Wicuś, chyba bywał... zgarniany?

- Eee, dyplomaty nie pyta się o takie drobiazgi.

- Tak - ze smutnym uśmiechem odparł dyrektor.

- Jeszcze z dziesięć minut, zgoda?

- Kolegów zostawić, grzech i nieszczęście - pokiwał głową szklarz-dyplomata. - Ale przecież nie pójdziemy z powrotem do pałacu. Nie pomożemy im dzisiaj. Zgoda, dziesięć minut i chodu!

Pięciu funkcjonariuszy Policji Państwowej przybyło na miejsce nadspodziewanie szybko. Zostali sprowadzeni na dół i ich oczom ukazał się widok tragikomiczny.

Towarzystwo w koszulach nocnych, częściowo uzbrojone w broń palną i białą, pilnowało dwóch leżących i skrępowanych mężczyzn.

- Dobrze, że pan już jest, komisarzu - odetchnął z ulgą Henryk von Keyserlingk. -

Bandycki napad, z tym że jeden ze złoczyńców - wskazał palcem na Szalewskiego - krzyknął, że jest polskim oficerem. Nie chcę być niesprawiedliwy, ale w czasach mojej młodości oficerom nie przytrafiały się podobnie haniebne uczynki.

Komisarz nakazał swoim ludziom podnieść napastników z posadzki.

- Co, polski oficer? - rzucił w twarz majorowi - A ja jestem szpiegiem cesarza Japonii, łachudro.

- Jak pan śmie! - wykrzyknął Szalewski.

- Grzeczniej proszę! - jeden z przodowników policji wykręcił ręce podejrzanego i z wprawą założył na nie kajdanki.

Major dopiero teraz uświadomił sobie, że skończyły się żarty.

Osowskiego spotkał ten sam los.

Keyserlingk zażądał, aby przesłuchanie odbyło się natychmiast, w jego obecności.

- Pan pozwoli, hrabio, że procedury zostaną zachowane - grzecznie, lecz stanowczo odparł komisarz. - Zatrzymani powędrują na posterunek. Już my wyciśniemy z nich całą prawdę, gwarantuję w imieniu Rzeczypospolitej.

- A, jeśli w imieniu Rzeczypospolitej - niezadowolenie gospodarza osobiście połączone było z sarkazmem - to co innego.

Policjanci w zdecydowany sposób wyprowadzili intruzów z pałacu. Towarzyszył im bezsilny wzrok hrabiego i jego niekompletnie ubranej świty.

Na miejscu został posterunkowy, który miał przesłuchać domowników.

Konwojowi opuszczającemu posiadłość przypatrywał się z okna na piętrze Albert Ruthe. Po kilku minutach usłyszał pukanie do drzwi.

- Proszę! - powiedział głośno, gdy tylko dał nura do pościeli.

- Niech pan sobie wyobrazi - w uchylonych drzwiach ukazała się zażywna kobieta w papilotach - że jacyś dwaj Polacy napadli na pałac. Zaraz panu wszystko opowiem. Pan tu przyjechał jako ten, no... orni...

- Ornitolog.

- Tak, właśnie, poważny naukowiec z naszego Gdańska, a tutaj... Czy spodziewałby się pan, że będzie świadkiem takiej afery?! Ale zacznę od początku...

W polskim komisariacie w Gdańsku już od rana było inaczej niż zwykle.

Dyrektor Noskowski przyszedł spóźniony o cały kwadrans. Miał podkrążone oczy i nawet nie zażyczył sobie kawy, natomiast poprosił Stasię o zaparzenie melisy. Usiadł w swoim gabinecie i nerwowo wpatrywał się w aparat telefoniczny, co jakiś czas wyciągając rękę w stronę słuchawki. Nie podnosił jej jednak, cofał dłoń, aby potem znowu powtórzyć gest. Był na tyle rozbity, że nie miał czasu na przeczytanie leżącego na biurku artykułu prezydenta gdańskiego Senatu, Greisera, o którym huczało całe miasto.

Wanda odburknęła Stasi raz i drugi, gdy ta zadała koleżance jakieś najprostsze pytanie, w dodatku ściśle związane z pracą. Wykorzystała służbowy telefon do załatwienia pewnej prywatnej sprawy, prosząc Stasię o opuszczenie na moment pokoju. Tłumaczyła przy tym, że rzecz dotyczy krępującej sytuacji rodzinnej. Stasia po powrocie zauważyła, że Wanda jest podekscytowana. Nie, nie zdenerwowana, a właśnie podekscytowana. Korciło ją, żeby zapytać o szczegóły, ale tamta, jakby podejrzewając pannę Królikowską o ciekawość, zmierzyła ją niezbyt przyjaznym, uprzedzającym spojrzeniem.

Sama Stasia była nie w sosie. Okropnie martwiła ją sytuacja związana z Alfredem.

Razem z księdzem Stanisławem poczyniła już pewne kroki, tymczasem tajemniczy, i być może złowrogi, amant od dwóch dni jakby zapadł się pod ziemię. Nie przyszedł na umówione spotkanie, przysłał tylko telegram, w którym przeprosił w bardzo lapidarnej formie (w końcu to telegram) za odwołanie „randki”. Miał wyjechać na krótko do Polski w służbowej sprawie i obiecał odezwać się zaraz po powrocie.

Kilka dni zwłoki! Niepewność jest najgorsza, a Stasia bardzo nie lubiła niepewności.

Kiedy dyrektor bywał w podobnym nastroju, zazwyczaj prosił o przybycie majora Szalewskiego i oczywiście Osowskiego. Tak bywało od kilku tygodni. Tymczasem dzisiaj - pomyślała Stasia - w ogóle o nich nie wspomniał.

Siedziały z Wandą w sekretariacie. Stukot maszyny do pisania został przerwany przenikliwym odgłosem dzwoniącego telefonu.

Wanda podniosła słuchawkę. Jej twarz stężała.

- Oczywiście - powiedziała drżącym głosem. - Jest. Już łączę.

- Dyrektorze! - głos w słuchawce sprawił, że Noskowski poderwał się na równe nogi.

- Jestem przy aparacie.

- Co tam się stało?! Rothenberg zatelefonował dziś do mnie i powiedział, że policja złapała tych dwóch pańskich amatorów.

- Mój Boże - jęknął dyrektor. - Ja nic nie wiedziałem, nie dali znaku życia, sam odchodzę od zmysłów.

- A ja? Co ja mam mówić?! Mój depozyt...

- Jak to: pani? Najpierw trzeba się zastanowić, co zrobimy! Ktoś zdradził, jak nic, ktoś zdradził!

- Chyba nie myśli pan, że ja!

Nie, nie myślał. Od razu, od pierwszej rozmowy wiedział, że Maria Walter całym sercem zaangażowała się w akcję. I że była na swój sposób profesjonalistką. Więc ktoś usłyszał hałasy? A może...

- Ten pani wspólnik, Rothenberg. Co pani właściwie o nim wie?

Do tej pory była go pewna. I nagle uświadomiła sobie, że był trzęsącą się galareta, że był chwiejny, że za doraźny zysk, a jeszcze bardziej pod wpływem gróźb, skłonny był do największej podłości.

Sądziła przedtem, że właśnie to pozwala jej utrzymać nad Ruthem kontrolę. Ale przecież taki miecz był obosieczny!

- Sprawiał wrażenie zatroskanego - odparła niepewnie.

- I co z tego? - Noskowski nie dawał za wygraną.

- Dobrze. Poruszę niebo i ziemię, żeby spotkać się z nim jeszcze dzisiaj.

- Musimy działać razem. Proszę natychmiast poinformować mnie, gdy pani czegoś się dowie. Podam jeszcze mój numer domowy. Może pani dzwonić o każdej porze dnia i nocy, żona lub ktoś ze służby będą dyskretni. A, i niech pani mówi, że dzwoni z Dyrekcji Poczty i Telegrafu.

Podyktował Marii Walter prywatny numer telefonu. Kobieta zanotowała i od niechcienia zapytała, czy raczej może się przedstawić jako sekretarka gauleitera Forstera.

- Humor pani nie opuszcza, pogratulować. A jak ja będę mógł panią znaleźć?

- Pan mnie nie będzie szukał, umówmy się - odpowiedziała szorstko, niemal agresywnie. - Mam poważną pracę, nie będę się narażać na takie oficjalne kontakty. Licho nie śpi!

- Na razie to pani naraziła poważną państwową instytucję.

- Proszę się uspokoić! Nie zasłużyłam na takie traktowanie. A zresztą mamy do omówienia jeszcze jedną sprawę, tę najważniejszą.

Noskowski usiadł i otarł chusteczką zroszone potem czoło. Wiedział, że Maria Walter poruszy kwestię skrzynki.

- Jaką? - udał, że nie rozumie.

- Niech pan nie robi ze mnie idiotki, dyrektorze. Wicuś wyniósł pierwszą skrzynkę i poszedł z nią do pana. Nie wmówi mi pan, że i on wpadł?

- A jeśli tak?

- Nie wspomniał pan o tym. Błąd. Jeżeli chciał mnie pan oszukać, należało nakłamać na samym początku, może bym uwierzyła. A tak...

- Dostanie pani swoją zapłatę - westchnął Noskowski - Obiecałem przecież.

Po drugiej stronie usłyszał śmiech.

- Tak, ale umawialiśmy się, że będę miała prawo obejrzenia depozytu. Sentymenty odkładamy na bok, ja wam po prostu ufam tak, jak wy mnie. Domagam się, aby skrzynka była otwarta w mojej obecności. Gdyby nie ja...

- W porządku. Za dwa, trzy dni, jak sprawa się wyjaśni. Chyba że zaczeka pani na cały depozyt.

- Cały? Cały to my zobaczymy we śnie, dyrektorze.

- Prawda...

- Więc proszę robić, co się da. Będę telefonować.

- Dobrze, do widzenia - powiedział Noskowski do samego siebie, bo kobieta po swoich ostatnich słowach się rozłączyła.

Drzwi gabinetu otworzyły się i panny urzędniczki zobaczyły Zygmunta Noskowskiego w takim stanie, w jakim dotąd nie ukazał się im nigdy. Był roztrzęsiony. Włosy potargane, chusteczka przy czole, drżący głos.

- Panno Wando, proszę połączyć mnie z komisariatem policji w Gdyni. Z nadkomisarzem Potockim.

- Od razu? Miałam wykonać pilne prace dla „Gedanii”, sam pan dyrektor mówił wczoraj, że sprawa jest pilna, bo opóźnienie...

- „Gedania” może poczekać. W końcu to tylko sport! - Noskowski nie miał ochoty na dalsze dyskusje.

- Pan nadinspektor? Tak, Zygmunt Noskowski kłania się uniznienie. Tak, jak najbardziej. Co, uprzedziłem pana? A czy... Tak. No właśnie. Sam nie wiem... Nie, bardzo dobry pracownik, nie rozumiem, to jakaś horrendalna pomyłka. Pomyłka, a może prowokacja.

Jak to czyja? Niemiecka, ma się rozumieć. Pan nadinspektor przejął sprawę, jak się cieszę!

No i Szalewski, Karol Szalewski, niezwykle, no niezwykle wartościowy oficer. Sam pan wie, z „dwójki”...

Policja w Gdyni nadzorowała od godziny sprawę dwóch gdańszczyzan ujętych na pospolitym włamaniu do pałacu wpływowego arystokraty, w dodatku narodowości niemieckiej, a przy tym lojalnego obywatela Odrodzonej, z którym nigdy nie było kłopotów podobnych jak w przypadku właścicieli innych majątków.

Sytuacja była bardzo niekomfortowa. Jak mieli czuć się lojalni i nielojalni właściciele ziemscy z północnej Polski?! Nadinspektor był wściekły. Zbeształ Noskowskiego jak pierwszego lepszego uczniaka. Ten

polecił oficerowi Policji Państwowej, aby koniecznie skontaktował się z centralą w Warszawie. I koniecznie z „dwójką”, tam na pewno wiedzą, jak się takie sprawy załatwia.

- I pan myśli, że to takie proste? Te osły są polskimi obywatelami, ale i Wolne Miasto Gdańsk, na terenie którego mieszkają, może formalnie wystąpić o ich wydanie. Będą tłumaczyli, że są zatroskani, a naprawdę będą się śmiać i cała ich prasa, o Berlinie nie wspominając, nagłośni włamanie tak bardzo, że pan nie jest sobie w stanie tego wyobrazić.

Bo wyobraźni chyba panu brakuje. Tacy pracownicy... Powinszować, powinszować!

- Ma pan rację nadinspektorze, ma pan rację. Ale zrobi pan, co tylko można, prawda? - zapytał Noskowski tak uniżenie, jak tylko potrafił.

- Tak - padła burkliwa odpowiedź. Podziękowanie charakteryzowało się wielosłowiem i było w pełnym tego słowa znaczeniu bizantyjskie. Noskowski nauczył się takich podziękowań jeszcze za czasów służby urzędniczej w monarchii habsburskiej.

- Pan mnie zagadujesz, a ja muszę przedtem zapytać o najważniejsze.

- Oczywiście - Noskowski już drugi raz tego poranka usłyszał, że ktoś zamierza zadać najważniejsze pytanie. Bardzo nie lubił takiego wstępu.

- Pan, rzecz jasna, wie, dlaczego oni tam byli?

- Ja?

- Proszę nie zgrywać durnia! - wrzasnął rozwścieczony nadinspektor.

- Jeżeli mam wziąć za nich odpowiedzialność, muszę znać prawdę. Chyba to jasne?

- Jak słońce... - westchnął zdruzgotany dyrektor. Otóż...

Oficer przerwał w pół słowa. Czy Noskowski wyobrażał sobie, że dzwoniąc do niego, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki od razu przełączył się na kodowaną linię?

- Sądziłem, że policja gdyńska sprawdza, czy nie jest podsłuchiwana.

- Sprawdza, ale podsłuch mógł być założony chociażby wczoraj. A u was w tym zafajdanym gdańskim komisariacie, wolę nie myśleć...

- Więc jak będzie z tą linią? Sprawa jest delikatna.

- Nie będzie żadnej kodowanej linii w sprawie włamywaczy. Pan się pofatygujesz w try miga do Gdyni. I sobie porozmawiamy.

- Dzisiaj? - znów westchnął Noskowski.

- Jakie dzisiaj, człowieku, teraz, zaraz, wsiadasz pan w samochód i jedziesz. Za godzinę się widzimy. Chyba macie tam jakieś automobile?

Noskowski podniósł z biurka tom „Rocznika Gdańskiego” i z całej siły rzucił nim w miejsce, gdzie dotąd leżał. Hałas był imponujący.

Dzień zapowiadał się deszczowy. Wiał wiatr. Warunki atmosferyczne, jakby na przekór ostatnim tygodniom, bardziej przypominały późną jesień niż środek lata.

Las pod Oliwą zdawał się poddawać nastrojowi smutku i słoty. Drzewa kołysały się, targane nieregularnymi podmuchami. Szumiały jakby z żalu za chwilową utratą słońca i ciepła. Ściółka była niczym gąbka, z listowia spadały ciężkie, zimne krople.

Duktem, niezbyt szerokim i dość krętym, jechały dwa czarne polskie fiaty 508 III.

Wskazówka licznika w obu pokazywała nieco ponad 20 kilometrów na godzinę. W pewnym momencie kierowcy zwolnili jeszcze bardziej i w końcu zatrzymali samochody.

Kilka metrów od aut czekał starszy mężczyzna. Zamierzał przyjaźnie podnieść rękę na przywitanie, ale zrezygnował, aby nie irytować przybyłych nadmierną familiarnością.

Drzwi pierwszego fiata otworzyły się i przed starszym mężczyzną stanął szczupły, niskiego wzrostu człowiek.

- Pan nadkomisarz... Jakże się cieszę! - nad przybyłym rozpostarł się czarny, obszerny parasol.

- Daj pan spokój - machnął ręką Józef Potocki.

- Delikwenci są, panie nadinspektorze?

- Są - padła oschła odpowiedź.

- Czy mógłbym więc...
- A po co innego ja tu, do cholery, przyjechałem?!
- Tak, oczywiście.
- I proszę zabrać to ohydztwo znad mojej głowy, nie rozpuszczę się!
- Oczywiście, panie nadinspektorze.
- No, a teraz wołaj pan tych swoich hitlerowców!
- To nie są moi...
- Ale już!

Człowieczek, odpowiedzialny za bezpieczeństwo w dużym portowym mieście, oknie na świat Odrodzonej, nie przepadał za grzecznościami, a wszelkie rozmowy, zwłaszcza z dyrektorem Noskowskim, oprócz tych koniecznych, uważał za stratę cennego czasu. Wyjął z cygarniczki cienkie, krótkie Juan Almeida i zapalił, mimo deszczu, od pierwszej zapałki. Kłęb dymu, jaki w pierwszym momencie go zakrył, zdawał się na skutek wilgoci i mgły jeszcze gęstszy niż zazwyczaj.

Noskowski tymczasem zanurkował w leśnej gęstwinie. Zaraz powrócił w towarzystwie trzech mężczyzn wyglądających całkiem zwyczajnie, a nawet bezbarwnie.

Mężczyźni odsunęli na bok skonfundowanego dyrektora i podeszli do Potockiego.

Zamienili kilka słów i oficer Policji Państwowej cofnął się do pierwszego z fiatów, potem nachylił się również przy drugim.

Z auta stojącego na przedzie wysiadł potężnie zbudowany funkcjonariusz w cywilu, za nim dwóch mężczyzn, jeden w starszym wieku, w okularach i eleganckim wełnianym garniturze, typ naukowca, drugi znacznie młodszy, otyły, z twarzą pobrużdżoną śladami po ospie. Obaj rozejrzeli się nerwowo, ale Potocki poprowadził ich prosto w stronę trzech bezbarwnych mężczyzn.

Krótką wymianę zdań. Jeden z bezbarwnych podszedł do nadkomisarza i w milczeniu kiwnął głową.

Potocki skinął ręką w stronę drugiego z samochodów. Kolejny osiłek wygramolił się z fiata, za nim wyszli Osowski i Szalewski. Obaj chcieli rzucić się w stronę dyrektora Noskowskiego, ale pomyśleli równocześnie, że przy Niemcach należy trzymać fason.

Dyrektor drgnął na ich widok, jego twarz przeciął grymas źle skrywanego uśmiechu.

Koordinator ze strony bezbarwnych wykonał w kierunku nadinspektora nieokreślony ruch ręką.

- Wszystko się zgadza. Z pańskiej strony, również, jak sądzę nie powinno być zastrzeżeń?

- Jesteśmy kwita. Tyle że dla was to bardziej opłacalny interes.

- Niech pan nie przesadza - bezbarwny uśmiechnął się krzywo, pokazując trzy złote zęby. - Dwóch zwyczajnych obywateli, profesor i wieczny student. Nie myślicie chyba, że pracowali dla Abwehry? My po prostu dbamy o każdego Niemca, każdy Niemiec jest cenny.

Potocki z bezsilnością spojrział na bezbarwnego.

- Co innego ci wasi, którzy napadają na spokojnych ludzi, tacy są zdolni do wszystkiego. O, ci są prawdziwie niebezpieczni. A właściwie, dlaczego tak naprawdę strona polska chciała wyciszenia sprawy i ich powrotu do Gdańska, na stare śmieci, jakby się nic nie stało? Strach przed prasą, przed opinią publiczną, rozumiem, ale czy coś jeszcze? No fakt, proces zamieniłby się w międzynarodowy spektakl. Oni tak dla zabicia czasu, dla polskiego hobby czy...

- Żegnam pana - nadkomisarz czuł, że jeszcze chwila, a rozkwasi Niemcowi mordę.

Bezbarwny znów się uśmiechnął.

- Raczej: do widzenia.

Drwiące spojrzenie i obrócił się na pięcie. Razem ze swoimi towarzyszami i dwoma niewinnymi Niemcami, ofiarami polskiej szpiegomanii, zniknął w leśnej gęstwinie.

- No, i po kłopotcie - rzucił w stronę Noskowskiego nadinspektor Potocki z niemaskowanym sarkazmem.

- Nawet pan nie wie, jaki jestem wdzięczny - dyrektor nie zważał na słowa wybawcy dwóch ludzi, za których czuł się odpowiedzialny.

Policjant nachylił się nad Noskowskim.

- Pamiętaj pan o umowie, prawda? Radzę, żeby pan o niej pamiętał, dobrze radzę.

- Oczywiście! Pojutrze, miejsce ustalone, wszystko jasne.

- A teraz żegnam pana. Proszę zabrać tych swoich fachowców i zmykać, dopóki się nie rozmyślę.

Drzwi pierwszego z fiatów zamknęły się za nadinspektorem. Oba samochody ruszyły, by na najbliższych rozstajach zawrócić w stronę drogi prowadzącej do Gdyni.

Na środku leśnego duktu zostało trzech mężczyzn.

- Kochanieńki dyrektorze, jak dobrze, że pan o nas nie zapomniał!

- Jakżebym mógł... - Noskowski z zadowoleniem przyglądał obfite wąsy.

- Pan nie masz pojęcia, co to dla oficera Niepodległej, dla jego honoru, siedzieć w kozie! Chociażby była ojczysta! - Szalewskiemu zrobiło się żal samego siebie.

- Szczurów w celi nie było, kajdan też nie, niech pan przestanie! - krzywo uśmiechnął się Osowski. - Ale skutki mogły być oplakane. Jest

pan, dyrektorze, najlepszym przełożonym, jakiego mogłem mieć. Kto to byli ci dwaj z drugiego samochodu?

- Nie mam pojęcia - Noskowski rozłożył ręce. - Ale obawiam się, że Niemcy wyznaczyli słoną cenę za nienagłaśnianie włamania. Nie rezygnuje się z takiej pięknej nagonki prasowej za darmo.

- W istocie.

- A ja - rozprostował się major, aż trzasnęły kości - marzę o jakimś przyzwoitym żarciu. Tłusta golonka uratowałaby mnie od szkorbutu, stanowczo. I, wyjątkowo, po pięćdziesiątce też by nie zawadziwszy!

Wilhelmina van Clijs siedziała naprzeciw Aloisa i wpatrywała się w niego na tyle przenikliwie, na ile było ją stać. Przed obojgiem stały nie pierwszej jakości filiżanki z kawą.

- Droga pani, rzeczywiście, zawsze byłem lojalny wobec pana Jaana. I wobec całej firmy, i państwa rodziny.

- Wiem i dlatego zwracam się właśnie do pana.

- Jestem zaszczycony. Słucham więc. - Młody mężczyzna patrzył na kobietę z wyraźną przyjemnością, choć od początku zdawał się nieco speszony okolicznościami. Żona pryncypała poprosiła go o dyskretne spotkanie przy drodze nad Martwą Wisłę, w pustawej i zacisznej kawiarence, gdzie raczej nie bywały osoby o jej pozycji społecznej. W dodatku było po dziewiętnastej...

Nie, nie kokietowała go. Sprawiała wrażenie nieco zawstydzonej i zakłopotanej. Taka podobała mu się jeszcze bardziej.

- Widzi pan, pomoc człowieka życzliwego jest nieocenionym skarbem. Słaba kobieta nie zawsze może sama poradzić sobie w życiu.

- Z pewnością - Alois poblądł, a potem zaczerwienił się.

- Mój mąż jest człowiekiem praworządnym i szlachetnym...

- O tak! - ochoczo przytaknął podwładny Jaana.

-...I nie bardzo zrozumiałby, że czasami sprawiedliwość należy do nas, do pokrzywdzonych. Boskie prawo jest ważniejsze od tego ziemskiego. Kiedy ktoś skrzywdzi nas tak bardzo, tak bardzo... - usta Wilhelminy wygięły się w podkówkę.

- Do czego pani zmierza? - zaniepokojenie Aloisa było aż nazbyt widoczne.

- Ja zawsze wiedziałam, że jest pan człowiekiem honoru. No bo jak mogłoby być inaczej? Taka szczerą, dobra twarz, taki młody, przystojny człowiek, zawsze miły. Może nie okazałam panu nigdy widocznej sympatii, ale tutaj - przytknęła dłoń do serca - tutaj zawsze miałam pana wizerunek jako pewnego przyjaciela.

- Jestem nim - wykrztusił Alois.

- I potrafiłabym okazać wdzięczność, jeśli moja przyjaźń cokolwiek dla pana znaczy...

Głębokie spojrzenie przeszło go na wylot. Lękał się, czego chce od niego ta piękna kobieta o imponujących kształtach, o której tyle myślał. Wiedział już jednak, że chce się dowiedzieć.

Kolejny w ostatnich dniach ważny telefon zastał Zygmunta Noskowskiego w jadalni podczas śniadania. Na stole leżała nowa „Gazeta Gdańska”. Zofia każdego ranka osobiście doglądała, aby pokojówka przyrządzała jej mężowi zdrowe, pożywne śniadania. Kilka razy przyłapała Zygmunta na jedzeniu tłustego boczku, co nijak nie licowało z piastowaną przez niego godnością. Chudziutka szyneczka, francuski serek, winogrona, oto było śniadanie odpowiednie dla dyrektora.

Dyrektor już zamierzał zmusić się do przełknięcia choć paru kęsów, gdy czarny telefon, zwiastun dobrego i złego, przypomniał o swoim istnieniu przenikliwym dźwiękiem.

- Panie dyrektorze... - w słuchawce usłyszał zbolący głos Szalewskiego.

- O, dobrze, że pan dzwoni, majorze, właśnie miałem się z panem skontaktować.

- A ja jestem bardzo chory. Faszeruję się topalem. Tak i trudno, mamy do wyjaśnienia, tę, no, ważną rzecz.

- Najważniejszą! - zgodził się Noskowski. - Ale, ale, co panu jest?

- W tej wejherowskiej kozie diabelne zimnisko... I przedtem deszcz... Chyba mam grypę. Latka już nie te, o nie! Dawniej człowiek miesiącami mógł siedzieć w wilgotnych okopach, a teraz ledwie zmoknie i zmarznie, już prychnie jak wyleniały kocur.

Noskowski powstrzymał się od złośliwego śmiechu.

- Przykro, mi, naprawdę. Gorączkujesz pan?

- Jeszcze i jak! Ale wie pan, dyrektorze, zaopiekowała się mną sąsiadeczka. I kataplazmy robi, i zakupy przyniesie. Taki tłusty, świeżutki boczek dla mnie kupiła z samego rana. Więc wyżyję, bez dwóch zdań. Kochanieńka istota!

- Boczek tłusciutki, powiadasz pan - zirytował się rozmówca majora. - Ale przecież nie w kwestii boczku pan do mnie dzwoni? Jak... depozyt?

- Właśnie! A bezpieczny, jest pod opieką naszego Wicusia.

Dyrektor wstał na równe nogi.

- Jeszcze go pan nie masz u siebie?

- Nie, ale Wicus to morowy gość. Swojemu nic nie weźmie, to u niego kwestia honoru, jeśli mogę tak to określić.

- A więc uwolnimy go jutro rano od tego honorowego ciężaru.

- Jutro? Dobrze. Na pewno wydobreję. Po takim boczku... Gdzie i kiedy?

- Już mówię. A, oczywiście zaraz poinformuję Osowskiego. I będzie jeszcze ta kobieta.

- Trudno - westchnął Szalewski.

- I nadkomisarz Potocki.

- Potocki?! Bardzo niesympatyczny!

- Płacimy haracz, trudno. Zresztą i tak nie zatrzymalibyśmy depozytu dla siebie. Jak pan to sobie wyobrażasz? A w ogóle ciesz się pan, że komisarz generalny Chodacki nie wie wszystkiego. Taki służbista, głowy by nam pourywał.

Lustro odbijało wyprostowaną postać Marii Walter. Kobieta spoglądała na siebie bez zachwyty, ale i bez nadmiaru krytycyzmu. Ot, zatrzymała się przed lustrem z grzebieniem, rozczesywała włosy.

Pół godziny wcześniej rozstała się z Ruthem. Ich spotkanie przebiegało w burzliwej atmosferze. Wydusiła z niego, że pośrednio zaalarmował domowników hrabiego Keyserlingka o wizycie nieproszonych gości, czyniąc w korytarzu rozmaite hałasy. Przyznał się, że to i telefon to był pomysł tych Niemców, najpewniej z Abwehry, a oni nie żartują.

Wolał być posłuszny, grozili mu do ostatniej chwili. A za pomoc obiecali mu, i Marii oczywiście też, sowitą nagrodę, więc o co chodzi?

Myślała, że go rozszarpie. Zabił na jej oczach Rooka, który chciał grać tylko dla jednej ze stron, a sam teraz sprzedawał wszystko Niemcom. Całą jej nadzieję... Liczył na ochłap.

Teraz Niemcy dostaną resztę, przecież mają dowód, że u hrabiego została cała reszta. I co, czekać na ich łaskę? Najpewniej zamordują i ją, i jego. Sądziła, że Ruthe będzie starał się ich ograć, mimo strachu. Było odwrotnie.

Nie, nie może się poddać. Musi do końca współdziałać z Polakami, nie ma innego wyjścia. A Ruthe? Uśmiechnęła się do lustra. Ruthe miał szczęście, że nie widział jej uśmiechu.

Stasia uklękała przy konfesjonale.

- Jesteś punktualna, moje dziecko.

- Przecież ksiądz prosił. Moja gospodyni, znaczy się właścicielka mieszkania, przekazała wiadomość. I chyba nawet nie rozklejała koperty nad parą. A zdarzało jej się parę razy...

- Panno Stasiu, mam mało czasu. Jestem w konfesjonale.

- Tak, przepraszam księdza.

- Już dobrze. Otóż ten Ruthe...

Ksiądz Stanisław zaczął od księgi adresowej Wolnego Miasta Gdańska za rok 1938, wydanej przez Kaffemanna. Najprostsze rozwiązanie. Było tam dwóch mężczyzn o poszukiwanym nazwisku. Pierwszy był profesorem Wyższej Szkoły Technicznej, dawnym działaczem SPD, tego można było wykluczyć, natomiast drugi mieszkał w Oliwie, przy Heilige Hedwiggasse. Nie było innego wyjścia, to musiał być ten.

- I co teraz?

- Moje dziecko, ty mnie pytasz? - uśmiechnął się kapłan.

- A kogo? Ksiądz jest taki mądry!

- Ale to twoje życie, twoje sumienie, twoja decyzja. Stasia zamyśliła się.

- W takim razie, jeśli ksiądz byłby taki dobry, może poszlibyśmy tam razem i...

- Ja? A cóż ja miałbym mu powiedzieć?

- Ksiądz ma autorytet. Sama już nie wiem.

- Posłuchaj, mamy adres, to jest jakiś punkt zaczepienia. Damy sobie ze dwa, trzy dni do namysłu, dobrze?

- Dobrze.

Delikatne pukanie w konfesjonał. Stasia przeżegnała się i z książeczką do nabożeństwa w dłoni poszła do ławki.

Wieczór minął na pozór spokojnie.

Ksiądz Stanisław czytał św. Anzelma i nie myślał już więcej o tajemniczym Niemcu.

Tę kwestię postanowił odłożyć na dzień następny.

Stasia prasowała białe bluzki, w tym ulubioną, marszczoną z żabotem, a przedtem zdążyła przeprać bieliznę. Przed snem oglądała jeszcze jakieś nie najnowsze magazyny mody.

Frau Labenz długo siedziała w otwartym oknie, czujnym okiem nadzorując zwyczajność kamienicy. Niepokoiła się przy tym, ponieważ zbliżał się wyznaczony termin operacji tegoż oka w Szpitalu Najświętszej Marii Panny.

Maria Walter już nie powróciła przed lustro. Otworzyła chińską czarną szkatułkę z laki, ozdobioną postaciami z kości słoniowej. Wyjęła z niej pożółkłe dokumenty i czytała je z wielką uwagą. Nim zasnęła, pomyślała o Władysławie Osowskim.

Albert Ruthe przymierzył nową muszkę, wypił z pół butelki reńskiego wina i wypalił trzy cygara.

Wanda Szulc późno wróciła do domu. Gdyby miała powiedzieć następnego dnia, jak minął jej wieczór, nie potrafiłaby przypomnieć sobie niczego konkretnego. Przynajmniej tak wyglądałaby wersja oficjalna.

Władysław Osowski po pracy zdążył jeszcze odebrać wywołane zdjęcia w Photo-Mathea. Potem poszedł do kina w towarzystwie Anny Waldberg. Kobieta w ciemnościach delikatnie przytuliła się do niego. A on pomyślał z niepokojem, że czeka go spotkanie z Marią Walter.

Zygmunt Noskowski słuchał z żoną audycji Polskiego Radia. Nadawano niezmiernie interesujący koncert orkiestry filharmonii ze Lwowa. Przyjemnie było usiąść w głębokim fotelu i na moment przysnąć.

Karol Szalewski leżał w szlafroku na kanapie, okryty wełnianym kocem. Udawał, że ma zamknięte oczy, ale z ukrycia przypatrywał się frau Trudchen. Kobieta, która wspaniałomyślnie zapomniała o wizycie Wicusia, czytała choremu opowiadania i pouczające historyjki z „Danziger Heimatkalender”. Treść była nudna, ale dla takiego towarzystwa warto było się poświęcić. Mocny, niski głos i ta wyprostowana, niemal dziewczęca postać...

Szalewski uśmiechał się do swoich myśli. Frau Trudchen zapowiedziała, że kiedy wydobrzeje, zabierze go na spacer. I do Muzeum Miejskiego, gdzie pracuje jako pomoc w księgowości.

Wicus do późna grał w karty z trzema kolegami. Wypili jedynie litr siwuchy wzmocnionej piwem, ponieważ następnego ranka każdy z nich miał stosunkowo poważne, jak na nich, zajęcia.

Jaan van Clijs siedział w swoim gabinecie i na prośbę dyrektora Kathariny Klass przygotowywał mowę okolicznościową, którą miał wygłosić w Elizabeth-Mädchen-

- Mittelschule. Razem z żoną byli donatorami kilkunastu obrazów i jeszcze większej liczby bibelotów upiększających budynek szkoły, którą nigdy nie kończyła siostrzenica Jaana.

W niej właśnie kilka lat wcześniej została wicedyrektorem.

Wilhelmina van Clijs leżała już w małżeńskim łóżu i rozmyślała, co przyniosą następne dni. Cieszyła się, że Alois okazał się, tak jak przypuszczała, lojalnym i dyskretnym człowiekiem. Cieszyła się też z nowego kostiumu kąpielowego i chińskiej parasolki na plażę - wymarzony wyjazd był tuż, tuż.

Gdańsk szykował się do snu. Świeżością wieczornego chłodu zmywał z siebie wszelkie znoje i brudy minionego dnia. Nad miastem jasno świeciły gwiazdy.

Świtało. Czerwona kula powoli wznosiła się nad jeszcze uśpionym zbiorowiskiem ludzkim. Gołębie zaczynały leniwie unosić się nad kamienicami, parkami i ulicami.

Takimi pustymi ulicami jechał polski fiat, ten sam, który dwa dni wcześniej był świadkiem operacji dostarczenia do podgdańskiego lasu czterech mężczyzn.

Tym razem nadinspektor Potocki siedział za kierownicą. Oprócz niego w aucie nie było nikogo. Minął centrum miasta, przeprawił się przez Martwą Wisłę i skierował w stronę lasu, który rozciągał się kilka kilometrów na wschód od Nowego Portu, w stronę Mierzei Wiślanej.

„Heubude 4 km” - przeczytał gotycki napis na tablicy umieszczonej przy szosie.

Wjechał w węższą drogę prowadzącą na północ.

Zatrzymał samochód na widok niechlujnie wyglądającego mężczyzny. Poza nim nie było żywego ducha. W innych okolicznościach należałoby nacisnąć na pedał gazu i odjechać czym prędzej, jednak policjant wiedział, a raczej domyślał się, kim było owo indywiduum w niedbalej odzieży, z trzydniowym zarostem, papierosem w ustach, przekrzywionym kaszkietem i twarzą emerytowanego boksera.

- Wicuś? - upewnił się Potocki.

- Tak jakby.

- Więc tak czy jakby? - nadinspektor nie przywykł, aby ktokolwiek, a zwłaszcza tacy jak Wicuś, traktował go lekceważąco.

- A ja. Pan pójdzie za mną. Wszyscy już czekają. Przeszli leśnymi wykrotami na polankę otoczoną młodymi, lecz gęsto rosnącymi dębami. Na miejscu Potocki rzeczywiście ujrzał dyrektora Noskowskiego, majora Szalewskiego i referenta Osowskiego. Otaczali Marię Walter, odznaczającą się jasnym płaszczykiem do połowy ud, która coś do nich mówiła.

- Witam - ozwał się nadinspektor, ale nie pofatygował się, aby ucisnąć zebranych dłońmi. - Miejsce dobrze wybrane, jak na amatorów oczywiście, ale sprowadzić na takie odludzie kobietę, duża sztuka.

- Dziękuję za troskę - odparła z przekąsem Maria Walter - ale nie szłam pieszo.

Furmanka też nie wchodziła w grę. Przyjechałam automobilem razem z pozostałymi. Nie wymagało to specjalnego wysiłku. Wysiłku wymaga praca z panami.

- Wzajemnie - odgryzł się Szalewski.

- Koniec tych nieuprzejmości, bardzo państwa proszę! - Noskowski znów był świadkiem niesnasek, których nie lubił ponad wszystko na świecie.

Wzrok gdyńskiego policjanta zatrzymał się na skrzyni, która leżała u stóp zebranych.

Nie miała wyglądu antycznego kufra, jakiego można by się spodziewać w podobnym przypadku, ale też nie była to wytwarzana przemysłowo nowoczesna stalowa skrzynka służąca do przechowywania prozaicznych przedmiotów. Mogła mieć kilkadziesiąt, może sto lat.

- Czy obecność pośród nas Wicusia jest konieczna? - bez ceregieli wypalił Potocki. - Jego dotychczasowa kariera, o której wspomniał

dyrektor, każe mi powątpiewać...

- Wicusz wyniósł tę skrzynię, a potem ją przechował - usprawiedliwił znajomka Szalewski.

- I cóż stąd?

- No nic...

- Właśnie.

- Ale Wicusz ma wytrych, a w razie czego łom, dłuto, młotek i jeszcze parę innych narzędzi - oponował major.

- Nie wątpię. To widać...

Wicusz nie rzucił nadinspektorowi żadnego morderczego spojrzenia. Pośród ludzi z jego środowiska przyjęte było, że oficerów Policji Państwowej (jak i gdańskiej Schupo), poza koniecznymi odpowiedziami na obojętne pytania, traktuje się jak powietrze. Stał z boku z miną godną Jacoba Burckhardta, Wysokiego Komisarza Ligi Narodów w Gdańsku.

- Użyj więc narzędzi i odejdź na bezpieczną odległość - spróbował załagodzić Noskowski. - Prawda, panie Wicusz?

- Tak jakby.

- Skończcie panowie te komedie - rzuciła Maria Walter. - Możemy już zacząć?

- Proszę - Noskowski skinął na Wicusia. Ten bez słowa pochylił się nad skrzynią.

Wytrych spełnił swoje zadanie, mimo że zamek był zardzewiały.

Ciszę budzącego się ze snu lasu przerwał głuchy jęk metalu. Wieko drgnęło. Mistrz ceremonii już zabierał się do podniesienia wieka, ale jednym susem dopadła do niego Maria Walter.

- Odsuń się! - zawołała i oburącz chwyciła za wieko skrzyni.

Nim ktokolwiek zdążył przyskoczyć, pochyliła się nad zawartością.

W sekundę później kilka głów niemal dotknęło jej głowy.

Czarodziejski, wyśniony kufer lśnił złotem i szlachetnymi kamieniami.

Stare monety, pierścienie, sznury naszyjników mieniły się w słońcu.

- O dobry Boże... - wyszeptał Osowski.

Maria Walter zanurzyła ręce w kosztownościach. Noskowski z Osowskim pieścili oczy widokiem znanym dotąd tylko z baśni słyszanych w dzieciństwie.

Nadinspektor Potocki zamierzał coś powiedzieć, a najlepiej od razu zarekwirować skarb, ale zaniemówił.

- Warto było, nie ma co... - powiedział Wicus, jakby to on miał się stać głównym beneficjentem.

Nagle twarz Noskowskiego, okrągła i nalana od nadmiaru apetycznych posiłków, których nie potrafił sobie poza domem odmówić, wydłużyła się w bezbrzeżnym zdumieniu.

Bezwiednie sięgnął do kieszeni marynarki i wydobyl pomietą chusteczkę. Przytknął ją do spoconego czoła.

- Ona tu jest... Tu, w tej skrzyni!

Drżącymi dłońmi wyjął ze skrzyni koronę. Nie była wysadzana drogimi kamieniami.

Nie miała zbyt fantazyjnych kształtów. Była taka, jak czasy, w których powstała. Ujmowała prostotą.

„S. A. P. 1764. R. P. M. D. L. P.” - przeczytał.

- Wiemy, co to jest, prawda? Nie wierzyłem. Miałem trudność z uwierzeniem.

Mówiono powszechnie, że nie istniała, ale wiarygodni historycy wiedzieli, że była, opisywali ją na rysunkach, i ten Rook miał fotografię.

Mój Boże, mamy ją...

- To co, jakaś ważna ta korona? - Wicus pociągnął nosem.

Noskowski wyprostował się. Cały czas trzymał w obydwu dłoniach skarb.

- Korona Stanisława Augusta Poniatowskiego. Koronacja odbyła się w Warszawie.

Polski potem nie było, ciągłości państwa nie było, a ona się zachowała. Naukowcy potwierdzą, ja wiem! Van Clijs potwierdzi, potwierdził na fotografii, on żyje regaliami, wie o nich wszystko. Mój Boże!

- Ojczyzna odzyskała wielki skarb - uroczyście potwierdził nadinspektor - jeśli tylko to autentyk. Pielgrzymki do Zamku Królewskiego, Te Deum w katedrze, artykuły w prasie o odkrywcach... Wywiady... Powagą mojego urzędu, w imieniu Rzeczypospolitej, natychmiast zabieram całość do Gdyni.

- Chwileczkę, nie tak prędko! - krzyknęła Maria Walter. - Co znaczy: odkrywcy?! Jaki jest pana udział?!

- Gdyby nie ja, skrzynka powędrowałaby zaraz do Keyserlingka czy jak mu tam - zaperzył się Potocki.

Kobieta wyrwała z rąk Noskowskiego koronę i wrzuciła ją do skrzyni. Zatrzasnęła wieko, po czym usiadła na nim.

Nie tak się umawiali. Państwo państwem, duma narodowa i poczucie godności z historii ważna rzecz, ale sprawa własności nie jest taka oczywista. To, jaką część skarbu kto dostanie, musi być przedmiotem negocjacji. Polska nie może być poszkodowana, korona oczywiście trafi na Zamek Królewski, ale pozostałe precjoza... A nie wiadomo, co dokładnie jest w skrzyni. W skrzyni znajduje się niewielka część. Należy zinwentaryzować... Zresztą jest dużo czasu.

Kiedy Maria Walter dopowiadała ostatnie słowa, major z nadinspektorem porozumieli się wzrokiem. Potocki skinął i obaj ruszyli w jej stronę.

Wszystko działo się w ułamku sekundy. Mężczyźni zamierzali, z obu stron, wziąć pod rękę kobietę i odsunąć ją na bok.

Nie zdążyła nawet należycie ocenić niebezpieczeństwa, bo ponad drzewami huknął strzał.

Wszyscy zamarli.

Z gęstwiny wynurzył się Albert Ruthe z pistoletem w dłoni.

- Wy tam, odsunąć się! Ja nie żartuję! Jeden fałszywy ruch i ktoś dostanie kulę w łeb!

- Albert! - krzyknęła kobieta. - W samą porę!

- Nie ma czasu do stracenia. Odsuńcie się wszyscy! I ręce do góry! Daleko od skrzyni!

Już!

Mężczyźni jak na komendę podnieśli ramiona w uległym geście.

- A teraz odchodźcie powoli, gęsiego!

Jeden szybki ruch i Ruthe krzyknął z bólu. W jego ramieniu tkwił nóż.

- Inspektorze! - Noskowski wykrzyknął z podziwem.

- Drobiazg - odparł Potocki nonszalancko i podskoczył do Niemca. Pozostali ruszyli za nim.

Tymczasem następny strzał, a za nim jeszcze jeden, przesyły powietrze. Na polankę wysunęło się czterech mężczyzn z pistoletami wymierzonymi w biegnących do Ruthego.

Znów ręce Polaków podniesione do góry.

- Ruthe - syknęła Maria Walter. - Jak mogłeś...

- Musiałem z nimi, wiesz dobrze... Wystawili mnie na pierwszy ogień... - Niemiec krzywił się z bólu.

- Mój skarb!

- Nasz skarb... - wyszeptał Albert zbielełymi wargami.

Niemcy byli panami sytuacji. Jeden z nich mocnym szarpnięciem wy dobył nóż z ramienia rannego, który zaraz zemdłał. Noskowski, Osowski, Szalewski, Wicuś i Potocki oraz Maria Walter zostali zakuci w kajdanki. Obyło się bez razów i przekleństw. Tamci swoją robotę wykonali szybko i w milczeniu, a nawet, na swój sposób, delikatnie. To nie byli psychopaci z brunatnych bojówek. To byli fachowcy.

Nie musieli już trzymać na muszce Polaków. Polacy byli bezbronni.

Dwóch Niemców podniosło skrzynię. Trzeci miał iść przodem, czwarty z tyłu.

Po raz trzeci rozległy się strzały. Tym razem jednak nie były ostrzegawcze.

Mężczyzna mający zamykać pochód ze skrzynią padł jak podcięty. Skrzynia głucho runęła na ziemię - to dwaj niosący osunęli się martwi.

Ten, który był z przodu, chwycił się za strzaskane kolano. Podbiegł do niego człowiek olbrzymiej postury i wycelował lufę pistoletu prosto w skroń.

Rozległ się ostatni strzał.

- Co to jest?! - wrzasnął Szalewski. Wszyscy byli jak ogłupiali.

Teraz panami sytuacji było dwóch olbrzymów z pistoletami. Na twarzach mieli wypisane, że taka robota to dla nich nie pierwszozna.

Polacy nie byli pewni, czy i ich nie spotka los taki, jak Niemców.

Jednak nowi zwycięzcy nie zachowywali się tak, jakby mieli ich zabić. Jeden z nich nawet wyjął z kieszeni zabitego Niemca kluczyki i

rozkuł Marię Walter.

- A my? - upomniał się Szalewski. - I kim jesteście?

- Morda w kubel, błźnie - szczerzłotą polszczyzną odezwał się ten większy. - To tak się dziękuje wybawcom? A te szwaby nawet nie myślały, że my za nimi! Takich wykołegować, to jest coś!

- Jakim wybawcom? Uwolnijcie nas!

- Nie tak prędko, nie tak prędko! My was rozkujemy i nie będzie żadnego podziękowania, co? A podziękowanie się należy, nie?

- Znaczy się, znaleźne! - zarechotał ten nieco niższy.

- A jak!

Oprychy chwyciły skrzynię i bez zbędnych ceregieli zabierały się do odejścia.

Maria Walter potarła nadgarstki i ruszyła w ich stronę. Tamci przepuścili ją z szacunkiem.

- Dziękuje, panowie. - Odwróciła się na moment i popatrzyła na ogłupiałych mężczyzn. - Oczywiście jak najszybciej zadzwonię do komisariatu polskiego i powiem, gdzie panowie są. Nie mam sumienia zostawiać was w lesie zakutyh jak jacyś kryminaliści.

Słowom kobiety towarzyszył tubalny śmiech aktualnych strażników skarbu.

Jeszcze chwila i wszystko wydało się snem. Dookoła panowała martwa cisza. Tylko zwłoki czterech Niemców i kajdanki na przegubach dłoni świadczyły o tym, co się wydarzyło.

W pokoju paliła się lampka. Na stole stała opróżniona w trzech czwartych butelka dereniówki. Wcześniej Szalewski z Osowskim wypili Pod Murzynkiem na Angielskiej Grobli po dwa duże sznapsy. Referent zdążył po pracy wejść do kapucynów, do św. Jakuba, aby podziękować Bogu za ocalone życie, potem jednak ochoczo uległ propozycji majora.

Siedzieli obaj na kanapie, w pozach niedbałych, i obojętnym wzrokiem wpatrywali się w nieokreśloność.

Dzwonek do drzwi wyrwał ich z otępienia. Kiedy gospodarz skierował się do przedpokoju, sygnał powtórzył się.

- Zaraz, zaraz, nie pali się!

W drzwiach stał Zygmunt Noskowski. Pod pachą dzierżył paczkę.

- Dobry wieczór, majorze. Widzę, że nie jest pan w najlepszej formie?

- Nie, dlaczego? - Szalewski usiłował wyprężyć się, ale jego zabiegi nie zostały uwieńczone całkowitym sukcesem.

- Kto przyszedł? - z głębi mieszkania dobiegł mężczyzn głos Osowskiego.

- Pan dyrektor - odkrzyknął major.

- Mogę wejść? - głos Noskowskiego był niemal wesoły.

- W domu nieporządek... Rozumie pan, sytuacja horrendalna! Ale proszę, gość w dom...

Przybyły usiadł w głębokim fotelu naprzeciwko amatorów dereniówki. Odmówił, kiedy gospodarz chciał go poczęstować.

- Panie Karolu - Noskowski pierwszy raz w życiu zwrócił się do majora w tak nieoficjalny sposób - proszę zasłonić okno.

- A po diabła? A zresztą, co mi tam.

Nieco chwiejnym krokiem podszedł do okna i od niechcienia odizolował pokój od szarości kończącego się dnia, panującej na zewnątrz.

- Drodzy panowie - zaczął uroczyście Noskowski, kiedy już wszyscy zasiedli dookoła stolika zapełnionego alkoholową zastawą - mam przy sobie list. Nie zgadniecie od kogo!

- Marszałek! Jak nic, nasz Marszałek z zaświatów dał nam znak. Wołę nie myśleć, co ma do powiedzenia.

- Żarty na bok - pokręcił głową Osowski. - Panie dyrektorze, słuchamy. A i przepraszam za mój stan...

- Daj pan pokój, panie Władysławie. Jesteś pan po pracy.

Z dyrektorskiej kieszeni wyłoniła się biała koperta. Noskowski otworzył ją, wyjął kartkę złożoną na czworo i rozprostował. Poprawił okulary i odchrząknął znacząco.

Drogi Panie Dyrektorze!

Przykro mi, że rozstaliśmy się w takich okolicznościach. Prawda, współpraca między nami nie układała się zbyt harmonijnie, może zbyt często cechowała ją, skądinąd zrozumiała, wzajemna nieufność. Specyfika działań powodowała, że niekiedy było trzeba improwizować, co również nie sprzyja budowaniu właściwych relacji. Niemniej chciałabym, żeby Pan wiedział, iż na swój sposób polubiłam Pana i Jego

współpracowników, również za pewien rodzaj beztroskiej amatorszczyzny. Inna rzecz, że nie chciałabym w przyszłości spotykać się z jej przejawami. Dlatego, proszę o wybaczenie, nie spotkamy się już nigdy.

- Toż to, kochanieńcy, ta baba! - wykrzyknął Szalewski.

- Nie kto inny - potwierdził Osowski i przygryzł wargi.

Muszę przyznać, Dyrektorze, że i ja nie byłam bez winy. Nieopatrznie związałam swoje plany dotyczące tej sprawy z Georgiem Rookiem i, przyjmijmy, panem Rothenbergiem. Rook był potrzebny jako pośrednik. Ja z początku w ogóle nie planowałam ujawnienia się, bo i po cóż?

Rook był wymarzonym pośrednikiem. Miał swoje słabości, dzięki czemu był podatny na sugestie. Znał się na sztuce jak mało kto, więc rozumiał znaczenie depozytu. Był kontaktowy, co jest nie do przecenienia. I lubił pieniądze, co gwarantowało, że będzie zależało mu na powodzeniu przedsięwzięcia.

Cóż, w pewnym momencie już wiedział, gdzie szukać całości. Sądził, że uda mu się grać dla siebie. A przecież gdyby nie ja, nie wiedziałby o skarbie. Tak na marginesie, listy do pana Osowskiego w jego imieniu pisałam ja. Język polski jednak lepiej znam niż znał Rook.

Poza tym pisanie do tak uroczego młodego człowieka było samą przyjemnością.

Noskowski spojrział znacząco na referenta. Ten niewinnie wzruszył ramionami.

Georg Rook sam chciał z Panami negocjować. I chciał mnie oszukać. W dodatku zrezygnował z negocjacji ze stroną niemiecką. Tymczasem on miał się tym zająć. Podbijanie stawki i kalkulacja, kto będzie w stanie więcej zaoferować, miały być elementem naszej gry.

Przepraszam za ten cynizm, ale zaraz Pan zrozumie, dlaczego byłam pozbawiona sentymentów patriotycznych. Tymczasem Rook był tchórzem, bał się podwójnej gry. I bał się w ogóle gry z Niemcami. Choć, kiedy z samego początku Rothenberg chciał sprawdzić Rooka, ten zachował się dość odważnie i uciekł przed wścibskością człowieka, o którym nic nie wiedział. Pozory mnie zmyliły. A tamci poznali się, jako moi współpracownicy, kilka dni później.

Rothenberg musiał usunąć Rooka. Tamten za dużo wiedział... Ale i mój młody współpracownik nie był bez winy. Wraz ze swym przyjacielem po amatorsku porwał żonę rzeczoznawcy, z którego ekspertyzy i porad panowie korzystali. Chciał od niej wyciągnąć jakieś informacje, zabrał też klucze, aby przeszukać mieszkanie. Skąd wiedział o van Clijsie?

Niestety, od Abwehry, która miała swojego człowieka w mieszkaniu Holendra. Była nim służąca. Wywiad niemiecki zwyczajowo stara się lokować agentów tam, gdzie w grę wchodzi duży handel dziełami sztuki, i handel międzynarodowy w ogóle. I „jego rękami” chcieli się dowiedzieć czegoś więcej. Służąca ma, mimo wszystko, jednak dość ograniczone możliwości, do pewnych spraw nie dotrze.

Gdy dowiedziałam się o porwaniu, byłam zrozpaczona. I odtąd obawiałam się, niebezpiecznie, że Rothenberg jest bardziej lojalny w stosunku do Niemców niż do mnie.

On z kolei grał na ich korzyść. Ale przecież nie potrafiłabym go zabić, był mi jednak potrzebny.

Bez specjalnego trudu zainstalował się jako gość na dwa dni u Keyserlingków.

Opowieść o jego zatrudnieniu w pałacu była bajeczką. Przykro mi, że musiałam ją Panom opowiedzieć. I to on oraz jego prawdziwi wspólnicy, a raczej mocodawcy, zaalarmowali domowników pałacu (albo od razu policję), na co nie miałam już żadnego wpływu.

Mogłam się domyśleć, że Rothenberg przyprowadzi do lasu swoich mocodawców.

Ale gdybym nie poinformowała go o spotkaniu, straciłby do mnie zaufanie. Śledził mnie.

Lepiej było udawać, że nadal chcę z nim pracować, aż do finału. Nie mogłam jednak pozwolić, aby to oni dostali tę część depozytu, która była na wyciągnięcie ręki. Nie ma Pan pojęcia, jak łatwo w Gdańsku znaleźć osobników gotowych na wszystko. Znalazłam ich.

Nie mogłam sobie również pozwolić, aby owoc moich starań dostał się w JAKIEKOLWIEK obce ręce. Pomyśli Pan, że jestem zdrajczynią Ojczyzny?

Otóż nie. Ja zawsze wysławiam się precyzyjnie. I użyłam sformułowania „obce ręce” nieprzypadkowo. Pamięta Pan opowieść o stolnikowej płoskirowskiej? Wszystko było prawdą, ale nie wszystko zostało dopowiedziane do końca. Eufrozyna Dorohostayska-Ostrogaska miała, jak Pan sobie przypomina, córkę, która wyszła za człowieka służącego z entuzjazmem nowym panom, Domowi Habsburskiemu. Córnka, na skutek strachu męża

przed kłopotliwą teściową, wdową po słynnym patriocie, właściwie wyrzekła się matki.

Wspomniałam o wnukach Eufrozyny. Czy muszę nadmieniać, że jestem w prostej linii dziedziczką skarbu? I, przepraszam za szczerość, całość jest moją własnością. Kilka lat temu wpadły mi w ręce dokumenty, z których jasno wynikało, że mam prawo do dziedzictwa po Franciszku Ksawerym Ostrogskim. Praca w Gdańsku nie była przypadkiem, stąd było już blisko... Wolałabym oczekiwać na mój skarb w Polsce, ale tu zdobyłam atrakcyjną posadę.

To chyba wszystko, o czym chciałam Panu napisać. Proszę mnie nie szukać; w chwili gdy będzie Pan czytał mój list, będę już daleko stąd. I zaręczam, że nie znajdzie mnie Pan, szkoda wysiłku i skromnych funduszy, jakimi dysponuje Ojczyzna, wciąż jeszcze będąca na dorobku.

Żeby jednak nie być posądzoną o zupełny brak uczuć patriotycznych, razem z listem, przekazuję skromny drobiazg. Niech służy Polsce, jej dumie i poczuciu siły.

*Z szacunkiem i najlepszymi życzeniami
dla Pana i Pańskich współpracowników,
Maria Walter*

PS Proszę nie ustawać w staraniach o resztę skarbu. Dla mnie jest już, niestety, nieosiągalny, lecz nie narzekam i nie jestem małostkowa - to, co odzyskałam, przywróciło mi poczucie sprawiedliwości. A także zabezpieczy mój byt do końca, mam nadzieję, udanego życia.

Nastała grobowa cisza, ale po krótkiej chwili Osowski i Szalewski, jak na komendę, wlepili wzrok w paczkę, która leżała u stóp dyrektora Noskowskiego. Ten podniósł karton, postawił go na stole i wyjął niedbale zawinięty w biały, miękki papier przedmiot.

- Panowie - oznajmił uroczystym tonem - nie wszystko stracone. I ekspertyza naszego Holendra, i nasze starania, i poniewierka więzienna.

Zaszeleścił papier. Oczom mężczyzn ukazała się korona Stanisława Augusta Poniatowskiego. Królewski, przewrotny dar potomkini Ostrogskich mienił się w blasku żyrandola majestatem historii. Tragiczny koniec króla i jego królestwa nie był w tej chwili istotny.

Wartość historyczna była większa od wszystkiego, co się z tą koroną kojarzyło.

- Jezus Maria... - wyszeptał Osowski.

- No właśnie - dopowiedział major.

Noskowski był zadowolony z wrażenia, jakie zrobił na towarzyszach. Podsunął koronę pod nos najpierw jednemu, potem drugiemu. Zaraz też ich ręce wyciągnęły się w dziecięcej chciwości. Pragnęli potrzymać skarb, przytulić go do serca, poczuć chłód szlachetnego metalu. Jeszcze dzień i już nigdy nie będą mieli takiej możliwości. Teraz, właśnie tej nocy był ich czas, cieszyli się przywilejem królewskim, wielkim i niewątpliwym.

Płakali jak dzieci, myśleli jak dzieci, jak dzieci przekrzykiwali się, wspominając od początku wszystko, co zapamiętali, wszystkie nadzieje, wątpliwości, trudy i upokorzenia, niesnaski i próby porozumienia, które na koniec nastąpiło.

Po godzinie nadszedł czas na rozmowę o przyszłości. Właściwie należało natychmiast o przesyłce od Marii Walter powiadomić nadinspektora Potockiego, ale Noskowski doszedł do słusznego wniosku,

że gdyński policjant i tak będzie co najmniej niezadowolony, więc warto jeden wieczór wydrzeć Ojczyźnie i nacieszyć się zdobyczą. Co do losów reszty skarbu, dalsze kroki należały już do Policji Państwowej lub (co bardziej prawdopodobne) innych służb.

Mężczyźni zdawali sobie sprawę, że nie czeka ich żadna nagroda. Prawdopodobne było, że mają przed sobą drobiazgowę, choć nieformalne przesłuchania, jednak dzięki poufności całej sprawy mogli mieć nadzieję, że ich nielegalne starania nie staną się przedmiotem żadnego postępowania karnego.

Od pomysłowości państwa polskiego zależało, w jaki sposób przedstawi odzyskanie takiego skarbu. Nie oni mieli się tym martwić.

Korona leżała, jakby nigdy nic, na stole, obok butelki po dereniówce i wypełnionej popielniczki. Całości dopełniały trzy puste kryształowe kieliszki i kolejna butelka, również pusta.

Martwa natura z koroną.

Mężczyźni stali na balkonie, szczelnie oddzielonym od pokoju ciężką zasłoną.

Oddychali świeżym, rześkim powietrzem. Nad nimi srebrzyły się gwiazdy. Odległymi światłkami opiekował się księżyc w pełni. Jego okrągłość dwoiła się w oczach - dereniówka, mieli tego świadomość, czyni cuda. Ale życie przynosi cuda jeszcze większe...

Albert Ruthe zmienił opatrunek. Nienawidził tej czynności, ponieważ przypominała mu doznane upokorzenie. Wiedział już, że strona niemiecka nie zapłaci mu ani guldena za lojalność. Na dodatek nie był pewny, czy nie spotka się z niebezpieczną podejrzliwością. Co będzie, jeśli oskarżą go o współdziałanie z tą koszmarną kobietą? Jeśli nawet przeżyje, już zawsze będzie skazany na drobne, upokarzające usługi na rzecz Abwehry.

„Jestem miękki jak gówno” - pomyślał z niechęcią.

Poza tym nie cierpiał chorób, dolegliwości i wszelkich utrudnień, które sprawiały, że życie przestawało być przyjemne. Gdyby choć mógł przytulić się do Ottona... Ale Ottona już nie było!

Kazano mu zbliżyć się do tej idiotki, Królikowskiej. Żaden wywiad nie lubi mieć jednego źródła informacji. Niemcy mieli tę drugą, pracującą w komisariacie, ale pewnie nie do końca jej ufali, zwykła praktyka. I musiał mizdrzyć się do słodkiej panienki, niewartej funta kłaków, gdy tymczasem Otton spoczywał w zimnym grobie!

Z powrotem nałożył i zapiął koszulę. Podszedł do okna. Bezmyślnie spojrzął na krzewy jaśminowe rosnące na zewnątrz. Wrócił do stołu. Nalał wódki do kieliszka, wypił jednym haustem i z gniewem zrzucił na ziemię egzemplarz „Der Vorposten” sprzed czterech dni. Zaprzedałby duszę diabłu, byle odegrać się na narodowych socjalistach.

Z niechęcią podszedł do drzwi, usłyszawszy dzwonek. Nie zajrzał w wizjer. Był pewien, że przyszli go przesłuchać. Kto inny przyłazłby do takiego trupa?

- Dzień dobry, czy pan Ruthe? - przed Albertem stał młody człowiek o niepewnym spojrzeniu.

- Owszem. Kim pan jest? - Ruthe nie silił się na kurtuazję.

- Moje nazwisko nic panu nie powie. Przychodzę w bardzo ważnej sprawie. Przysyła mnie ktoś, kto bardzo prosił, abym w jego imieniu spłacił honorowy dług wobec pana. Tej osobie zależy na tym, żeby okazać panu wdzięczność.

Młodzieniec nie wyglądał na takiego, który należy do TAMTYCH. Ruthe, po chwili wahania, szerzej uchylił drzwi i wpuścił gościa do środka. Był zdziwiony, ale po raz pierwszy od trzech dni obudziło się w nim nikłe zainteresowanie czymś, co działo się wokół niego.

Poza tym młody, speszony gość wydał się nawet przystojny.

Stanęli na środku pokoju. Ruthe pytająco spojrzał na nieznanego. Ten powoli sięgnął do kieszeni marynarki. Nagle ruchy nabrały szybkości. W dłoni zimną stalą zabłysnął skalpel.

Jeden cios, potem drugi. Ruthe zachwiał się i upadł. Z przedziurawionej piersi wypłynęła krew.

- Dlaczego?... - wyszeptał umierający.

- To za panią van Clijs! - krzyknął morderca. Wbił skalpel ponownie w pierś Ruthego i uciekł jak szalony.

Po niecałej godzinie przed uchylonymi drzwiami stanął ksiądz Stanisław. Był zdziwiony, że gospodarz zapomniał o tak podstawowej sprawie, jak

odgrodzenie się od świata zewnętrznego w domowym azylu. Zwłaszcza że, jak podejrzewał, Ruthe był człowiekiem mającym niejedną tajemnicę.

- Przepraszam najmocniej, jest tu kto? Czy ktoś jest w domu? Wszedłem, bo było otwarte. Panie Ruthe, jest pan tu? Panie Ruthe!

Stasia, która czekała przed domem, była zawiedziona szybkim powrotem księdza.

- Nie było go w domu?

- Był, moje dziecko...

Dopiero teraz zauważyła bladość na obliczu kapłana. I spojrzała w jego przerażone oczy.

- Był. Jemu już nie są potrzebne żadne rozmowy.

- Czy... Czy ksiądz coś mu zrobił?

Ksiądz Stanisław spojrzał na nią niewidzącymi oczami.

- Jak mogłaś tak pomyśleć? Nie, on tam leżał. Cały we krwi. Widzisz, moje dziecko, tacy ludzie nie żyją długo. Może to kara? Może niesprawiedliwy wyrok? Nie nam osądzać.

Idźmy stąd, zanim zrobi się gorąco.

Dziewczyna rozplakała się jak dziecko i wytarła nos w rękaw bluzki. Ksiądz pogłaskał ją po głowie.

Anna Waldberg zatopiła się w ramionach Osowskiego. Właśnie zapewnił ją, że będzie miał odtąd nieco więcej czasu. W odpowiedzi dowiedział się, że za tydzień przyjeżdża ze Sztokholmu jej matka, która bardzo chciałaby poznać młodego, dobrze urodzonego człowieka, właśnie takiego „na swoim miejscu”, o którym coś niecoś słyszała.

- Musisz wiedzieć - szepnęła między jednym pocałunkiem a drugim - że jeśli mama mówi o kimś, że „jest na swoim miejscu”, to...

Nie pozwolił jej dokończyć. Pocałunek był znacznie ważniejszy niż nobliwa szwedzka arystokratka mająca przybyć za tydzień.

Wilhelmina van Clijs serdecznie podziękowała Aloisowi za niezwykłą przysługę.

Dała do ucałowania dłoni i wręczyła elegancką papierośnicę.

Nie czyniła wszakże specjalnych nadziei, ale...

Stasia postawiła przed Wandą filiżankę z parującą herbatą. Koleżanka najwyraźniej nie miała dobrego humoru. Od rana nie odezwała się do maszynistki ani słowem. Tak zresztą było od kilku dni. Wszelkie próby wprowadzenia Wandy w lepszy nastrój spełzały na niczym.

- Wandeczko, czy coś się stało?

- A co się miało stać?

- No właśnie nie wiem, ale jesteś smutna, zła...

- Nie, nic. Nieważne.

- Szkoda, że nie chcesz mi powiedzieć - wzruszyła ramionami Stasia i usiadła przy swoim biurku.

Nie miała ochoty dłużej zajmować się humorami Wandy. Ważne, że dyrektor Noskowski znowu tryskał humorem. Żartował, uśmiechał się i nawet wczoraj pogłaskał ją po ramieniu.

Nie, życie jest za krótkie, żeby w nieskończoność zastanawiać się, co ugryzło Wandę.

Zwłaszcza, że na horyzoncie pojawił się młody inżynier z Rady Portu i Dróg Wodnych, Oskar Witecki, który przedwczoraj przebywał dość

długo w gabinecie jej pryncypała. Tym razem, na szczęście, prawdziwy Polak. I chyba nie arystokrata.

Kto wie...

W parku przylegającym do pałacu hrabiego Henryka von Keyserlingka, tuż obok starego dębu, od kilku dni pod świeżo zasypaną ziemią spoczywały dwie skrzynie. Pozostałe, jako haracz oddany Policji Państwowej, zostały przewiezione do Warszawy. Hrabia był bardzo zadowolony, że zanim funkcjonariusze wpadli na pomysł dokładnego przejrzania zawartości piwniczki, minęło kilka długich godzin.

„Niech tam leżą, mamy czas” - pomyślał hrabia.

Za mniej więcej rok, gdy sprawę już całkiem przykryje codzienność, przynosząca nowe zdarzenia, depozyt miał zostać przewieziony do Gdańska.

KONIEC